KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Nr 6/128 1958



• « La Culture » • Revue mensuelle •

H. SCHOENFELD : **TU I TAM**

Cz. DOBEK :

DWADZIEŚCIA TON BRUDNEJ BIELIZNY

MAREK HŁASKO A "TRYBUNA LUDU"

SPIS RZECZY



ARCHIWUM POLITYCZNE

WOLNA TRYBUNA

KRAJ

NAJNOWSZA HISTORIA POLSKI

KRONIKA KULTURALNA

KSIĄŻKI



KULTURA

zkice • Opowiadania • Sprawozdania

ARYŻ Czerwiec - Juin 1958

NSTYTUT LITERACKI



DALSZE WPŁATY NA DOM "KULTURY"

Rev. T. Kraus, Johnstown, Pa., (U.S.A)	850
Dr Stanisław N. Korzeniowski, Lostant, III (U.S.A.)	1.600
B. Morski, Chuluota, Fla (U.S.A.)	2.100
Jerzy J. Piórkowski, Bronx, N. Y. (U.S.A.)	2.100

DZIĘKUJEMY

Imprimé en France.

Tu i tam

WIĘKSZE CZYM...?

Apokryficzna anegdota o poloniście krakowskiego gimnazjum, przypisywała mu, w zamierzchłych czasach tuż po pierwszej wojnie światowej, następujący wstęp do wykładu o wieszczach: ,,Adam Mickiewicz był wielkim poetą i Juliusz Słowacki był wielkim poetą, ale przecież Mickiewicz był większy od Słowackiego''.

Siódmoklasiści mego pokolenia mieli dostateczny zmysł humoru i dozę zdrowego rozsądku aby uważać to za wyśmienity dowcip. Niestety w 35 lat później ci sami siódmoklasiści przejmują się — na całym świecie, a więc przypuszczalnie także w Krakowie — sloganami o wyższości jednej rasy nad drugą, jednego narodu nad drugim, jednego poglądu na świat nad drugim. ,,Stany Zjednoczone są wielkim mocarstwem i Rosja Sowiecka jest wielkim mocarstwem, ale przecież Stany (lub Rosja) są większe od Rosji (lub Stanów)''. To zdanie traktujemy poważnie. Tego zdania nikt nie uważa za wyśmienity dowcip.

Jest coś głęboko niepokojącego w tym zestawieniu dwu identycznych propozycji. Z egzaltacją godną lepszej sprawy roztrząsają to zdanie, już nie siedemnastoletnie panienki i chłopcy z krostami na twarzach, ale stare i cwane wygi, mistrzowie wszelkich logik, kapłani wszystkich obrządków politycznych, cynicy którzy nie wierzą w nic ale którzy wierzą, że ,,Rosja lub Stany są większe od Stanów lub Rosji''.

Większe czym? Obszar Rosji Sowieckiej wynosi 8,650.000 mil kwadratowych a jej ludność 200 milionów. Obszar Stanów Zjednoczonych wynosi 3,268.000 mil kwadratowych a ludność 170 milionów. Rosja jest więc większa od Stanów powierzchnią i ludnością, ale Stany są większe od Rosji ilością mieszkańców na milę kwadratową. Największe miasto Stanów, Nowy York, ma 13 milionów mieszkańców a największe miasto Rosji, Mos-

kwa, ma zaledwie 5 milionów. Stany biją więc Rosję na głowę ogromem swoich miast. Ale... jakie znaczenie można przypisać temu, że Rosja lub Stany są większe obszarem, ludnością, wielkością miast, długością rzek, wysokością gór lub głębią niżów? Nonsens, powiecie! Kto już tak porównuje? Nie tu leży wielkość mocarstwa! ,,Mocarstwo'' jest określeniem siły więc gdy mówimy o wielkości mocarstw, mamy na myśli ich siły! ,,Kto kogo, ja ciebie czy ty mnie?'' — oto pytanie istotne choć prostackie! Ale czy porównanie sił jest naprawdę bardziej istotne od porównania obszarów, ludności, miast itd.? Co to jest siła? Nawet w czasach łuku i miecza Bóg nie zawsze był po stronie silniejszych batalionów. Inteligencja żołnierza i dowódcy, dyscyplina, odwaga, entuzjazm, organizacja grały ważniejszą rolę. A jak mierzyć inteligencję, odwagę, entuzjazm, organizację? Historia zna tysiączne przykłady Dawidów i Goliatów, a w skomplikowaniu współczesnego państwa porównanie sił staje się zupełnie iluzoryczne. Ani liczebność armii, ani potencjał przemysłowy ani nawet arsenał bomb nuklearnych nie dają miary sił i pewności zwycięstwa. W erze rakiet i atomów pierwsze minuty wojny rzucą w powietrze samoloty i pociski z ładunkiem nuklearnym niosącym zagładę obu ,,silniejszym'' stronom.

Łudzimy się iluzją siły. Półinteligencko sumujemy wiadomości zebrane łapu-capu z przelotnie czytanych gazet i na podstawie tych ochłapów informacji budujemy politykę paniki lub politykę entuzjazmu. Niestety fakty nie są proste i niestety są zabarwione propagandą. Przypuśćmy jednak na chwilę, że porównanie sił przecież coś znaczy. Jak wyglądają fakty siły?

Dwa typy rakiet mają dziś strategiczne, wojskowe znaczenie: 1) Dalekosiężne pociski kierowane o zasięgu 5000 mil, które istnieją chwilowo tylko na papierze. Rosja jest tu podobno bardziej zaawansowana ale ani Sowiety ani Stany nie będą miały taktycznie wystarczającego zapasu pocisków przed upływem dwu lat. A dwa lata współczesności mogą dużo zmienić w układzie sił. 2) Pociski kierowane średniego zasięgu, tzn. 1500 mil. Rosja podobno je już posiada, ale Stany także będą je miały bardzo szybko.

Rosja musi mieć pociski dalekosiężne (których chwilowo jeszcze nie ma!) aby trafić w Stany, ale Stanom, z ich strategicznie rozłożonymi bazami, wystarczą pociski o zasięgu 1500 mil aby trafić w każdy punkt Rosji. Nadto lotnictwo amerykańskie ma ze swych baz zamorskich strategicznie korzystniejszą pozycję niż lotnictwo sowieckie, a lotnictwo liczyć się będzie jeszcze co najmniej przez rok lub dwa, mimo pocisków kierowanych. Przewaga jest więc chwilowo wciąż, mimo Sputnika i... Łaiki, po stronie Ameryki. Sputniki świadczą o sprawności scjentyficzno-przemysłowej, ale nie są bronią. Nie wolno lekceważyć rosyjskich osiągnięć i możliwości, ale nie wolno także lekceważyć możliwości i nie wolno zapomnieć o osiągnięciach Stanów Zjednoczonych. Nie wszystko złoto co się świeci. Sprawność po-

lityczna Chruszczowa lub niezręczność Dullesa mogą, jak uśmiech lub jak grymas, maskować prawdziwe podłoże siły.

Łudzimy się iluzją siły. Nie siła, ale widok siły imponuje gawiedzi. Dzieciakom w Kairo, dzieciakom w Dżakarcie, może nawet dzieciakom... w Warszawie. Gdy Stany detonowały pierwsze bomby atomowe siła Stanów Zjednoczonych była miarą wielkości. Gdy Rosja rzuciła wokoło ziemi pierwszego satelitę, siła Rosji Sowieckiej stała się dogmatem. Dzieci i gawiedź nie wiedzą jednak o ,,eksplozji'' scjentyficzno-przemysłowej ostatnich pięćdziesięciu lat. Nie zdają sobie sprawy, że postęp technologiczny wznosi się progresją geometryczną, której każdy nowy skok przerasta najśmielsze wyobrażenia. Każdy nowy Sputnik i każdy nowy Explorer niosą zalążek nowej przewagi i nowego układu sił. Ostatni biuletyn radiowy (sprzed pół godziny) zapowiada, że w ciągu roku 20 nowych satelitów — połowa sowieckich a połowa amerykańskich — będzie krążyło wokoło ziemskiego globu. A kto pierwszy pchnie rakietę w księżyc? Kto pierwszy rzuci człowieka w orbitę sputnikową? Kto pierwszy zbuduje platformę międzyplanetarną? Kto pierwszy wymyśli broń przeciwrakietową i udoskonali obronę przeciw-nuklearną? Kto pierwszy wynajdzie niewyobrażalną broń ostateczną, która zniweczy wroga rozsadzając ziemię? ,,Jak Samson jednym wstrząśnięciem kolumny...'' Kto pierwszy...? I czy pierwszy będzie naprawdę silniejszy? I... na jak długo?

Newsweek z 20 stycznia 1958 r. zestawiając ,,bilans terroru'' stwierdza, że ,,dzisiaj Stany Zjednoczone wygrałyby wojnę totalną. *Strategic Air Command* wciąż jeszcze zapewnia Zachodowi zwycięstwo, — jeśli przez ,,zwycięstwo'' rozumiemy, że Stany Zjednoczone rozsadziłyby Rosję szybciej i gruntowniej niż Rosja Stany''.

DZIŚ A WCZORAJ

Gdy byłem w gimnazjum, akcent współczesności był na humanistyce. Błąd ortograficzny, dwója z polskiego, potknięcie się na dacie historycznej, były zabójcze na świadectwie i ,,wstyd i hańba'' w oczach rodziny, kolegów i panienek. Szanująca się dziewczyna mogła się śmiało pokazać z analfabetą matematycznym, ze ślepcem przyrodniczym, z nieukiem fizyczno-chemicznym, ale ,,święty Boże nie pomoże'' kawalerowi który nie umiał wyliczyć jarzyn w sadzie Soplicowa lub któremu pomieszał się Kazimierz Wielki z Kazimierzem Jagiellończykiem. Kawaler wypadał z łaski i na spacerach po linii A-B lub po plantach między Szewską a Uniwerkiem zastępował go sprawniejszy historyk lub polonista. Nie wiem jak tam dzisiaj u siedemnastolatków w Krakowie. Dzieli nas mój ,,wiek klęski'' i ,,przestwór oceanu''. Ale mój syn w Kanadzie nie martwi się błędem ortograficznym, a historia (*,,Social Science''* — jak to tutaj nie wiadomo dlaczego nazywają) nie jest dla niego *magistra vitae*. Natomiast całki

i różniczki nie przerażają go samym dźwiękiem matematycznej niezrozumiałości, analizę statystyczną stosuje śmiało i niemal automatycznie w byle dyskusji przyrodniczej lub dziecinnym sporze o lepszości Chevroleta nad Fordem (lub na odwrót) — („General Motors jest wielkim przedsiębiorstwem automobilowym i Ford jest wielkim przedsiębiorstwem automobilowym, ale przecież...'' —), na ogół poprawnie rozumie pojęcie względności czasu, ruchu itd. i choć nie wie nic o lingwistycznych zainteresowaniach współczesnej filozofii, rozumie słowo ,,semantyka'' lepiej niż większość moich przyjaciół. Innymi słowy jego wiedza jest scjentyficzna raczej niż humanistyczna z akcentem na pragmatyźmie. To ostatnie jest już jednak naroślą amerykańską. Wydaje mi się, że na tym młodzieńczym poziomie różnica między dziś a wczoraj jaskrawiej się odbija niż na poziomie naszej spłowiałej dojrzałości. My egzaltowaliśmy się Sienkiewiczem (jeden Bóg wie dlaczego ? !) Ich fascynuje Sputnik (też mocno przesadzona wielkość). Ale gdy nasz humanizm był nieskalany scjentyfiką, ich scjentyfika jest zadziwiająco humanistyczna. Nie jest to przypadkiem, lecz wypływa z kierunku jaki współczesność nadała postępowi naukowemu.

DETERMINIZM I INDETERMINIZM

Żyjemy w epoce która ukształtowała się na determiniźmie i którą, w kotłowisku wydarzeń, determinizm wciąż jeszcze rządzi. Determinizm mechanistyczny wywodzi się od Newtona, który najlepiej (choć nie najwcześniej) wykazał, że jeśli znamy początkową pozycję i szybkość ciał danego systemu i jeśli znamy siły które na ten system działają, jego zachowanie może być raz na zawsze ustalone. Laplace przetłumaczył tę mechanistyczną zasadę na filozofię gdy powiedział, że genialna istota która zna wszystkie fakty danej chwili potrafi matematycznie przewidzieć przyszłość i odsłonić przeszłość. Innymi słowy, że każda przyczyna ma swój ściśle określony skutek a każdy skutek swą przyczynę. Nie po raz pierwszy i nie po raz ostatni filozofia najechała scjentyfikę bezprawnie choć bardzo skutecznie. A ponieważ ludzkie doświadczenie w makroskopijnym świecie codzienności dobrze wie, że każda kura musi mieć swoje jajo a każde jajo swoją kurę, filozoficzna inwazja teorii Newtona utrwaliła się w dogmat i przetrwała do dziś dnia mimo, że mechanistyczny determinizm Newtona od dawna okazał się niewystarczający w fizyce.

Pierwszym wielkim wyłomem był elektro-magnetyzm. Dziura genialnie załatana przez Maxwella. Ale były też inne trudności. Teoria molekularna ciepła i teoria kinetyczna gazów nauczyły fizyków, że choć prawo przyczyny i skutku działa sprawnie w świecie makroskopijnym, świat mikroskopijny rządzi się prawem przeciętności statystycznej. Umiemy przewidzieć i obliczyć ciśnienie jakie masa bilionów drobin gazu wywiera na ścia-

ny zbiornika ale działanie pojedyńczej drobiny jest nieobliczalne i nieregularne. Gdy badamy zachowanie się gazów nie szukamy poszczególnych drobin ale traktujemy gaz jako makroskopijną całość i w całości wyrażamy prawa jego działania. Nie oznacza to braku zależności między światem makroskopijnym, w którym istnieje człowiek a światem mikroskopijnym, w którym króluje drobina, ale stwierdza, że masa gazu ma także inne właściwości których pojedyncze drobiny nie mają.

Najnowszą trudność spotykano we fizyce atomowej. Tu zachowanie się światła szczególnie kłóciło się z chłopskim rozumem. Twierdzenie teorii kwantów, że światło składa się z drobnych cząsteczek energii zwanych fotonami, zaprzeczyło tradycyjnej teorii, która znała światło jako fale. Fale zachowujące się jak cząsteczki a cząsteczki zachowujące się jak fale były równie niewiarygodne jak osławiony ,,eter'' lub jak... komunistyczny nacjonalizm (jeśli wolno nam wtrącić nasze polityczne trzy grosze). Rozwiązanie tej sprzeczności przez Heisenberga wprowadziło jednak w fizykę (i prawem kaduka, w filozofię) nowe i zadziwiające pojęcie. Pojęcie obserwatora, który aktem obserwacji zmienia warunki istniejące w obserwowanym przedmiocie. Jeślibyśmy próbowali zwykłym, ręcznym termometrem mierzyć temperaturę w kotle pod ciśnieniem, fakt, że musielibyśmy otworzyć kocioł aby wsadzić termometr, zmieniłby ciśnienie a więc także temperaturę. Te sprawy są szczególnie czułe w świecie podmikroskopijnym atomu, w którym najlepiej dostosowane aparaty muszą wywołać zaburzenia, które zmieniając warunki zmieniają odczytane wyniki. Notoryczny jest przykład elektronu, którego pozycję możemy zaobserwować (w teorii) naświetlając go światłem o nieskończenie krótkich falach, ale którego szybkość zostanie zasadniczo zmieniona przez fotony tego światła, lub którego szybkość możemy ustalić w świetle długofalowym, w którym nie możemy go dostrzec a więc nie możemy ustalić jego pozycji. Te przykłady dowodzą (między innymi także filozofom), że człowiek-obserwator jest integralną częścią obserwacji. Fakt zainteresowań Rosji Sowieckiej sprawami Środkowego Wschodu zmieniłby warunki polityczne tej części świata nawet jeśliby w Egipcie czy Syrii nie było sowieckich broni, pieniędzy i agentów. (A jeśli kogoś razi ten nagły skok z scjentyfiki w politykę jako niegodny... filozofii, warto przypomnieć, że determinizm historyczny jest równie odległy od determinizmu mechanistycznego jak wolna wola od indeterminizmu Heisenberga).

To wszystko zachwiało wiarą fizyków w dogmat newtonowego wszechświata, a rachunek prawdopodobieństwa uzmysłowił im, że przypadek ma także rytm i symetrię, regularne i obliczalne prawa i że istnieje alternatywa determinizmu. Determinizm mechanistyczny uważał przypadek za przesąd nieuków i tą wiarą osiągnął wspaniałe praktyczne wyniki. Indeterminizm fizyki, w porywie nowonarodzonego entuzjazmu dopatruje się we wszystkim zmechanizowanego czarnoksięstwa i... znowu święci

triumfy praktycznych dokonań. Gdzie leży ,,prawda'', — jest obojętne! Scjentyfika nie zna wiekuistych prawd. ,,Prawda'' jest tak długo ,,prawdą'' jak długo jest urodzajna. Więc choć między sceptykami wątpiącymi w ,,prawdę'' indeterminizmu znaleźli się dwaj twórcy teorii kwantów — Einstein i Planck — większość fizyków entuzjastycznie uznała indeterminizm za nowy dogmat. *Le roi est est mort, vive le roi!*

I tu sprawa dziś spoczywa. Wprawdzie najnowsze spekulacje szukają przyczynowości podmikroskopijnych spraw na jakimś jeszcze niższym, dotąd nie znanym poziomie, ale to nie jest istotne dla sprawy o którą nam chodzi. A chodzi o spór Rosji Sowieckiej z Zachodem i Zachodu z Rosją. Spór który dziwnie wiąże się z teoriami współczesnej fizyki. Ze sporem determinizmu i indeterminizmu.

MATERIALIZM I PRAGMATYZM

Po tym kontredansie filozoficzno-scjentyficznym stwierdźmy raz jeszcze, że nie ma bezpośredniego, przyczynowego związku między teoriami scjentyfiki a teoriami filozofii. Związki jakie istnieją wiodą przez człowieka i przetworzone słowem barwią i kształtują ludzkie myśli i ludzkie poczynania. Prawa scjentyfiki opisują wszechświat i choć ich ludzka prawda jest wiecznie zmienna, istota rzeczy i sił które na wzajem na siebie wpływają pozostanie niezmieniona nawet gdy zabraknie człowieka i jego słów. Natomiast filozofia zginie razem ze słowem. Jeśli więc jednym tchem wymawiamy imiona teorii scjentyficznych jak determinizm mechanistyczny lub indeterminizm Heisenberga z imionami teorii filozoficznych, które się z nich wywodzą, nie znaczy to, że wierzymy w bezpośredni, przyczynowy związek między filozofią a scjentyfiką, ale że te sprawy — słusznie czy niesłusznie — wpływają na nasze życie jednostkowe i społeczne.

Materializm dialektyczny, który obecnie tak przemożnie wpływa na uczonych rosyjskich (a więc także na rosyjską scjentyfikę) jest jednym objawem głębokiego wpływu determinizmu mechanistycznego na współczesną historię. Według dialektyki materialistycznej (zapożyczonej z Hegla), wszystko w naszym wiecznie istniejącym świecie powiązane jest siecią przyczyn i skutków. Badając sprawy tego świata musimy więc sięgać w początki i znać ich historyczną ewolucję. Okazują się one złożone z dwu sprzecznych przyczyn — tezy i antytezy — których wzajemne działanie stworzy skutek — syntezę. Nowe kształty i nowe działania powstają na skutek tego konfliktu a nie na skutek predestynacji. Świat jest realny i materialny i materia, a nie duch, jest motorem działania. Przejście z tej filozofii w politykę jest ,,proste''. Każda zmiana warunków materialnych stwarza nowe ukształtowanie klas społecznych. Nowa klasa popada w konflikt ze starą i z tego konfliktu (tezy i antytezy) wyrasta nowa synteza. I tak ad infinitum.

Takie uproszczenie marksizmu jest bardzo z gruba ciosane lecz wystarczające dla rozważań, w których chcemy podkreślić scjentyficzne podejście marksizmu do spraw gospodarczo-społecznych. Pierwsze scjentyficzne podejście do tych spraw. Pierwszą próbę obiektywnej analizy, po której nawrót do „intuicyjnej" polityki, ekonomii czy socjologii jest już niemożliwy.

Amerykanie upodobali sobie filozofię podobnie scjentyficzną ale... inną. Jest nią pragmatyzm. Słowo „pragmatyzm" ukuł S. C. Peirce (1839-1914) ale William James (1842-1910) rozpowszechnił je (nb. w zmienionym znaczeniu) i zaraził nim Amerykę Północną. Pragmatyzm Jamesa widział prawdę idei w ich wartości użytkowej, w ich „cenie" i choć odżegnywał się od determinizmu i materialistycznych implikacji niektórych teorii naukowych, to zaprzeczenie miało filozoficznie kruche podstawy. Było emocjonalne raczej, niż racjonalne, wypływające z bardzo protestanckiej religijności Jamesa. Na prosty rozum pragmatyzm był więc filozofią materialistyczną mimo idealistycznej frazeologii, w którą przybrał go James. Pragmatyzm osądzał idee na podstawie skutków, tam gdzie materializm osądzał je na podstawie przyczyn.

Pragmatyczna Ameryka stwarzała i doskonaliła telefon, samolot, anestezję. Budowała koleje i samochody. W Europie tych czasów, nawet nauka rosyjska kochała się w szerokich, teoretycznych rozważaniach, jak geometria nie-euklidesowa, tablica periodyczna pierwiastków, teoria odruchów warunkowych. Edison symbolizuje Amerykę. Mendelejew Rosję i... Europę.

Postawa filozoficzna była jednak tylko jednym powodem tego podziału. Warunki polityczno-społeczne były drugim. Pionierzy amerykańscy kolonizujący puste obszary Zachodu byli liczebnie słabi. Skąpo zaludniony kraj, pełen niezmiernych bogactw naturalnych wymagał rąk do pracy, a w braku rąk — maszyn. A olbrzymie odległości akcentowały konieczność szybkiej i pewnej transportacji. Pionierzy amerykańscy musieli być praktyczni, zapobiegliwi i przyziemni. Narzędzia były ważniejsze niż teorie. W Rosji ówczesnej natomiast, nie było brak rąk roboczych a bogactwa naturalne, choć również olbrzymie, nie stały otworem dla inteligentnej przedsiębiorczości lecz były w rękach carskich biurokratów. Nie było podniety dla praktyczności ! Biurokracja była małostkowa, zazdrosna i ociężała więc spętane aspiracje materialne młodzieży wyrażały się buntem anarchizmu i negacji. Teorią ! Teorią kwestionującą religię, ustrój społeczny, wszystkie uznane i uświęcone prawdy.

Rewolucja rosyjska odwróciła ten stan rzeczy. Praktyczność stała się cnotą a teoria stała się politycznie zbyt niebezpieczna. Akcent nauki sowieckiej spoczął na pragmatyźmie. Idee poczęto mierzyć ich ceną a teorie naukowe ich zgodnością z.. marksizmem (czy tym co w danej chwili uchodziło za marksizm). W Stanach współczesność także przyniosła zmiany. Druga wojna światowa przekonała Amerykanów, że jednostronny

akcent praktyczności nie wystarcza. Bombę atomową zbudowały Stany Zjednoczone dzięki pomocy teoretycznej uczonych europejskich: Anglików, Niemców (uciekinierów spod Hitlera), Włochów, Duńczyków. Vannevar Bush wskazał na to w oficjalnym raporcie pisanym dla Roosevelta w 1945. ,,Nasz talent narodowy do nauk stosowanych i technologii nie powinien przesłonić faktu, że w dziedzinie czystej nauki badawczej — w nowych dziedzinach poznania i w podstawowych zasadach scjentyficznych — Ameryka zajmowała dotąd drugorzędne miejsce...'' Ta nauka nie poszła w las. Wspaniały rozkwit teorii naukowych w Ameryce ostatnich 15-tu lat jest wynikiem tego rozpoznania.

Skrzyżowanie naukowych prądów Rosji i Ameryki jest jednak tylko ciekawostką. Nie można i nie należy wyciągać wniosków i nauk ze spraw, które są w stanie tak dynamicznego rozrostu, że cokolwiek było, jest tylko ułamkiem tego co jest i tego co będzie jeszcze w naszych czasach. To co było i nawet to co jest, nie jest miarą możliwości. Epizod Łysienki nie przeszkodzi postępowi sowieckiej biologii tak jak nieudany wystrzał ,,Vanguardu'' nic nie mówi o potencjale scjentyficznym i technologicznym Stanów. Ironizowanie na ten temat jest płycizną niegodną wielkich czasów, w których żyjemy i powagi dylematu, który musimy rozwiązać jeśli ludzkość ma się utrzymać na poziomie przewagi biologicznej jaki sobie zdobyła na ziemi.

MIARA WIELKOŚCI

,,E = m...'', w osławionym równaniu Einsteina ($E = mc^2$), które tłumaczy przemianę materii w energię, tak zafascynowało propagandystów (i propagowanych), że zapomniano, na popularnym poziomie, o ,,c^2''. A właśnie ,,c^2'' — szybkość światła do kwadratu — a nie ,,E = m...'' jest niepokojącą zagadką. Co ma szybkość światła wspólnego z przemianą materii w energię jest sednem problemu a nie... bomba nuklearna.

Dziwnie teoria się dziś wiąże z praktycznością. Ezoteryczna wieża z kości słoniowej — tradycyjna pustelnia uczonych — stała się nagle anachronizmem. Niepraktyczny teoretyk zamienił się przez noc w inżyniera-wynalazcę. Wprost od rozważań nad teorią światła lub od nieziemskich obliczeń astrofizycznych, zakasując rękawy zstępuje do Calder Hall'u, Los Alamos, Bolszoja Wołga i do ,,Zety''. W Ameryce, w Anglii, w Rosji, wszędzie. A to znowu przesunęło linię podziału. Już nie pragmatyzm przeciw materializmowi, nie teoria przeciw praktyce, nie teza przeciw antytezie, nie Rosja przeciw Stanom Zjednoczonym ale ostatnia (lecz nie ostateczna) granica poznania przeciw nowej granicy poznania, która czai się za rogiem najbliższej przyszłości. Tempo postępu jest tak oszałamiające, że nawet fundacja Nobla, która (sprzecznie z zamiarem fundatora) dawała swe nagrody ludziom starym i zasłużonym za owoc pracy żywota, zmu-

[illegible] przyznać nagrodę fizyki dwu mło-
[illegible] 31-letniemu Tsung Dao Lee i 35-letniemu Czen
Ning Yang, Amerykanom chińskiego pochodzenia, za obalenie
zasady parzystości. Od Newtona do Einsteina upłynęło 200 lat.
Od [illegible] do perspektyw jakie otwiera obalenie za-
sady parzystości, minęło 50 lat. A perspektywy tego odkrycia
są fantastyczne. Ni mniej ni więcej jak [illegible] prawa zachowa-
nia energii. Ni mniej ni więcej jak możliwość [illegible]
[illegible] w przestrzeni [illegible] energii. Ni mniej ni
więcej jak [illegible] między [illegible] fizyką [illegible]. Dla poko-
lenia, które widziało izoteryzm teorii względności ujarzmiający
energię atomową, perspektywy otwarte odkryciem Lee i Yanga
są bardzo praktyczne [illegible].

Człowiek w przestrzeni! Rakietą na księżyc! [illegible]
[illegible] międzygwiezdną! Sputnik zabarwił te fantazje możli-
wością przyszłej, może nawet bliskiej przyszłej, rzeczywistości.
I to jest [illegible] znaczenie Sputnika a nie jego [illegible]
[illegible] czy nawet technologiczne implikacje. Sputnik nie nauczył
nas niczego nowego o zasadniczych prawach rządzących wszech-
światem. Jest tylko wyczynem przewidzianym. Od odkrycia Lee
i Yanga dzieli Sputnika [illegible]. W skali [illegible]
[illegible] Sputnik jest bliski wyczynowi Lindbergha. (Porównanie
z Lindberghiem jest [illegible] To Lindbergh w [illegible] po [illegible]
[illegible] „Nie możemy
wygrać tej wojny...”).

[illegible] Zachodniej
[illegible] Zachodu. Nalewa-
[illegible] Dy-
[illegible] ko-
[illegible] prze-
[illegible] Amerykanie
[illegible] jak Rosjanie,
[illegible] nabiera-
ją się z [illegible] który
w Little Rock [illegible] o nazwisku Orval Faubus, nie [illegible], że Mu-
rzyn amerykański [illegible]
i [illegible]
[illegible] i gospodarcze Ameryki, patrzą teraz jeszcze przez pryz-
mat powieści Uptona Sinclaira pisanych z [illegible] tego wie-

ku a nic nie wiedzą (czy nie chcą wiedzieć) o potędze i wpływach amerykańskich Związków Zawodowych.

Sputnik wyraża tylko bardzo płytko potencjał twórczy. Lee i Yong są symbolem innej wielkości. Wielkości która może, ale nie musi objawiać się siłą. Wielkości która kwitła na Zachodzie od wieków i która nie wyraża się megatonami zniszczenia czy nawet milionami kilowatów ale humanizmem zrozumienia i abstrakcji, pewności i wątpienia, zmysłu humoru i profesorskiego roztargnienia. Miarą wielkości scjentyficznej nie jest aroganckie szczekanie polityków, nie są przechwałki propagandystów ani wielkie, większe, największe na świecie rekordy (w których ukochaniu Rosja powoli i niespostrzeżenie zastąpiła Amerykę), ale zrozumienie wiecznej zmienności prawd, tolerancja cudzej i własnej ułomności, rozpoznanie, że prawdy nie mierzy się żelazobetonem podstaw i tysiącleciem istnienia ale sprawdzianem, który dzisiaj może być słuszny a jutro obalony. Na wieczną chwałę starej i nowej prawdy! Starego i nowego odkrywcy!

W takim humanizmie scjentyfiki przoduje Zachód. Nie oznacza to, że w Rosji go nie ma, tak jak skromność Lee i Yonga i legionu wspaniałych amerykańskich scjentystów nie niweczy aroganckiej indolencji C. E. Wilsona, który obok innych powiedzonek wsławił się zdaniem: „Co już kogo obchodzi dlaczego trawa jest zielona" i zdaniem: „Podstawowe badania naukowe są takie badania, w których się nie wie do czego się zmierza". Dobrze wróży scjentyfice sowieckiej, że nie urągano po nieudałej próbie „Vanguardu". Po pierwsze, nie ulega wątpliwości, że sukces obu Sputników poprzedziły rozliczne, choć nie publikowane fiaska sowieckie. Po wtóre, scjentyści sowieccy (tak jak scjentyści Zachodu) wiedzą bardzo dobrze, że płynne paliwo wprowadza zbyt wielką miarę niepewności i że stuprocentowy sukces rakiety międzyplanetarnej zależy od wynalezienia odpowiedniego stałego paliwa. Po trzecie, nie wydaje się, aby propagandowy sukces Sputnika i propagandowa katastrofa Vanguardu były zorganizowane przez rosyjską politykę. Rozmiar masowego entuzjazmu dla Sputnika podobnie zaskoczył Chruszczowa jak niepotrzebne reklamowanie Vanguardu zaskoczyło Eisenhowera.

MIĘDZYNARODOWOŚĆ SCJENTYFIKI

Tak Rosja jak Stany mogą się pochwalić wspaniałymi osiągnięciami. Mają swoje wyżyny ale.. mają także niże i ani Rosja ani Stany nie mogą marzyć o utrzymaniu jakiejkolwiek przewagi na stałe. Wojskowo, przemysłowo i scjentyficznie Stany wciąż jeszcze przodują, ale postęp przemysłowy Sowietów od końca drugiej wojny światowej, modernizacja armii czerwonej, imponujący wysiłek sowieckiej scjentyfiki sprawiają, że przewaga Stanów wyrazić się może tylko w totalnej wojnie atomowej, w której absolutne zniszczenie nawiedzi tak zwycięzcę jak zwy-

ciężonego. (Powyższe zdanie można odwrócić jeśli się wierzy w przewagę Rosji). Ale... nie należy porównywać potencjału wojennego dwu krajów i nie należy porównywać osiągnięć naukowych. Pierwsze porównanie doprowadziło zbyt wielu napastników do przegranej wojny a drugie... ,,Adam Mickiewicz był wielkim poetą i Juliusz Sowacki był...''

Tylko nieuctwo lub tromtadracja mogą się porwać na porównanie ale wolno zestawić bez osądu niektóre dokonania naukowe. Dla ilustracji i czysto arbitralnie. Na miarę naszej wiedzy i materiału jaki mamy do dyspozycji.

Fizyka nuklearna jest na pierwszym miejscu zainteresowania. Zarówno w Rosji jak na Zachodzie. Wspaniałe instytucje fizyki teoretycznej istnieją w Sowietach i ich osiągnięcia są imponujące i oryginalne. Największy akcelerator nuklearny znajduje się dziś w Rosji. Jest to 10 bev. (bilionów elektron volt) synchrotron protonowy w Bolszoja Wołga. Ciężkie kolubryny nazw akceleratorów (— cyklotron, betatron, synchrotron, cosmotron, bewatron, fazotron —) mają podświadome uzasadnienie w masywności tych olbrzymich aparatów, które słusznie (choć paradoksalnie) nazwano mikroskopami fizyki nuklearnej. Ich ojcostwo należy się Anglikom Cockroftowi i Waltonowi, ale E. O. Lawrence w Kalifornii nadał ich budowie amerykański rozmach a Rosja (V. I. Weksler) prowadzi obecnie w tym ,,przyspieszonym'' wyścigu. Jeszcze większy 12.5 bev akcelerator jest jednak na wykończeniu w Argonne National Laboratory w Illinois (Stany) a w Brookhaven (Stany) i w Genewie (Szwajcaria) akceleratory 25-30 bev będą uruchomione około 1960 r. Wreszcie, znowu Rosja, w ambitnym wysiłku (wielki, większy, największy !) zapowiedziała na 1962 r. wykończenie synchrotronu protonowego 50 bev. Magnet tego synchrotronu ważyć będzie 22000 ton a jego średnica będzie wynosiła 1500 stóp.

Akceleratory cząsteczek nuklearnych dopomogą scjentyfice do wyjaśnienia tajemnicy atomu. Tajemnicy, która jest dzisiaj stokroć bardziej zawiła niż była wczoraj. Zawiła i... niepraktyczna. Sowieckich uczonych nie możemy tutaj wiele nauczyć. Technologicznie Rosja przewodzi Zachodowi w budowie tych olbrzymich maszyn i także w budowie mniejszych cyklotronów. Uczeni tej miary jak Tamm, Weksler, Landau, Pomeranczuk, Bogoljubow świecą równie jasno na firmamencie naukowym jak najznakomitsi zachodni specjaliści. Ten wyścig mózgów i maszyn w fizyce wysokich energii jest bardzo znamienny, sprawy te są bowiem nie tylko bardzo trudne i kosztowne (*) ale... także najzupełniej teoretyczne. Czysta naukowość tych spraw, ich absolutna praktyczna nieużyteczność, która pozwoliła od 1954 r. na ich deklasyfikację z dziedziny spraw ,,tajnych'', wskazuje jak trudno oceniać ludzkie motywy. Te czysto naukowe badania są chyba równie ,,nie-marksistowskie'' jak... Picasso, równie idealistyczne jak religia. Można by wprawdzie powiedzieć, że So-

(*) Duży akcelerator może kosztować sto milionów dolarów.

wiety obiecują sobie po tych sprawach sukcesów propagandowych równych sputnikowym, ale takie powiedzenie jest zbyt naiwne i przypisuje Sowietom więcej przezorności i przewidywania niż normalnie jesteśmy skłonni im przypisywać. Badania nad tajemnicą cząsteczek nuklearnych prowadzone były zresztą przed Sputnikiem i są równie ,,trudne'' jak Sputnik jest ,,łatwy''. Sztuczny satelita, pionier podróży międzygwiaździstych, jest zrozumiały nawet dla dzieci, ale kogo obchodzą (i kto rozumie) zawiłość pi-mezonów !?

Na takim tle dokonania rosyjskie wyglądają imponująco. Szczególnie dla laików. Ale wyliczanie jednym tchem Sputnika, bomby wodorowej i akceleratorów upraszcza bardzo zawiły problem. Przede wszystkim Sputniki, bomba, nawet akceleratory są wyczynami technologicznymi, które każde uprzemysłowione państwo potrafi powtórzyć jeśli ma ,,czas i pieniądz''. W demokracjach Zachodu czas i fundusze są ściśle kontrolowane przez rozmaite konstytucją ustalone organy państwowe. Nie można budować Sputnika bez zgody parlamentu, który musi uchwalić fundusze lub bez zgody rządu, który ustala pierwszeństwo ważności. Nie można by także budować go kosztem produkcji butów lub kosztem konstrukcji domów mieszkalnych. Nie można by wreszcie w roku suszy eksportować zboża do Azji (jak to uczyniła w ubiegłym roku Rosja) dla wsparcia akcji politycznej. Wyborcy pokazaliby rządowi drzwi za takie lekceważenie prawa i żywotnych interesów. Prawda, że istnieje także druga strona tego medalu zilustrowana powiedzeniem przypisywanym Chruszczowowi : ,,My mamy Sputnika, wy macie więcej chromu na samochodach''. Ale w cztery oczy i ręka na serce ! Przeciętny obywatel rosyjski, polski, czeski, wschodnio-niemiecki i każdy inny z ,,tamtej'' strony, także woli samochody (większe, mniejsze, bylejakie), lodówki elektryczne, telewizory. ,,Bujać to my, panowie szlachta !''

Bardziej przemawia postęp wychowawczy sowieckich szkół i uniwersytetów. Wola wiedzy i entuzjazm ! Bardziej przemawiają prace którymi uczeni rosyjscy zalewają literaturę naukową. Akceleratory nie są tylko wyczynem technicznym ale także świetnie wykorzystanym narzędziem naukowego badania. W innych dziedzinach scjentyfiki aktywność uczonych rosyjskich jest także bardzo znaczna. W chemii nieorganicznej intensywnie pracuje się w Rosji nad metalami i aliażami odpornymi na bardzo wysokie temperatury. Rzecz najbardziej istotna jeśli mamy sprowadzić rakietę międzyplanetarną z powrotem na ziemię. A skoro mowa o metalach, produkcja i czyszczenie krzemu i germanu są również znane w Rosji jak na Zachodzie choć... transystory wynaleziono i udoskonalono w Stanach Zjednoczonych. Nowe związki boronu, tak ważne jako paliwo motorów odrzutowych osłonięte są po obu stronach tajemnicą wojskową, ale o innych wojskowo mniej czułych zastosowaniach boronu pisze się otwarcie i bada się je intensywnie. Rosjanie są również bardzo zainteresowani ,,możliwościami'' polimerów nieorganicznych. (Ale

w Stanach Zjednoczonych silikony cieszą się już od dawna zarówno popytem jak i dużą podażą).

Chemia organiczna, biochemia, biologia, biofizyka, geologia, geofizyka, astronomia, także wykazują mrówczą aktywność. Każda dziedzina wiedzy roi się od prac sowieckich. Do niedawna angielski, niemiecki i francuski były językami scjentyfiki. Obecnie wszystkie uniwersytety wprowadzają w swe curriculum także język rosyjski a tłumaczenia naukowej literatury rosyjskiej organizuje się w Ameryce na wielką skalę.

Po tym wszystkim, po czołobitnym pokłonie i wyrazach uznania dla nauki sowieckiej, należy jednak podkreślić dokonania Zachodu. A to podkreślenie należy zacząć chełpliwie od fizyki i od roku 1895, w którym rewolucja naukowa naszego wieku rozpoczęła się odkryciem promieni X przez Roentgena (*Niemcy*) i promieni radioaktywnych przez Becquerela (*Francja*). Przypomnijmy, że odkrycie Roentgena wiąże się z odkryciem promieni katodowych przez Crookesa (*Anglia*) i z pracami J. J. Thomsona (*Anglia*) i Jean Perrin (*Francja*), a odkrycie Becquerela doprowadziło małżonków Curie (*Francuza* i *Polkę*) do odkrycia radu i polonu, a Rutherforda (*Nowa Zelandia*) i Soddy (*Kanada*) do odkrycia przemian radioaktywnych. Wreszcie Rutherford i Bohr (*Duńczyk*) stworzyli teorię atomu. Trudno fizykę współczesną streścić w essayu, więc po łebkach i na przełaj naszkicujmy ją nazwiskami jej bohaterów. Einstein (*Żyd* rodem z *Niemiec*) i Planck (*Niemiec*) stworzyli teorię kwantów. Von Laue (*Niemiec*) i Braggowie (ojciec i syn *Anglicy*) odkryli dyfrakcję promieni X co w konsekwencji umożliwiło chemikom rozpoznanie budowy kryształów. Marsden (*Anglik*) i Geiger (*Niemiec*) uczniowie Rutherforda przyczynili się do spenetrowania jądra atomowego. Fizyka teoretyczna zajaśniała w 10 lat po odkryciu Roentgena teorią względności Einsteina, który dał ludzkości prometejską formułę $E=mc^2$. W związku z tym należy wspomnieć Michelsona i Morleya (*Anglików*), którzy zmierzyli szybkość światła oraz H. N. Russell'a, Jeansa i Eddingtona (*Anglików*) twórców współczesnej astrofizyki. Warto także wspomnieć w tym miejscu (aby broń Boże później nie zapomnieć !) że największe teleskopy świata są na Mount Wilson i na Mount Palomar w *Ameryce*, a największy odbiornik radio-astronomiczny jest w *Anglii*. Yukawa (*Japonia*) przewidział istnienie mesonów ,a teorię kwantów rozwinęli de Broglie (*Francuz*) Schroedinger i Heisenberg (*Niemcy*) i Dirac (*Anglik*). Heisenberg jest także twórcą zasady indeterminizmu. Nie wolno również zapomnieć fizyki nuklearnej, którą spopularyzowała bomba atomowa. Tu jaśnieją nazwiska Cockrofta i Waltona (*Anglików*) oraz Lawrence'a (*Amerykanina*), którzy pierwsi zbudowali akceleratory nuklearne, Chadwicka (*Anglia*), który odkrył neutron i Andersona (*Ameryka*) odkrywcy positronu. Joliot (*Francuz*) jest odkrywcą sztucznej radioaktywności, Gamow i Beth (*Amerykanie*) odkryli tajemnicę fuzji wodorowej w słońcu (i w pewnym sensie dali drogowskaz dla budowy bomby wodorowej)

a Fermi (*Włoch*), Hahn i Strassman (*Niemcy*) rozszczepili atom. Należy także przypomnieć (choć kto już może zapomnieć), że *Ameryka* pierwsza zdetonowała bombę atomową a *Anglia* pierwsza przeprowadziła kontrolowaną fuzję wodorową w aparacie „Zeta". I choć Rosja chwali się pierwszeństwem siłowni atomowej, jedyny Calder Hall, w *Anglii,* dostarcza energię atomową gospodarczo opłacalną.

Elektronika, równie sensacyjna dziedzina fizyki, ma bohaterów innego typu. Nie będziemy upierali się o wielkość Marconiego (*Włocha*), Edisona (*Amerykanina*) czy Popowa (*Rosjanina*). Ich praktyczność dała początek nowej dziedzinie scjentyfiki, która wciąż jeszcze, mimo imponujących osiągnięć, nie dała swej prawdziwej miary. Radio, radar, telewizja, komputory elektroniczne, elektron mikroskop i legion mniej spopularyzowanych lecz niemniej ważnych zastosowań elektroniki rywalizują ważnością z energią nuklearną. Znamienne są jednak głównie tym, że jednoczą praktykę i teorię, wynalazcę i scjentystę, w sposób bardziej nawet przekonywujący niż technologia bomby. Nie dawniej jak sto lat temu, wiekopomne odkrycia medycyny, bakteriologii, chemii, nawet fizyki mogły być wynikiem empirycznych, czysto przypadkowych wynalazków. Dzisiaj coraz bardziej odbiegamy od tej możliwości. Kręcimy nosem na wynalazki nie przewidziane teorią. Wynalazca przestaje być człowiekiem praktyki a staje się kapłanem teorii. Naukowiec (Wissenschaftler) staje w szeregu pracowników i jak oni staje się anonimem, „wielkim niemową". Energia nuklearna i rozmaite zastosowania elektroniki wymagają więcej niż inżynierskiej smykałki. Zawiłość tych spraw i mnogość powiązań utrudniają jednostkowy wyczyn. Indywidualizm scjentyfiki nieuchronnie przechodzi w kolektywizm. Bomby, siłownie nuklearne, akceleratory, sztuczne satelity, komputory elektroniczne nie mogą być indywidualnym dokonaniem. A takich spraw jest coraz więcej na wszystkich poziomach i we wszystkich dziedzinach. Nazwisko nawet najgłośniejsze i najbardziej reklamowane, nie symbolizuje już dokonania. Zbyt wiele wiemy o trudności i zawiłości tych spraw aby wierzyć w „nadczłowieka". A dalszą konsekwencją tej anonimowości jest, że nie można zasługi przypisywać nawet poszczególnym narodom. Mit „wybranego narodu" skończył się razem z mitem „nadczłowieka". Scjentyfika, nagle i na przekór wszystkim szowinistom stała się prawdziwie międzynarodowa. Jak w maszynie, koło zębate zahacza o koło, przyczyna rządzi skutkiem, a skutek wynika z przyczyny. W korcu wynalazków, teorii, odkryć, obliczeń, praktycznych detali, trudno znaleźć inicjatora. Zasadnicza myśl jest przeważnie iloczynem wielu dyskusji, sumą logiki i przypadku, ułamkiem wkładu wszystkich narodów. Bohaterami elektroniki nie są jednostki, nie są nawet pojedyncze narody, mimo że... radar narodził się w *Anglii.*

Zupełnie podobnie można by wykreślić postęp chemii od indywidualizmu Priestleya (*Anglika*), Lavoisiera (*Francuza*) czy

Daltona (znowu *Anglika*) i setki innych nazwisk, które wsławiły wszystkie niemal narody „*Zachodu*" (świeci między nimi niepoślednią jasnością Mendelejew (*Rosja*) aż po anonimowy kolektywizm polimerów, plastyków i sztucznych włókien, materiałów silikonowych, węglofuorowych, farmaceutyków, wskaźników radioaktywnych, sposobów katalitycznych, mikro-chemicznych, bio-chemicznych, fizyko-chemicznych. To samo — mutatis mutandis — można powtórzyć o biologii, medycynie, geologii, geofizyce, meteorologii, astronomii, matematyce itd.

Nie oznacza to, rzecz jasna, zaniku luminarzy naukowych. Nie znaczy, że w świecie naukowym „nazwisko" przestało się liczyć, ale rozmiar i zawiłość każdej nowej dziedziny badań sprawia, że „luminarzy" jest zbyt wielu nawet na łakomy apetyt zawodowych reklamiarzy, a „nazwisko", nawet gdy przemawia do „wtajemniczonych", nie wiele znaczy dla szarego człowieka. A fakt, że każda lista „luminarzy", każde uszeregowanie nazwisk we wszystkich dziedzinach scjentyfiki wykazuje przytłaczającą przewagę nazwisk „zachodnich" także nie wiele znaczy. Ideologia „Zachodu" ukochała indywidualizm, więc chwali się jednostkowym wyczynem, natomiast Rosja Sowiecka uwielbiła kolektywizm i uznawała przez długi czas tylko indywidualizm Stalina. Nie mówiąc o tym, że polityczna żelazna kurtyna bardzo skutecznie izolowała dokonania rosyjskie, które są z tego powodu mniej znane na Zachodzie. Ale wynika z tego także, że Rosja nie brała w postępie scjentyficznym większego udziału niż inne narody. Jeśli chodzi o ścisłość „mała" Anglia bije jakością swej teorii i ilością swych „luminarzy" zarówno Rosję jak i Stany.

Ale... „Adam Mickiewicz był wielkim poetą i Juliusz Słowacki był wielkim poetą, ale przecież Mickiewicz był większy od Słowackiego". Nie powtarzajmy błędu polonisty krakowskiego gimnazjum. Nie powtarzajmy błędu prostaków, którzy w bombie atomowej widzieli przewagę Stanów a w Sputniku widzą przewagę Rosji. Pytanie: „Kto jest większy?" — nie ma sensu, więc odpowiedź nie może mieć sensu.

MORAŁ

W tym samym mniej więcej czasie, gdy polonista krakowskiego gimnazjum ogłaszał swą wiekopomną (— powiedzmy: półwiekopomną —) ocenę literacką słyszałem recytację poematu pt. „Moskwa". Deklamowała jedna z wielkich polskich aktorek. Która — nie pamiętam! Nie pamiętam nawet nazwiska autora poematu! (Czy nie Tytus Czyżewski?) Pamiętam tylko, że brzmiał — mniej więcej — następująco:

„Tu-Tam, Tam-Tu, Tam, Tam, Tam-Tu,
Tam-Tu-Tu, Tu-Tam-Tu..." itd.

To futurystyczne, z murzyńska brzmiące ,,tamtam'', odtworzyła artystka w tak przejmujący sposób, że wrażenie jakie odniosłem pamiętam dźwiękowo i plastycznie poprzez otchłań ponad trzydziestu minionych lat. I pamiętam także salę rozdwojoną namiętnością na tych, którzy zapamiętale oklaskiwali każde ,,Tu'' i tych którzy egzaltowali się każdym ,,Tam'' jak gdyby ,,Tu'' czy ,,Tam'' wyrażało coś więcej niż symbol indywidualnych przesądów, uprzedzeń, uniesień i niechęci. No i... sztukę recytatorki.

Henryk SCHOENFELD

Fragmenty z dziennika

Środa

Pogoda wjeżdża w brudną niepogodę, chmury jeszcze niewiedzące czy będą lać wyłażą wprost z nieba, słońce niekiedy wystrzela rozpromieniając plażę, na której złocistość, niebieskość i biel tańcują. Na piasku zabawki, dowcipki, figielki — ale gorzko, strasznie opłacone tym, że oni musieli się rozebrać! Cynizm niesłychany! Ta ich zabawa to akt rozpaczliwego bezwstydu, tak, odważyli się na to... rozebrali się... zdjęli obuwie, skarpetki, pończochy, majtki, kalesony, spodnie, krawaty, koszule, bluzki, marynarki... i hejże ha!... zbratani z naturą, figlują sobie na pseudo-golasa! Albowiem ten golas nie nagi, ale rozebrany! Co za bezczelność! Tak, tak, figluje żona tego aptekarza, patrzcie ją, nóżką w piasku grzebie, pięta jej, obnażona, wystaje, wyłazi — i figluje szef działu sprzedaży, kopie balon, sapie, wykrzykuje! Ha, używanie na całego! Na golasa! Ale golas rozebrany, obnażony! I rozebrany szef! Aptekarzowa bez majtek! A palce u nóg dziko uzupełniają palce u rąk! I cała plaża ryczy wściekłą prowokacją cielesnej ohydy. Boże, dozwól mi zwymiotować kształt ludzki! Pies się ukazał. Pies, który — niepokalany — przeszedł z wykwintem psim — dystyngowany...

Przyglądałem się temu ze wzgórka, a ze mną był Atilio, kulturalny znawca sztuk z Meksyku. Powiedział: — Śliczny obrazek. Jest w tym trochę Turnera, co?

Rzeczywiście — śliczny obrazek, tyle tylko, że z potworności zrobiony.

Czwartek

Piniera twierdzi, że każdy szanujący się pięknoduch w Hawanie musi mieć swoją „starożytność" — zegar z epoki Ludwi-

ka XV, figurkę z XIV w., medalion — z którą się nie rozstaje dedykując jej entuzjazmy, które umieściłby w katedrach, muzeach, we wszelkiej w ogóle starzyźnie europejskiej, gdyby los pozwolił mu odbyć pielgrzymkę do Europy. Jak się okazuje, Atilio, który jest Meksykańczykiem,, także ma swoją starożytność. Wczoraj wydobył ze wspaniałego, skórzanego, futerału srebrny kubek i pokazał mi z nabożeństwem.

— Autentyk !

No, możliwe... Było to sporych rozmiarów i wściekłe renesansowe, pełne scen jakichś, rzeźbionych, wypracowane w każdym milimetrze — gąszcz niesamowity figur, ornamentów — na rozplątanie tego, na to aby wniknąć w wieloletnią zapewne pracę artysty trzeba by poświęcić kubkowi sporą ilość godzin metodycznej analizy. Wątpię aby zdobył się na to którykolwiek z jego dotychczasowych posiadaczy — prawdopodobnie kubek przez nikogo, nigdy, nie został ,,rozpatrzony''. Co do mnie, ograniczyłem się do stwierdzenia, z lotu ptaka, że robota wydaje się dobra... po czym przypomniałem sobie stare porcelany mojej matki, paradujące rzędem na półkach i również pełne finezji, nigdy przez nikogo nieodkrytych. Wystarczało, że porcelana jest autentyczna...

Atilio, pogładziwszy lubieżnie kubek (czym niejako obejmował w posiadanie ów przedwiekowy wysiłek) i obrzuciwszy go syntetycznym wzrokiem (kubek w kubek jak ten, którym obrzucaliśmy nasze porcelany) schował go do futerału. I wydobył z walizki kupę albumów. — Zawsze zabieram ze sobą te albumy — rzekł. — Nie umiałbym żyć bez tego ! Była to katedra w Chartres, Picasso, Michał Anioł, etruskie wazy, freski Giotta i greckie świątynie. — Ach ! — wołał Atilio, przerzucając karty. — Ach, niech pan rzuci okiem tu... tu... A co ? ! Nieprawdaż ! Ja rzucałem okiem i on rzucał okiem, lecz było to raczej jakbyśmy kąpali się w morzu... najechani skłębieniem form, niczym falami, utopieni w tym i zatraceni. Katedra w Chartres przywaliła mnie, jak góra wodna. Ileż miesięcy, lat, wymagałoby rozeznanie się w katedrze będącej od dołu do góry, aż po łuki sklepień, kamieniem wypracowanym, udręczonym, nasyconym pasjami, uczłowieczonym — jakby czeredy całe pracowników rzucały się na kamień, niczym fale. Jakże jeden widz może wchłonąć trud tylu artystów ? Ale Giotto z Picassem i z Michałem Aniołem czyhali już na nas, gdyśmy przerzucali plansze katedry. — Ha ! — miotał się Atilio — Ha ! Wspaniałe ! — Tonęliśmy. Tonęliśmy w tym, jak w sklepie zbyt bogatym i, jak dzieci łowiące motyle, coraz to wychwytaliśmy jakąś linię, plamę, będącą bladym świadectwem tego co nam się wymykało...

Nie wiele zobaczyliśmy... my raczej robiliśmy inwentarz... jak skąpiec, który z ręki do ręki przekłada sztuki złota, sycilişmy się samym tym bogactwem prawie nie patrząc... i ufni, że jednak musi istnieć ktoś, kto to *rozpatrzył*. Oto fresk Giotta. Nie mogę poświęcić mu zbyt wiele czasu, ale ufam, ufam, że

ktoś inny wpatrzył się, rozpatrzył... Tu jednak myśl zaskoczyła mnie fatalna: a jeśli tego innego nie ma? I jeśli *każdy* zwala ten ciężar zobaczenia na innego i jeśli to rozkoszowanie przekazujemy sobie z ręki do ręki, spychając je w nicość? Atilio wzruszył ramionami:

— Puf! Mnie pan to mówi! Ja pół życia wsadziłem w sztukę...

Kłamał. Prawdopodobnie nigdy nic innego nie robił, jak tylko przerzucał od niechcenia karty wielkiego albumu sztuki plastycznej. Przerzucał tylko... i tu i ówdzie rzucał okiem... dziobał jak kura... Ale jak udowodnić, że kłamie?

Piątek

Seniora Mercedes H. de A. specjalnie przybyła z Buenos Aires aby zobaczyć kubek Atilia (Atilio nie wraca do B. A., jedzie do Chile) — ta dama jest chuda, hermetyczna, bezgłośna, i wzięła kubek do ręki, przyjrzała mu się, potem odstawiła i — Ach! — szepnęła. — Nie darowałabym sobie nigdy gdybym pozwoliła wyjechać panu z Argentyny nie zobaczywszy tego kubka! Doszeptała po krótkiej pauzie: — Chcę też wiedzieć co myśli pan o Pettorutim, o jego ostatnim kolorze? Atilio skrzywił się: — Wolałem go sprzed pięciu lat. — Zgadzamy się! — wykrzyknęła prawie niedosłyszalnie, ucieszona. Wsiadła do samochodu. Odjechała.

To dziewczę, blondynka, Polka, młoda malarka, którą przed paru laty poznałem, gdy pojawiła się tu via Paryż z kraju — przypomniała mi się kiedy patrzyłem na potężny samochód uwożący panią Mercedes. Ta nie miała samochodu. Spędziła w Argentynie parę miesięcy. Biegając z wystawy na wystawę. Od malarza do malarza. Pracowita. No, ta nie chciała zmarnować ani chwili. Skoncentrowana. Dysząca pragnieniem wzbogacenia swego malarskiego stanu posiadania. Jak wyżeł węsząca za „wartościami". Nie mówiąca o niczym innym. Kopiująca, szkicująca, notująca. Wsadzona bez reszty w problemy plastyczne i wciąż, bez wytchnienia, kształcąca się szczerze, skromnie, pracowicie. Nic bardziej denerwującego niż jej pracowitość, łakoma i pobożna, trusiowata.

Co prawda Mercedes... Co lepsze: czy ta uznojona, proletariacka łapczywość, zażarta w „samokształceniu", czy plutokratyczno-arystokratyczny gest bogaczki, która przejechawszy 400 kilometrów aby obejrzeć kubek zaledwie jedno niedbałe poświęciła mu spojrzenie — ale po cóż miała oglądać, wystarczyło chyba że ona, Mercedes, do niego przyjechała z wizytą! Jakże męczące w sztukach plastycznych to, że one, takie materialne, są zarazem kościołem i salonem, sztuką i biżuterią... Znalazłem w hotelu dziennik p. Jerzego Rohde, sekretarza ambasady argentyńskiej w Paryżu oraz literata, zatytułowany „Pięć lat Paryża".

,,Cuantas ezpresiones del arte, hijas del supremo buen gusto!'' (Ileż dzieł sztuki, zrodzonych z najznakomitszego gustu!) Ten błogi wykrzyknik zawitał na jego wniebowzięte usta na widok gobelinów, bronzów z Clodion, sreber Roettiera, obrazów Fragonarda i innych cudów uszlachconego Żyda francuskiego, monsieur de Camondo, w jego paryskiej rezydencji, będące kopią Petit-Trianon. Pan Rohde admiruje dzieła sztuki, tudzież dukesy, ale dukesy bardziej. ,,Loli Lariviere — zachwycająca — zabrała mnie ze sobą do salonu księżnej de La Rochefoucauld...'' (Loli Lariviere — la encantandora — me lleva al salón de la duquesa de La Rochefoucauld...). Przestudiowałem już z 50 stronic i zaczynam poważnie się zastanawiać, czy pociąg nasz do starego Fragonarda i do starej de La Rochefoucauld nie wypływa z tego samego źródła — byłoby nim upajające słówko ,,arystokracja''.

Sobota

Niedawno na bankiecie ku uczczeniu Raquel Forner (zmanierowanej i kiepskiej, moim zdaniem, malarki argentyńskiej) oraz jej męża, rzeźbiarza Bigatti (bo, załapawszy jakąś nagrodę, wyjeżdżali do Stanów), widziałem ich, malarzy, całe gremium rozgadanych, kropiących sobie dyskursy, świętujących. Ja obserwowałem to z boku, z innego stolika w tej restauracji. ,,Do podziwienia'' jak mówi lud — rzeczywiście dziwne jest widzieć jak mechanizm poniżający przemienia się w takich okolicznościach w mechanizm wywyższający. Albowiem każdy z tych malarzy lekceważył w duchu swych koleżków tu obecnych — nasz pędzel argentyński nie umywa się do paryskiego! — a jednak tutaj, na bankiecie, wszyscy razem, świadcząc sobie wzajemnie honory, stawali się nie byle lwem; wszyscy w kupie stawali się peanem na własną cześć; i ten stół rozbrzmiewał chwałą, ten stół wydawał się doniosły, nawet imponujący, ze względu na ilość osób partycypujących w auto-wywyższeniu.

Inna rzecz, że niedługo to trwało. Wkrótce opadł im ogon pawi, a ich kondycja wyrobników wzięła górę. Rozmowa skoncentrowała się na wystawach, nagrodach, sprzedaży obrazów — byli jak właściciele przedsiębiorstw, troszczący się o tę swoją fabryczkę, zapobiegliwi i trochę zgorzkniali, pełni pretensji do społeczeństwa, które nie zna się, nie chce kupować... Oni przeważnie są anarchistami, nieraz — komunistami, ale naprawdę są związani na śmierć i życie z burżuazją. Tylko burżuj może sobie pozwolić na to co ich zachwyca — na piękne wnętrze, kubki renesansowe, cenne autentyki, na smakoszostwo — wszystko to jest zaprzeczeniem produkcji masowej, czyli proletariackiej. I, cokolwiek by się powiedziało, ich cenne przedmioty są po to żeby ktoś je posiadł, posiadł materialnie, żeby stały się czyjąś własnością — posiadanie w tej sztuce znaczy tak wiele — a to nie może się obyć bez prywatnego kapitału.

Niedziela

Z panią Kropką Czerwińską rozmawiałem o Anglii.

Teraz jestem na plaży, wśród ciał i piszę leżąc na brzuchu. Zastanawiam się... zastanawiam się czy mój bunt przeciw sztuce plastycznej nie począł się z moich portretów... Kilka razy pozowałem malarzom i zawsze — zaniepokojony, bo ten wzrok cudzy, osuwający się po moim kształcie, bo ja wydany na pastwę tym oczom bacznym, natężonym, jak gdyby nadmiernie uważnym... i on tam, za sztalugą, robiący ze mną, co mu się podoba. Sytuacja wysoce anormalna, po której należałoby wiele się spodziewać — w sensie twórczo-artystycznym... Ale już podczas malowania odnosiłem wrażenie, że przewaga nade mną malarza jest iluzoryczna — po prostu dlatego, że on nad moim kształtem nie jest w stanie zapanować a trudności techniczne, związane z odtworzeniem na płótnie mego nosa, uszu, policzków, czynią go raczej mozolnym rzemieślnikiem niż panem i władcą mojego ciała. I w miarę posuwania się roboty owa kombinacja linii i plam, odtwarzająca kształt, stawała się coraz bardziej skomplikowana — im tedy bardziej przenosił mnie na płótno, tym bardziej ja mu się tam panoszyłem, tym trudniej przychodziło mu zmienić coś w owym układzie, ,,zrobić coś'' ze mną, przetworzyć. Przypuszczam, że gdyby skała, czy też drzewo, mogły coś odczuwać, doświadczałyby takich własnie ironicznie-triumfalnych uczuć wobec atakującego ich pędzlem malarza, uczuć, rzekłbym, triumfującego bezwładu, które wynikały z tego, że malarz aby uchwycić kształt musi mu się poddać — a z chwilą gdy go uchwycił i przeniósł na płótno, już nie da mu rady, bo ta sama ,,rzecz'' króluje teraz na obrazie i przygważdża swoją nieubłaganą rzeczowością. Wydawało mi się zatem, że upokarzająca fizyczność tej sprawy, owo kolejne odtwarzanie nosa, uszu, oczu, włosów, ta smętna zmysłowość, poddająca się naturze, odbiera malarzowi możność twórczości — a w każdym razie, że margines przeznaczony na twórczość staje się, w miarę mego konkretyzowania się na obrazie, fatalnie wąski i znikomy. Doprawdy zaczynałem litować się nad nim — widząc jak walczy swym archaicznym pędzlem, tym samym co przed trzystu laty, skazany jedynie na własną zręczność, wyrzekając się dobrowolnie całej nowoczesnej techniki, która pozwala na opanowanie materii. Ale on z materią moją zmagał się po staremu! Aż w końcu portret był gotowy. I został mi ukazany. Rozczarowanie!

Miałem to, niby, być ja, przepuszczony przez jego widzenia, ale istota moja została zredukowana do fizycznego ,,konkretu'' — konkretu, który znów uległ streszczeniu do jednej tylko sekundy mego bytowania, zatrzymany w czasie — i oto ja, nieuchwytny, lotny, zmienny, stający się nieustannie, tkwiłem na tym portrecie na wieki zamrożony. Co się stało?! Zamienił mnie w rzecz! Namalował mnie akurat tak samo jakby malował ten tam kamień, ha, dopiero teraz odkryło mi się, że on ludzi maluje akurat tak samo jak inne przedmioty. I cóż z tego, że

mnie przepuścił przez swoje widzenie?... Namalował mnie tak jak gdyby to nie o mnie, a o mój but chodziło!

Wtorek

Spotkałem tę bandę pokracznych nagusów — zmysłowo brodatych lub co najmniej włochatych — w pobliżu Quequenu; pomagali rybakom wyciągać sieci. Mnie aż coś odrzuciło. Nie znoszę ich cyganerii w okularach z bródką, ich cielesności rozwydrzonej a miejskiej, tej ich artystycznej „prostoty" skombinowanej ze wszystkimi możliwymi chorobami... Ale podszedłem, pozdrowiłem i powiedziałem (jak zawsze, gdy mi się napatoczą).

— Nie wierzę w malarstwo (*no creo en la pintura*)!

Odpowiedzieli wybuchem śmiechu.

Odrzekłem: — Wyobraźmy sobie, że któryś z was namalował tego oto rybaka. Jak sądzicie? Czy ja zdołam ocenić kunszt obrazu, jeśli będę pozbawiony wyczucia koloru, formy, i mój smak nie będzie należycie wykształcony? Jeśli, słowem, nie będę umiał patrzyć odkrywczo, po malarsku?

Oni: — No, pewnie! W tym wypadku nic z obrazu nie wydobędziesz.

Ja: — Nieprawdaż? Ale jeśli to wszystko potrafię, na cóż mi obraz?

Oni: — Jakto?

Ja: — No, tak! Jeśli sam potrafię widzieć, to wolę się patrzyć na żywą twarz rybaka. Zamiast jednego obrazu będę ich miał dziesiątki, bo ta twarz jest coraz inna, ukazująca się pod innym kątem, w innym oświetleniu. Jeśli zdołam wydobyć walor malarski żywej twarzy, na cóż mi twarz nieruchoma waszego malowidła? A jeśli nie zdołam, to i obraz nic interesującego mi nie powie.

Mamże porzucać ten wir olśniewający kształtu, światła, barwy, jakim jest świat, dla waszego martwego królestwa, gdzie nic się nie rusza! Jeszcze nie wyczuwacie, którędy chcę się dobrać do was?... Chcę powiedzieć ni mniej ni więcej, że pędzel wasz nie jest w stanie oddać aspektu plastycznego świata. Gdyż świat, to forma w ruchu. Nawet gdy kształt jest nieruchomy, światło, powietrze, się zmienia. A wy na płótnach waszych skazujecie naturę na paraliż odbierając kształtowi jego życie: ruch.

Oni: — Co? Co? Malarstwo nie wyraża ruchu? Absurd! Ruch w obrazie, choć zawieszony, choć znieruchomiały, jest właśnie ruchem — jest, dlatego właśnie, bardziej ruchem!

Ja: — Ha, ha, ha, ha, ha, ha, ha!

Kłamstwo! Ach, jak ja lubię te typowe kłamstwa sztuki, zawsze gotowej wmówić, że jej niemoce są siłą!

Tak, między nami... Przecież nikt nie słyszy... Tak, prywatnie... Zgódźcie się, że gdybyście mogli ściągnąć na swoją paletę ten boski ruch ożywiający, bylibyście w siódmym niebie!

Ale nie możecie! Malujecie, jak malujecie, ponieważ nic stać was na nic lepszego.

Dlaczego nie przyznać, że pędzel jest instrumentem nieudolnym?... To tak jak gdybyście ze szczoteczką do zębów porwali się za ziejący blaskami kosmos.

Żadna sztuka nie jest tak uboga w środki wyrazu — prócz może rzeźby. Malarstwo jest jedną wielką rezygnacją z tego, co się nie da namalować. To krzyk: chciałbym dużo więcej, ale nie mogę! Ten krzyk męczy.

Czy chcecie posłuchać krótkiej opowieści o waszym bankructwie?

Dawniej malarze dążyli do najwierniejszego odtworzenia natury. Ale po cóż odtwarzać coś, co jest? I poza tym, czyż to nie oznacza skazywać się na wieczyste partactwo? Natura maluje lepiej. Żaden Tycjan nie namaluje twarzy tego rybaka z równą doskonałością — tu błąd jest wykluczony, gdyż każdy cień, każda plamka są takie, jak dyktuje fizyka.

Nie mogąc tedy sprostać naturze, zaczęto ratować się „duchem”. Coraz więcej ducha ludzkiego pakowano w obraz. Tu wszakże wylazła na wierzch zmysłowość malarstwa, z istoty swojej przeciwna duchowi. Co począć z tym duchem, mając do czynienia prawie wyłącznie z materią? Wpompować go w obraz jako podniosłą treść — jako anegdotę?... Ależ był to duch doczepiony i zgoła komiczny!

Wówczas jęło się objawiać coraz wyraźniej, że malarz musi wyrazić nie naturę zewnętrzną i nie ducha, ale swoje widzenia natury... czyli siebie samego, nie przekraczając wszakże granic właściwej sobie strefy fizycznej... wyrazić siebie środkami ściśle malarskimi, kształtem, barwą... Poczęto tedy deformować obiekt. Ale jakże wyrazić siebie malarstwem pozbawionym ruchu? Wszak egzystencja jest ruchem, dokonywa się w czasie. Jakże mogę przekazać siebie, czyli moją egzystencję, operując jedynie zestawieniami nieruchomych kształtów? Życie to ruch. Jeśli nie mogę dać ruchu, nie mogę dać życia. Zauważcie, że mam na myśli ruch prawdziwy, nie zaś sugestię ruchu, jaką daje malarz szkicując np. skaczącego konia. Porównajcie pod tym względem barwę i linię ze słowem. Słowo rozwija się w czasie, to jak pochód mrówek, a każda przynosi coś nowego, nieoczekiwanego, ten kto wyraża się słowem co chwila odradza się na nowo, zaledwie skończyło się jedno zdanie już następne je uzupełnia, dopowiada, i oto ruchem słów wyraża się gra nieustanna mojego istnienia — wyrażając się słowem jestem jak drzewo na wietrze, szumiące, drgające. A malarz jest wywalony bez reszty w jednym rzucie, cały w przestrzeni, nieruchomy na płótnie — jak bryła. Całość obrazu ogarniamy od razu wzrokiem. I co z tego, że w obrazie dostrzegam pewną grę elementów, jeśli ta gra nie rozwija się, nie toczy? Malarstwo może niewątpliwie przekazać nam widzenie malarza, jego przygodę duchową ze światem, ale tylko w przecięciu jednego momentu — a na to, abym ja mógł na dobre wniknąć w jego osobowość, musiałbym

mieć takich wizji tysiące, dopiero one, wszystkie razem, zdołałyby wprowadzić mnie w jego ruch wewnętrzny, jego życie, jego czas.

Jakież to naciągane — twierdzić, że van Gogh czy Cézanne przekazali na płótnach swą indywidualność! Malować jabłka trochę odmienne od naturalnych — i tymi jabłkami chcieć rywalizować z lotnym stawaniem się poezji, muzyki... Człowiek wyrażony jabłkiem! Nieruchomym jabłkiem! Gdyby mnie, literatowi i poecie, powiedziano, że mam siebie wypowiedzieć jabłkiem, siadłbym i płakał w upokorzeniu. Ale cóż — gdy mówimy o sztuce i jej mistrzach, nawiedza nas pewna pobłażliwość... i sympatia, czy nawet uwielbienie, sprawiają, że skłonni jesteśmy patrzyć przez palce na wiele drobnych i mniej drobnych nieścisłości, byle tylko nie popsuć parady... tak tedy gotowi jesteśmy przysięgać, że to jabłka, lub słoneczniki, wprowadziły nas w Cézanne'a czy van Gogha, a zapominamy, że jeśli oni stali się naszymi bliskimi znajomymi, to dlatego, iż biografie uzupełniły olbrzymią lukę, pozostawioną przez słoneczniki i jabłka. Gdyby słowo nie przekazało nam ich życia, nie na wiele przydałyby się nam ich autoportrety.

Malarstwo tedy, choć już deformujące, w dalszym ciągu cierpiało na chroniczny niedosyt — czuli ci męczennicy pędzla (tego niezdarnego instrumentu!), że nie zdołają wypowiedzieć się na szerszą skalę naśladując kształty istniejące w naturze, nawet gdy one ulegną daleko idącym przetworzeniom. Co począć? Jak wyzwolić się z Rzeczy, z tej Rzeczy, do której przykuci byli niczym pies na łańcuchu? Czyż nie byłoby możliwe — zburzyć Rzecz, rozłożyć ją na składniki i stworzyć z tego własny język — język oderwany? Tak poczęło się malarstwo abstrakcyjne. Cóż, kiedy ono także się nie rusza, lub, ściślej mówiąc, jest zastygłym ruchem. W muzyce czysta forma jest do osiągnięcia, bo muzyka się staje, po pianissimo skrzypiec następuje uderzenie perkusji, forma tutaj odnawia się co chwila — ale obraz abstrakcyjny jest jak jeden jedyny akord... to tak jakby muzyk zaprosił na koncert i poczęstował jednym tylko akordem. Abstrakcja odebrała obrazowi namiastkę życia, którą miał będąc naśladowaniem natury — nie dała mu wzamian innej żywotności.

Do diabła z tym waszym malarstwem! Już mi się przejadło. Dość tej manii!

Oni: — Człowieku! Ty nie czujesz! Ty nie wiesz! Nie rozumiesz! Nie chwytasz!

Ja: — Spójrzcie na te trzy zapałki, które kładę na piasku.

Wyobraźcie sobie, że w pewnej grupie ludzi powstaje zacięta rywalizacja na temat: jak ułożyć te trzy zapałki aby stały się najbardziej objawicielskie artystycznie. Jeśli, na przykład, utworzę z nich trójkąt, to chyba będzie ciekawsze niż gdybym położył je rzędem obok siebie. Ale można tworzyć układy jeszcze bardziej interesujące.

Wyobraźmy sobie, że ogromny wysiłek wielu wytrawnych „zapałkarzy" został w to wsadzony; że jedni okazali się bardziej, drudzy mniej pomysłowi; że powstały hierarchie; że wytworzyły się szkoły i style; że narodziło się znawstwo... Ależ, zapytuję, dla czego to miałoby być niedorzeczne? Przecież nawet tymi trzema zapałkami człowiek coś wyrazi — o sobie, o świecie. Przecież, skupiając całą uwagę naszą na tych trzech zapałkach, możemy odkryć w nich misterium kosmosu — wszak one są jego cząstką, a wiadomo, w kropli wody odbija się wszechświat — wszak one są ni mniej, ni więcej, tylko Rzeczą w całym swoim majestacie — wszak w ich zachowaniu się wyrażają się prawa natury — wszak spoglądając na te zapałki z odpowiednim skupieniem dokonywujemy uroczystego aktu, konfrontujemy Świadomość z Materią.

To wszystko — pod warunkiem, że zaczniemy się w nie *wpatrywać*. Pytanie tylko — czy warto, czy warto, czy warto? Przecież moglibyśmy równie dobrze i może nawet z lepszym skutkiem użyć zamiast obrazu do tego wtajemniczenia drzew, zwierząt, czy czegokolwiek innego.

I ja nie przeczę, że jeśli z takim natężeniem zaczniemy wpatrywać się w Cézanne'a, to Cézanne stanie się rewelacją. Pytanie tylko — czy warto, czy warto, czy warto? Dlaczego nie poszukać tych rewelacji gdzie indziej?

Moim zdaniem, mylicie się gorzko sądząc, że obrazy są same w sobie czymś objawicielskiem i dla tego przyciągają spojrzenie ludzkości. Według mnie rzecz ma się na odwrót. Obrazy stały się objawicielskie, ponieważ ludzkość zaczęła doszukiwać się w nich objawienia — wtedy rażące ubóstwo tej sztuki zagrało głębią i bogactwem.

Dlaczegóż jednak ludzkość zaczęła wpatrywać się w obrazy?

Odpowiedzi na to poszukajcie w mechanizmach współżycia ludzkiego, w ich historycznym rozwoju. Obraz, mimo wszystko, jest ładny — nieprawdaż? Służy do ozdoby. Powstał więc rynek na obrazy, podobnie jak na biżuterię. Zaczęto płacić, albowiem — parafrazując Pascala — jeśli na mojej ścianie wisi Tycjan to znaczy, że jestem kimś z kim trzeba się liczyć, gdyż jestem bogaty. Ten ładny przedmiot — obraz — rozżarzył przeto instynkt posiadania królów, książąt, biskupów, aż do burżuazji, a zapotrzebowanie wytworzyło całą skalę wartości. I złożyło się na to wiele skomplikowanych przyczyn, ot choćby ta, że ludzkość miewa, jak pojedyńczy człowiek, swoje zabawy i manie... któż, na przykład, mógł był przewidzieć, że pewnego typu kamienie, jak brylant, lub rubin (których efekt artystyczny jest znikomy), wytworzy w ludzkości tak potężne pożądanie. A znaczki pocztowe?

Naturalnie obraz nie jest znaczkiem pocztowym. Jest jednak sztuką, choć mocno ograniczoną w swoich środkach wyrazu. Skombinujcie artystyczny ładunek obrazu z tymi innymi siłami, nie wiele ze sztuką mającymi wspólnego, a zrozumiecie czemu

wyskoczył tak wysoko w naszym odczuwaniu, nieomal na wyżyny świętości.

Pytanie tylko — czy warto utrzymywać go na tej wysokości?

Dziś wasz proceder jest następujący : *naprzód* ów skomplikowany mechanizm stadowy, który historycznie się wytworzył, rzuca was na kolana przed obrazem — a *potem dopiero* najbardziej wyszukaną argumentacją usiłujecie sobie wytłumaczyć, iż jeśli wpadliście w zachwyt, to dlatego iż dzieło godne jest zachwytu.

Czy warto oddawać się tak zawiłym igraszkom z własnym odczuwaniem ?

Przestańcie się zachwycać — to prościej.



(Wszystko co im wygarnąłem — dość przypadkowe. Niewyczerpujące. Można by zajechać ich od innej strony — od dziesięciu stron — ich pięty achillesowe liczą się na tuziny.

Nie na tym mi zależy, aby wyłożyć pełny garnitur racji — na tym, aby się zbuntować. Chcę zaprotestować ! Wierzę, że za mną pójdą inni. Opatrzności, dozwól abym wytrwał jeszcze parę lat w opozycji — ona powinna znaleźć swoich ludzi.

Wykoleić entuzjazm, który posuwa się upartym szlakiem !

Zresztą moja wojna z malarstwem, jak z poezją wierszowaną, jest przede wszystkim wojną ze środowiskiem — malarzy, poetów — z grupą, z profesją... Nigdzie bardziej niż tutaj nie sprawdza się prawo, że warunki produkcji urabiają Ducha na swoją modłę — nic znakomiciej nie ilustruje tezy marksowskiej, jak ta straszliwa mistyfikacja, której oni, marksiści, nie ważyli się ruszyć. Malarze, poeci, ich zelanci i akolici, to typowa świadomość przystosowana — oni nie tylko wierzą, ale i chcą wierzyć. Moja pretensja do nich jest o to, że im wiara przychodzi zbyt łatwo, nawet zbyt skwapliwie — maniacy, wykorzystujący dla swej sztucznej pasji pewien sztuczny stan rzeczy, który historycznie się wytworzył. I żaden nie chce otrzeźwieć. Każdy robi co może aby utonąć w swej manii. I mnie chcą utopić. Ja będę się bronił !)

Sobota

Pokazałem im zapałki. Szkoda : że nie pokazałem im także papierosa.

Czyż papieros nie dostarcza nam wielkiej rozkoszy ? Nieomal takiej jak jedzenie ? Któż jednak ośmieliłby się porównać chleb z papierosem ? Chleb to autentyczna konieczność nasza a papieros stał się wartością dopiero gdy zrodziła się potrzeba sztuczna, stworzona przez przyzwyczajenie — nałóg.

A zatem nie bądźcie tacy dumni, że ludzkość dzisiejsza wchłania z lubością wonny dym, bijący z wystaw malarskich.

Nie podaję w wątpliwość wrodzonej człowiekowi potrzeby piękna. Ale zapytuję, czy w pewnych rodzajach sztuki (jak wiersz lub malarstwo) producent nie zanadto fabrykuje sobie odbiorcę.

Ten nacisk, wmuszający w ludzi obrazy — ależ to daje do myślenia !

Piątek

Z listu do Artura Sandauera — w związku z felietonem p. Kisiela w krajowym Tygodniku Powszechnym, którego tytuł „Sandauer i Gombrowicz, czyli zmowa nieobecnych".

„Czytając ustęp z pańskiego szkicu, cytowany i atakowany przez niego, pomyślałem, że tu najlepiej widać, jak bardzo on nie umie nas czytać, ani pana, ani mnie, jak nic z nas nie rozumie. Ten szkic pana jest mi zupełnie nieznany, poza ustępem zamieszczonym przez Kisiela — pojęcia nie mam co pan napisał, a mimo to niech pan pozwoli, panie Arturze, że powiem, jak z mego punktu widzenia należy interpretować pańskie słowa.

Oto one, jak je podaje p. Kisiel :

„Powstaje coś, co w literaturze polskiej było zupełnym novum : autoironia, autokompromitacja. Wyśmiewając siebie i wyszydzając całą dotychczasową problematykę polską, Gombrowicz pozbywa się tej nadętości, tej uroczystości, jaka stanowiła przez długie lata cechę naszej kultury i zdaje się tym otwierać perspektywę dla stworzenia kultury bardziej autentycznej, bardziej narodowej...".

To właśnie rozdrażniło p. Kisiela — i wywodzi on triumfalnie w swoim artykule, że to pańskie „novum" jest właściwie nihil novi ; że literatura nasza, od wieszczów począwszy, pełna była tej właśnie „autoironii i autokompromitacji". „To jedna z podstawowych tradycji i konwencji tej literatury od lat stupięćdziesięciu" — pisze.

Ale tak napisał, bo nie zrozumiał należycie pańskich terminów. Pan Kisiel mniema, że np. Wyspiański w „Weselu" dopuszcza się autokompromitacji, tudzież uprawia autoironię. Oczywiście — nic podobnego. „Wesele" stanowi, być może, kompromitację narodu polskiego, ale on sam, Wyspiański, jest tutaj sędzią najwyższym ; i on to ciska gromy i rozdziera szaty. Nie jest zatem „Wesele" autokompromitacją Wyspiańskiego, podobnie jak nic nie mają wspólnego z autokompromitacją gromy, przekleństwa, szyderstwa, ciskane na naród poczynając od Słowackiego, poprzez Norwida, Bobrzyńskiego czy Brzozowskiego, na Nowaczyńskim kończąc.

Czyż pisząc „autokompromitacja" nie miał pan na myśli tego że ja w „Ferdydurke" przyjąłem postawę rzeczywiście dość niespodziewaną proklamując własną niedojrzałość i zarzucając

innym autorom, że oni niedojrzałość swoją ukrywają? Czyżby to nie było jednak pewnym „novum" w naszym piśmiennictwie? Bodaj i w powszechnym? I tu można już mówić o „autokompromitacji", pod warunkiem, naturalnie, że owo wyznanie niedojrzałości nie będzie tylko fintą polemiczną i efektem humorystycznym. Jakiż dialog wywiązałby się między Wyspiańskim a mną, gdybyśmy mogli spotkać się w cukierni na kawie? On: — *Boleję nad przywarami narodu polskiego, ponieważ jestem od narodu polskiego dojrzalszy.* Ja: — *Nie boleję bynajmniej nad narodem polskim; boleję li-tylko nad własną niedojrzałością, a naród obchodzi mnie jedynie jako jeden z czynników, które mi niedojrzałość moją urabiają; ja zatem biorę się za łby z narodem, tak jak biorę się za łby z każdym innym zjawiskiem, które mi dojrzałość utrudnia lub uniemożliwia; co jednak nie znaczy abym był dojrzalszy od moich rodaków, nie, ja tylko jestem bardziej świadomy swej niedojrzałości i to pozwala mi uzyskać* dystans; *ale wyznam, że, z drugiej strony, ta niedojrzałość zachwyca mnie i urzeka i wypełnia rozkoszą. Albowiem jestem zarazem dojrzałą Niedojrzałością i niedojrzałą Dojrzałością...*

Pomińmy ostatnie zdanie, może za trudne dla osób nieprzyzwyczajonych... Ale przecież widać z powyższego, że moja „krytyka" narodu nie ma nic wspólnego z tradycyjną w naszej literaturze krytyką; że ona wsparta na innym samopoczuciu, innej wizji, innej teorii. I że to w ogóle nie jest żadna krytyka, a tylko walka o byt psychiczny i walka o formę tenże byt określającą — gdzie ja, jednostka, zmagam się ze środowiskiem nie w imię wyższej, obiektywnej, racji a w imię mojej *racji.*

A teraz, jeśli pan w dalszym ciągu pisze, że ja „wyszydzam całą dotychczasową problematykę polską" — jakże to trzeba rozumieć? Przecież nie tak, jak pan Kisiel zrozumiał, że wyszydzam to co w niej nieudolne, ale tak, że potępiam ją jako całość w dobrym i w złym, ponieważ jest „nie na temat", ponieważ troszczy się o istnienie i rozwój narodu a nie o istnienie i rozwój ludzi, naród stwarzających. Że jest problematyką zbiorowości, gdy ja obstaję przy problematyce indywidualnej. Że, poza tym, jest problematyką nad stan i na wyrost, dziełem sztucznej dojrzałości, tego że jeden dla drugiego i wobec drugiego staje się bardziej patriotą, niż jest — co nie pozostaje w żadnym stosunku do naszego autentycznego życia psychicznego. I tutaj dobrze byłoby, gdyby pan Kisiel na koniec zrozumiał, że źródłem tak rewolucyjnych i niebywałych tez moich jest ta prosta prawda: jednostka jest czymś bardziej podstawowym od narodu. Wyprzedza naród.

Jakże jednak, panie Arturze, interpretować trzeba słowa pana, że, jak się zdaje, otwiera się tutaj „perspektywa dla stworzenia kultury bardziej autentycznej, bardziej narodowej"? Czyż nie tak (czego nie uchwycił p. Kisiel), że Polak ma więcej powodów od Francuza lub Anglika aby nie utożsamiać się ze swoją formą narodową; i że właśnie ten zwiększony dystans do formy mógłby nam zapewnić wcale oryginalny wkład w kulturę

europejską? Wyobraźcie sobie ten szok — gdy dumne „ja jestem Francuzem" Francuza i „ja jestem Anglikiem" Anglika, spotkałoby się z polskim niespodziewanym „ja jestem niezupełnie Polakiem, jestem powyżej Polaka"...

Czy dobrze wyłożyłem intencje pana? Powtarzam, nie znam tego pańskiego odczytu, nie wiem jaki jest kontekst tych słów i czy nie użył ich pan w jakimś węższym znaczeniu — ale umyślnie zaaplikowałem im najszersze, najgłębsze znaczenie, aby wykazać, że tych kilka linijek można odczytać jak dusza zapragnie: płyciutko, jak p. Kisiel, albo głębiej. Można te dwa pańskie zdania utopić w naszej nieśmiertelnej banalności, naładować wszystkimi truizmami, sloganami, schematami, zboczeniami, manierami polskiej narodowej myśli, a można doszukać się w nich treści bardziej świeżej. Tylko że, w tym drugim wypadku, trzeba by mieć niejakie pojęcie o ideach, stanowiących kościec żywego ciała moich książek... o tej formie i tej niedojrzałości... Ale czyż godzi się wymagać aż tak straszliwego wysiłku intelektualnego od p. Kisiela, który będąc Sarmatą nie jest filozofem i którego szczytowe natężenia filozoficzne wyrażają się maksymami w rodzaju: „Biedni ludzie-egocentrycy. Czy egocentryk może być prorokiem? Może, ale fałszywym". Podobnie, jak dla innego konesera, na którego jestem skazany, tu, na emigracji, p. Sakowskiego z londyńskich „Wiadomości", mój „Dziennik" roi się od nonsensów, których on, Sakowski, ani rusz nie może pojąć i zmuszony jest przypisać je dziwacznej pozie czy też głupkowatej żądzy oryginalności, tak dla p. Kisiela moje potraktowanie Polski jest przedwczorajszym odgrzewanym kotletem — rzecz co najmniej szczególna w autorze, któremu skądinąd przyznaje p. Kisiel sporą dozę nowatorstwa. Tak dziwnie wypadają tym panom ich wnioski ponieważ ich znawstwo prześlepiło to, co dostrzega każdy przeciętnie inteligentny czytelnik — że moje poglądy stanowią organiczną całość, że mój stosunek do sztuki, czy narodu, czy innych spraw tym podobnych jest po prostu rozgałęzieniem drzewa, którego korzeń to moja koncepcja formy. Tak — ale Polacy nie lubią sięgać do korzenia, pan Sakowski, czy też p. Kisiel, to istoty raczej „towarzyskie", dalekie od zanudzania siebie i innych myśleniem zbyt zasadniczym. Od czegóż zresztą Kościół Katolicki? Ten, jeszcze raz w historii, rozgrzeszy p. Kisiela z tego niesympatycznego, zasadniczego myślenia.

Jeszcze słówko. Uśmiechnąłem się, dojechawszy w lekturze p. Kisiela do poniższego passusu:

„To, co u Gombrowicza uniwersalne i twórcze, zapewnia mu w historii literatury miejsce bez względu na anachronizmy w skali lat trzydziestu. Natomiast na przywódcę życia umysłowego kraju dzisiaj Gombrowicz się nie nadaje: sądy jego o tym życiu są tyleż apodyktyczne, co naiwne i przestarzałe. Na stolec przywódcy winduje go Sandauer, a trochę młodych ludzi przychyla się...".

A to co? Czyżby w tym miejscu wyszło p. Kisielowi szydło z worka? Czyż więc trapią go lęki, że ja gotów przy pomocy pańskiej i owych młodych ludzi wyskoczyć na ,,przywódcę''? Acha! Dlatego, choć przyznaje mi niejakie zasługi na terenie uniwersalnym, na gruncie ściśle lokalnym, krajowym, mnie tępi — tutaj jestem mu naiwnie przestrzały, tam — odkrywszy i oryginalny.

Niechże się uspokoi... Nie ma powodu do obaw.

Ja wprawdzie twierdzę, że stąd, z Ameryki, o wiele lepiej widzę Polskę niż p. Kisiel, który w niej tkwi, wsadzony w nią jak kartofel w worek... którego dialektyka myszką trąci, który myśli frazeologią zaczerpniętą z polskiej literatury, któremu każda myśl nowa i świeża wjeżdża na tory tejże frazeologii, tychże kompleksów i schematów, który, poza tym, jest niezrównoważony, prowincjonalnie niezrównoważony, wijący się w polskim poczuciu niższości aby za chwilę wywyższyć się polską ,,a jednak'' megalomanią (,,konflikt dwóch koncepcji, animujący miliony ludzi w Europie i kierujący powszechne zainteresowanie ku Polsce''). Tak, ja na pewno lepiej to widzę stąd, ze świata, i trzeźwiej, swobodniej o tym myślę. Ale — nie ma strachu — na żadnego ,,przywódcę'' nie reflektuję. Ja — przywódca? A może pan, panie Arturze, widzi we mnie wodza?! Przecież ja nawet nie aspiruję do tytułu ,,pisarza polskiego'' — za długo, widzi pan przebywałem na Zachodzie. Ja chcę być Gombrowiczem tylko niczym więcej.

Witold GOMBROWICZ

James Agee

W dniu 5 maja bieżącego roku Nagrodę Pulitzera w dziale powieści (rodzaj amerykańskiej Nagrody Goncourtów) przyznano wydanej ostatnio książce Jamesa Agee, nieżyjącego od trzech lat poety amerykańskiego.

James Agee urodził się w roku 1909, w Knoxville, w stanie Tennessee. Studia w Harvardzie — gdzie był także redaktorem uniwersyteckiego pisma literackiego „The Advocate" — ukończył w roku 1932. W dwa lata później wydał swój pierwszy zbiór poezji, zatytułowany „Permit Me Voyage". W tymże roku, wysłany przez amerykański miesięcznik „Fortune", przez kilka tygodni studiował warunki życia i pracy pewnego odłamu ludności na Południu Ameryki, w stanie Alabama.

Kontakt z ziemią nie był obcy poecie. W latach szkolnych, w czasie wakacji, pracował jako tak zwany „harvest stiff", sezonowy robotnik przy zbiorach z wielkich pól zbożowych Kansas i Nebraski. Materiał zebrany w Alabamie dotyczył życia na terenie tradycyjnej uprawy bawełny, stanowiącej postawę bytu bezmajętnych, bezrolnych białych Południa, nazywanych „sharecroppers". Jest to specyficzny dla tego obszaru typ dzierżawców, pracujących na spółkę, którzy w zamian za ziemię, dom, zwierzęta robocze, nawóz i nasiona oddają poddzierżawcy połowę zbioru bawełny i jedną trzecią zbioru kukurydzy. Ten typ dzierżawy nazywa się we Francji „métayage", tacy dzierżawcy na południu Włoch nazywają się „mezzadri".

Nagrodzoną w tym roku książką poety jest powieść autobiograficzna pod tytułem „Śmierć w rodzinie". Ale pośrednio nagrodzono wcześniejsze dokonanie, wielki utwór poetycki prozą, powstały z doświadczenia w Alabamie. Wydany w roku 1941, w Bostonie, nosi on, bez zamierzonej w tym ironii tytuł: „Pochwalmy teraz sławnych ludzi".

Jest to dzieło miłości, pasji, współczucia, zrozumienia i pokory. Polskiemu czytelnikowi przypomni miejscami Żeromskiego „Słowo o bandosie" (bez lirycznego baroku Polaka), albo Marii Dąbrowskiej „Ludzi stamtąd" (bez literackiej fikcji). Poeta poddał widziany przez siebie świat Alabamy obserwacji z precyzją winną pracy naukowej. Kiedy opisuje dom, co do ostatniego wylicza sęki w niemalowanym, wyblakłym od słońca drewnie budowli, która w swej prostocie ma piękno doryckiego krużganku. Bierze do ręki i opisuje szczegół najuboższej pamiątki wnętrza domu, robo-

czej odzieży czy kuchennego statku. Kiedy mówi o pracy tych ludzi — staje się to rozdziałem z poetyckiego podręcznika technologii uprawy bawełny. Ale między światem rzeczy i głębią krajobrazu widzi przede wszystkim ludzi.

Tę książkę ilustruje kilkanaście słynnych już dzisiaj w Ameryce fotografii, zdjęć jakich dokonał towarzyszący poecie w Alabamie Walker Evans.

James Agee napisał jeszcze jedną krótką powieść, ,,The Morning Watch". Ostatnio pisał scenariusze filmowe. Zmarł w Nowym Jorku w roku 1955.

Zygmunt HAUPT

Pochwalmy teraz sławnych ludzi

(WYJĄTEK)

Minęliśmy stojący blisko drogi, pierwszy na przestrzeni wielu mil napotkany dom i zdecydowaliśmy się zapytać o kierunek siedzących na ganku ludzi, którzy, mogłem to zauważyć w lusterku samochodu, wciąż patrzyli za nami. Cofnąłem wóz, zatrzymując go niedaleko domu, powoli, bez pośpiechu, wysiadłem i obejmując ich bacznym spojrzeniem po raz setny sposobiłem się do tego, jak mam się zachować i co im mam powiedzieć.

Na ganku było ich troje i kiedy tak patrzyli po drodze, po zmieniającym się na niej świetle dnia, po rozrzuconym lesie, który przy domu ustępował polu z zamierającym na nim w słońcu podwójnym gatunkiem plonu, to chyba nie padły między nimi od godziny nawet dwa słowa: młody człowiek, młoda kobieta i jeszcze jakiś starszy człowiek; tych dwoje młodszych, każde z głową do góry i wciągniętym podbródkiem, o twarzy na tle słojów drzewa z którego postawiono dom, patrzyło na mnie uparcie i twardo jakby spod okapów hełmów, z surowym wyrazem twarzy jaki mają młodzi wojownicy albo dzieci.

W tym sprawozdaniu odległym od fantazji, pretendującym do wiarygodności, niełatwo ich opisać, było w nich zbyt wiele jakiejś niesamowitej piękności, przydającej im coś legendarnego

Ale że nie mogli oni mieć nic wspólnego z jakimkolwiek mitem należy tedy coś zwykłego o nich powiedzieć.

Światło w oczach młodego człowieka opalizowało jak odbite w ciemnej oliwie i chociaż pod jego wzrokiem czułem jak jestem nijaki i nikczemnie mały, to nazbyt zwrócone one były do wewnątrz, by mogły zogniskować się na mnie całkowicie: a oczy młodej kobiety, każde z nich było jak monstrancja i były one z mosiądzu. Jej ciało było także mosiądzem albo z gorzkiego złota, przeraźliwie wyraziście rysując się pod materiałem sukienki z niebielonej, surowej bawełny, i ramiona jej i nogi były jak z metalu, twarde na wskroś. Spłowiałe włosy jak maska przyczesywały jej obcisłą twarz do czaszki; rysy twarzy miała bałtyckie. Twarz młodego człowieka ocieniał miękki, krótki zarost i bił od niej blask śmierci. Miał pogardliwie wyrzeźbione nozdrza i egejsko wspaniałe usta. Jego piękne, drewniane ciało było chore, luźne, nawet wtedy kiedy siedział patrząc na nas, z węzłami żył na wierzchu kościstych rąk; dźwignął je i potem opuścił i leżały mu w pachwinie nóg, dłońmi do góry. W oczach obojga była taka spokojna i bezgraniczna nienawiść, pogarda i gniew przeciw każdemu, z wyjątkiem nich samych, żyjącemu stworzeniu i przeciw złu jakiego zaznali, że wyraz ten był prawie że piękny; i nigdy ani nawet na chwilę wyraz ten ich nie opuszczał.

Oboje siedzieli uroczyście. jakby stanowili grupę wykonaną w rzeźbie, jedno z nich rzeźbą w metalu, drugie w drzewie, jakby siedzieli na krzesłach tronowych, przedzielonych niedużą przestrzenią, z oparciami dotykającymi ściany domu i patrzyli na mnie, porozumiewając się ze sobą cały czas nie znakiem czy głosem, ale przez pośrednictwo jakiejś emanacji.

Trzeci był z wyglądu człowiekiem około pięćdziesiątki, a jednak jakaś delikatność rąk, włosów i skóry — podobna tej u dzieci — mówiła że jest jeszcze młody, nie miał pewnie więcej ponad trzydziestkę; twarz miał pomiętą i pomniejszoną jak to się dzieje u płodu. Ten, drobnej budowy, o zgrubiałych stawach i ruchach dziecka człowiek miał krzaczastą brodę bolszewika z karykatury, a zarazem przywoływał na pamięć żałośnie opuszczoną i płaczliwą postać proroka, D.H. Lawrence'a, któremu posługacze szpitalni włożyli kaftan bezpieczeństwa. Połamany kapelusz, z którego dziur włosy wyłaziły jak źdźbła trawy wciśnięty miał na oczy, jakieś cieknące i pełne furii; spod jego kresy oberwańca jego oczy patrzyły na mnie, jak z zasadzki, przez długą chwilę, by wreszcie czochrając się o ścianę i z jakimś rodzajem drgawek człowiek ten osunął się w pozycję w kucki i z dołu patrzył na mnie tymi oczami do góry.

Żadne z nich, ani na chwilę nie spuściło ze mnie oka. Kiedy tak stałem i mówiłem do nich na przecięciu się tych trzech spojrzeń czułem się jak przeszyty trzema włóczniami. Kiedy tak zadawałem pytania, mówiłem o swych powodach i o tym czego

szukałem, wydało mi się, że jakby stawali się wobec mnie mniej sztywni i jakbym ich sobie trochę ujął; ale wrażenie to było tak przelotne, uwarunkowane, nieistniejące, że zrodzić się mogło jedynie w kimś kto tego bardzo pragnął i sam sobie je wmówił. Ani na jotę nie zmienili wyrazu twarzy, a to co w nich się widziało, czy też to co mówili, to było jakby nasłanemu i starającemu się wzbudzić zaufanie szpiegowi chcieli ukazać, że ani tego zaufania nie mają, ani też się go nie boją.

Byli klientami Rehabilitacji. Dano im niewyrośniętego, chorego wołu, by mieli czym orać; ziemia, miejsce po porębie w lesie, musiała być w użytkowaniu od czasu postawienia domu (a dom walił się i przypominał z wyglądu szkielet); nie dano im ani nasion ani nawozu aż przyszedł koniec maja. To co zasadzili wyrosło parę centymetrów ponad ziemię i ginęło teraz w tempie szybszym aniżeli rosło. W tej chwili byli winni rządowi za nasiona, za nawóz, za ziemię, za narzędzia, za dom i niedługo przypuszczalnie za wołu, który był tak chory, że ledwie trzymał się na nogach. Z góry zresztą powiedziano im o tym, że wół jest słaby i niewyrośnięty, że ziemia jest prawie zupełnie wyjałowiona i że przyjdzie czekać na nasiona i nawóz; i rzeczywiście nasiona i nawozy dostali za późno i wszystko to były słowa.

Z tyłu potrącił mnie w łokieć swą wklęsłą piersią ten trzeci, starszy i bełkotając przy tym coś w rodzaju „Awnk, awnk" wpatrywał się we mnie swymi wściekłymi i przerażonymi oczami. Sprawiło to, że zawiodły mnie naturalne odruchy, wybiło mnie to z równowagi i z przesadną „grzecznością", zwróciłem się do niego z wyrazem twarzy jakbym spodziewał się, że może on coś sensownego powiedzieć i że jakobym go nie dosłyszał. Bardzo, koniecznie, chciał coś powiedzieć, ale to wszystko co ze siebie mógł wydobyć to było to frapujące „Awnk, awnk" i zawiesista, gruba jak sperma ślina spływała mu po brodzie. Uśmiechając się skinąłem mu głową i wdzięczny śmiał się do mnie z wyrazem skrajnej przewrotności i ostro szarpał mnie za rękaw, przytakując zaciekle swemu głosowi i jąkając się swym żabim rechotem. Kobieta skarciła go ostro ale bez gniewu (oczy młodego człowieka były cały czas poważne), jakby był psem co onanizuje się obłapiając nogę gościa i wtedy wycofał się, oparł o słup ganku i obsunął się po nim na podłogę, rozstawiwszy wysoko zadarte kolana i głęboko wbijając w zgrzytające usta palce lewej ręki, cały czas nie spuszczając ze mnie swego rozpalonego wzroku. Kobieta nagle bez słowa wstała, weszła do środka i zaraz wyszła niosąc kawałek kamienistego placka kukurydzianego, dała mu go i znowu zajęła swoje miejsce w krześle. Ujął chleb w obie dłonie i dziobnął weń jak siekierą, chwytając go szczękami i obejmując całą głową jakby częścią maszyny, a my, gdy gardło jego wydawało odgłosy żarłocznego przełykania, rozmawialiśmy, głównie mówiła młoda kobieta, jakby, cała oddana młodemu, chciała go oszczędzić i ująć mu wysiłku.

Młody człowiek miał astmę i to tak ciężką, że jej ataki omal go nie przyprawiały o śmierć. Nie było wiadome kiedy będzie znowu zdolny do pracy, nie mógł jej wykonywać nawet w chwilach polepszenia, to jego żona miała całą robotę na głowie; a ten ? ten trzeci — nie ukazali na niego nawet skinieniem głowy, nawet spojrzeniem; to była tylko gęba. Sprawy te opowiadali głosem, w którym nie było skargi tylko rzeczowe przedstawienie stanu rzeczy, nieruchomo sztywni w swej nienawiści do świata i życia: nie było w tym ani cienia pychy, wstydu, niechęci czy niezgody pomiędzy nimi.

Murzyni, żyjący o kilka mil dalej przy drodze, dali im trochę ziarna kukurydzianego i grochu. Gdyby nie ci Murzyni to sami nie wiedzą co by się z nimi stało. Tylko po pierwsze Murzyni nie mieli sami za dużo dla siebie i u nich także teraz to się skończyło; tamto zostało im z zeszłego roku,a tegoroczna susza nie obiecywała nadmiaru kukurydzy i grochu. Było to...

Ten trzeci znów zaczął mi trąbić coś u łokcia, podsuwając mi skręconą w rulon ,,Gazetę Rolniczą''. Znowu zgłupiałem wysilając się by jakąś swą uwagą zrobić mu przyjemność; patrzyłem półpytająco, nie odbierając podawanej mi rzeczy; kobieta wytłumaczyła mi że to ma być niby dla mnie prezent i radość wezbrała we mnie jak woda w upustach na tę okazaną mi po raz pierwszy z jej i jej męża strony oznakę przyjaźniejszego uczucia, chociaż w głosie jej brzmiało i potępienie (ton jego mówił: Nie jesteś wcale od tamtego mądrzejszy).

Przyjąłem prezent i bardzo mu wylewnie podziękowałem, uśmiechając się i patrząc w te gorliwe oczy, a on stał u mego boku jak dziecko, obejmując mniej serdecznym spojrzeniem kiedy dalej rozmawiałem z tamtymi.

Powiedzieli mi że jak pojadę dalej drogą to napotkam ziemię zagospodarowaną, żyzną: mieliśmy tam natknąć się na nagromadzoną ciszę i spokój samotnej i archaicznej doliny amerykańskiej, pól słoneczników i miernych zbiorów bawełny, gdzie kobiety noszą bez zażenowania stare nakrycia głowy do pracy w polu, ocieniające przed słońcem budki i gdzie wszyscy z którymi mieliśmy rozmawiać mieli swoisty wdzięk i melancholię i gdzie nie znaleźliśmy tego czegośmy szukali. Teraz, po chwili, podziękowałem im tam na ganku i powiedziałem im do widzenia. Nie miałem wielkiego serca ażeby im powiedzieć: Niech się wam poszczęści, ale teraz sobie przypominam że im to jednak powiedziałem, ale czy bym im to powiedział czy nie i tak niezdolny byłem zakomunikować im moich uczuć, takich jakimi one były i poszedłem ten kawałek do samochodu a plecy moje i kark paliło tak jakby paliło je słońce. Kiedy ruszyliśmy oglądnąłem się i podniosłem w pożegnalnym geście rękę. Młody człowiek poważnie i ze spokojem pochylił głowę w dół i podniósł ją do góry. Młoda kobieta o srogich oczach uśmiechnęła się po raz pierwszy. Młody człowiek patrząc znów przed siebie w las się-

gnął ręką za swój farmerski kombinezon i skrobał się w podbrzusze. Patrząc przez ramię za nami kobieta skierowała się ku drzwiom. W chwili kiedy się oglądałem — nie jestem pewien czy to że zobaczyła że ją widzę spowodowało że odwróciła głowę w stronę domu i zniknęła w drzwiach.

James AGEE

(*Tłumaczył Zygmunt HAUPT*)

Dwadzieścia ton brudnej bielizny

Po kilku minutach trzęsienia się na bruku ponurej ulicy Krupiec zatrzymał swój wielki samochód.

— To tu — wskazał głową na sklep, z którego drzwi właśnie wytaczała się kobiecina z ogromnym tłumokiem mokrej bielizny.

Łokciem posunął Truczkę i kiedy ten mocował się z zamkiem, sięgnął ramieniem i otworzył. Sam sprawdził klamki od środka i wyszedł trzaskając drzwiczkami.

Truczka stał i gapił się na szyld : Express Landrette.

— Chodź pan — znowu popchnął go Krupiec.

Przeszli przez pierwszą izbę z kontuarem, za którym stała piersiasta dziewczyna i uchyliwszy ceratowej zasłony stanęli we właściwej pralni.

Mały, koślawy rudzielec, z rękawami koszuli zakasanymi nad białymi ramionami, żylastymi i sinymi od tatuażu, klapnął pokrywą maszyny i spojrzał z zaciekawieniem.

— Jasiu — powiedział Krupiec — to pan Truczka. Mówiłem ci o nim. A to nasz Jasio Podleśny. Dobre serce, chociaż na to nie wygląda.

— Jak dla kogo. Jak dla kogo — zamruczał Jasio. — Aby mi nikt po nagniotkach nie deptał .

Roześmiał się pokazując spróchniałe zęby.

— Jasiu, pokażesz panu robotę i co tam będzie potrzeba. Zaopiekujesz się panem.

— *O key,* bosie.

— Dobra. — Krupiec zawrócił ku drzwiom. — No to oddaję pana w ręce Jasia. Wszystko będzie fajnie. Aha — przypomniał sobie i sięgnął do ściany zdejmując z gwoździa gumowany fartuch — włóż to pan na siebie. Tymczasem. Jutro wykombinujemy jakieś buty no i ubranko robocze, bo tego szkoda. *O key?*

Truczka skrzywił nieśmiało swoją młodą, gładką twarz, Krupiec odpowiedział mu szerokim grymasem.

— No to *cherrio* — machnął ręką i wyszedł zostawiając Truczkę z fartuchem w ręku.

— No to dawaj — zawołał Jasio podchodząc.

— To co? Warszawskie? — wyciągnął rękę i pomacał klapę marynarki.

— Nie. Z Łodzi.

— Tutaj takich nie robią. Wełna?

— Wełna.

— Czysta wełna?

— Zdaje się, że czysta. To pan Krupiec tu nie pracuje?

— On? — Jasio zagwizdał przez zęby. — On by pracował? Kiedyś to nie wstydził się rękawów zakasać, ale teraz kiedy ma cztery landretki...

— To on jest bos? Tak się tu mówi?

— Pewnie że bos. Całą gębą bos. Forsy jak lodu.

W tej chwili żółta cerata uchyliła się i dziewczyna wepchnęła koszyk z bielizną.

— *It's tea time?* — krzyknęła wesoło w stronę Jasia i bokiem zerknęła na Truczkę.

— *Not your business, Moira. You look after your business* — obruszył się Jasio. A kiedy dziewczyna chichocząc wycofała się za kurtynę, powiedział do Truczki.

Fajna de. Co?

Truczka spuścił głowę i zapinał fartuch trzymając ciągle marynareczkę.

— Tu na gwoździu — wyrwał mu ją z rąk Jasio i powiesił. — A teraz proszę hrabiego za robotę. Nie rabotasz, nie kuszasz. Nie?

— Tu te cztery, to Thory — pokazywał Truczce maszyny. — We środku do suszenia. A ten Spencer, to cholera cztery takie wart. Dwadzieścia cztery funty na raz bierze.

— Czy to chlor, co tak pachnie? — zapytał nieśmiało Truczka.

— Florek. Wiadomo, że florek. A teraz uważać i patrzeć i niech kolega się uczy. Bierzemy to brudne cholerstwo, czyli *washing* i wkładamy do maszyny. Ale nie na grandę, bo by się zbiło. Po jednemu, ładnie, równo.

— To brudna bielizna?

— Nie widzi kolega? Nie tylko brudna ale i zasrana, bo naród tutejszy na papierze oszczędny.Chociaż z czego tak srają — nie wiedzieć. Z fisz i czypsów? Ale nie przejmować się, florku więcej dolać i będzie białe jak śnieg. No, a teraz woda i w ruch. Osiem funtów do takiego Thora a dwadzieścia cztery do Spencera.

Jasio klapnął pokrywą, numerek przypiął do ściany i nastawił wskazówki na tarczy zegara na godzinę wyjęcia.

— Dwadzieścia minut należy się. Bos powiada dwadzieścia pięć, że to niby konkurencja i trzeba czyściej, ale kto by się przejmował. Nie?

— A to co pan sypał, to mydło?

— Płatki mydlane. Wiadomo, my same najlepsze sypiemy. Kradzione.

Truczka nie dosłyszał.

— Jakie?

— No kradzione. Na lewo kupowane. Taniej.

Znowu dziewczyna wepchnęła kosz z pakunkami bielizny i Jasio złapał się za robotę. Truczka usiłował mu pomagać.

— Co się kolega spieszy? — odsuwał go Jasio. — Niech się kolega napatrzy na sam przód. To nie filozofia, tu trzeba wiedzieć jak i co, bo się waszyngi poplącze a później katomersi piekło robią.

Truczka oparł się o stół i wyciągnął papierosa. Jasio wepchnął kolejne pranie do maszyny i podsunął się.

— Krajowe? — przypatrywał się ofiarowanemu papierosowi.

— Wawel. Jedne z najlepszych.

— Śmierdzą jak Pasza. — Jasio puścił dym nosem i skrzywił się niemiłosiernie.

— To kolega uciekł? — zapytał krzywiąc głowę.

— No... tak...

— Wybrał tak zwaną wolność?

— Tak.

Jasio patrzył się badawczo i poważnie, aż Truczka zmieszany zaczął się czerwienić. Wreszcie z uśmiechem poklepał go Jasio po ramieniu.

— Dobrze kolega zrobił. Tu wolność aż hej, byle te funciaki mieć.



Pucha przysiadł na kontuarze i patrzył bokiem jak Wierkolski sprawdza kasę zsypując drobne monety do płóciennego worka. Było już po szóstej. Tabliczka w drzwiach odwrócona na „closed" i klucz przekręcony w zamku. Biegające po ulicy dzieci co chwila przykładały twarze do szyby w drzwiach.

Chudy, blady, łysy Wierkolski licząc wysuwał do przodu bezkrwiste wargi.

— Dobry dzień? — zapytał Pucha.

— Nienajgorszy — odparł Wierkolski chowając rulon banknotów do tylnej kieszeni — dwanaście funtów, siedemnaście szylingów i six.

— Tylko za dzisiaj?

— No, jakże? Co wczorajsze, to do banku zaniosłem.

— I ty, człowieku, chcesz ten byznes sprzedawać? — zapytał Pucha. Wierkolski skinął głową.

— Dlaczego.

Wierkolski podniósł oczy i spojrzał w czerstwą, rozdętą twarz Puchy.

— Jadę do kraju.

— Fiu, fiu... zgawizdał Pucha. — Tego nie mówiłeś.

— Tak. — przyznał Wierkolski. — Nikomu nie mówiłem. Tobie pierwszemu mówię i proszę trzymaj to dla siebie.

— Dobra, dobra — zgodził się Pucha. — Tylko powiedz mi, po co ty chcesz wracać?

Wierkolski wstał z krzesła i podszedł do kontaktów. Teraz można było widzieć, że pociąga jedną nogą i garbi się nienaturalnie.

— Po co ty chcesz wracać — powtórzył Pucha.

— Po prostu już czas na mnie — odpowiedział Wierkolski nie odwracając się i sięgnął ręką, aby zgasić światła.

Pucha podskoczył i zatrzymał go.

— Zaczekaj — zawołał. — Popatrz tylko a i mnie pozwól patrzeć. Kazałeś mi przyjść? Kazałeś. Prosiłeś, abym ci kupca naraił? Tak. No to muszę se pooglądnąć. Prawda?

Wierkolski z westchnieniem odsunął się na bok.

— Maszynki jeszcze wcale nowe — głośno robił uwagi Pucha oglądając pralnię. — Pewnie nie spłacone jeszcze.

— Z tym można się uładzić z kupującym.

— Pewnie. Ale nowe i pociągną jeszcze z rok. A ten Electrolux to w zeszłym miesiącu ci wstawiłem. Nowiutki.

— Dobra maszyna.

— Woda w porządku, gaz też; ścieki jak malowane. Lokal pierwsza klasa i ,,locality'' jak ta lala. Popatrz na półki, roboty a roboty. Jak ty dajesz radę?

— Mam dwie dziewczyny.

— Ile chcesz?

— Tysiąc.

— Tysiąc?

— Tak.

— Mało. Po zapłaceniu ,,instalments'' za maszyny, po rachunku adwokata co ci zostanie? Może pięćset. Mało.

— Pięćset też pieniądze.

— Tyle co napluć. — Pucha z powrotem siadł na kontuarze i zapalił papierosa nie zważając na zniecierpliwienie Wierkolskiego. — Ze dwa garniturki będziesz musiał kupić, buty, koszulę, kalesonki. Na prezenty też niemało pójdzie. I z czym ty chcesz tam zaczynać? Może pieprzu kupisz tonę, żeby ci na granicy zabrali?

Wierkolski gryzł wargę i nie odpowiadał.

— Po cholerę ci wracać, Józek!

— Nie rozumiesz tego, nie rozumiesz! — krzyknął Wierkolski wyprowadzony z równowagi. — Ty masz tu żonę. Ożeniłeś się. Nikt na ciebie tam nie czeka, nie wzywa cię!

— Żona cię wzywa? Pisze: przyjeżdżaj?

Wierkolski przekręcił kontakt i w pralni zapanował mrok. Tylko światło ulicznej latarni ukosem wpadało przez okno wystawowe odwracając czarny napis ,,Landrette'' przyklejony do szyby.

— Żona tobie pisze: wracaj? — z uporem pytał Pucha nie ruszając się z miejsca.

— Syn pisze, że warunki się zmieniły i że mogę wracać.

— A żona?

Wierkolski nie odpowiedział. Wyciągnął klucze z kieszeni i zaczął nimi brzękać.

— Żona nie pisze?

— Dopisuje się.

— A sama listów nie pisze?

— No widzisz, Felek, tak po osiemnastu latach ni z tego ni z owego zacząć pisać...

— A ty pisałeś?

— Różnie bywało.

— Paczki wysyłałeś?

— Zawsze — mocno odpowiedział Wierkolski.

— Ech Józek, Józek... Głowę straciłeś, ot co. Zapachniało ci krajem i już ci się tutaj nie podoba. A przecież i tu piękny kraj. Popatrz na mnie. Kim ja byłem tam w Polsce? Chamem. Rozumiesz? Ojciec w bramie po dziesiątkę wyciągał rękę. Ze mnie pewnie też by jaki cieć wyrósł. A teraz, bracie, ja jestem pan Pucha, mister Pucha. Mam byzness od zakładania landret. Takie paniczyki u mnie na posługi biegają; cały uniwersytet u mnie. Taki jest pan Pucha dzisiaj. A ty? Człowieku, tam ci nie przyniosą do interesu dwanaście funtów co dnia. Kim ty, Józek, byłeś przed wojną?

Wierkolski powoli zbliżył się i usiadł na krześle.

— W PKO pracowałem — odpowiedział.

— No i co? Czekają tam na ciebie? Proszą, żebyś wrócił do stolika?

— Z głodu tam nie zginę.

— Pieniadze przejesz i do syna na utrzymanie pójdziesz.

— Przecież z gołymi rękami nie jadę.

— Na miesiąc, na dwa, może na pół roku najwyżej ci wystarczy.

— Czemu się mnie czepiasz?

Pucha zeskoczył na podłogę i zapinał płaszcz. Wyciągnął z kieszeni rękawiczki i wolno naciągał na ręce.

— Ja się ciebie nie czepiam — mówił monotonnie. — Broń mnie Panie Boże. Chcesz, zaraz czek wypiszę. Na tysiąc, nie, na tysiąc dwieście. Puchę stać na to. Kolegów, rodaków obdzierać nie umiem. Tysiąc dwieście, abyś miał na łachy dla żony. Taki jest pan Pucha dzisiaj. Płaci więcej, niż proszą się; ale jak kogo widzi, że sam własnymi rękoma do błota się wpycha, to milczeć nie umie. Taki już jestem i pardon, czyli przepraszam.

Wierkolski słuchał z twarzą ukrytą w dłoniach nie odpowiadając.

Rozżalony Pucha nagle przystąpił do szafki z kontaktami elektrycznymi i raptem światło zalało pralnię: półki z tobołkami bielizny, szafki, worki z płatkami mydlanymi, biały szereg milczących maszyn.

— Taka pralnia! — z goryczą zawołał. — Taki interes! Forsa płynie tylko zgarniać! Człowieku, możesz tu wieki siedzieć i stukilowe paczki rodzinie wysyłać!

Bez słowa odpowiedzi Wierkolski wstał i podszedłszy do wyłączników zgasił elektryczność. Zgarnął pęk kluczy z lady.

— Komu w drogę temu czas.

— Ech... — Pucha machnął ręką i wyszedł pierwszy.



Czarna Ana podrygiwała w takt skocznej melodii. Przy pianinie Fesner z tępą miną i Masiuk ze skrzypcami pod grubym podbródkiem odrąbywali kolejny kawałek.

Stoliki ciasno obsiadła zwykła niedzielna ,,ferajna''. Brzęczało szkło, rozbrzmiewały pokrzykiwania w obu językach, śmierdział pot i kłębił się dym papierosów. Kierownik Klubu ledwo przeciskał się między krzesłami od jednej grupki do drugiej. Obnosił szeroki uśmiech i dyniowatą głowę bez śladu włoska i od czasu do czasu podnosił kielich z bursztynową whisky salutując dalekich klientów. Jureczek i pani Jasia lawirowali z tacami.

Na parkiecie Ana, dla swego podobieństwa do Włoszki zwana Czarną, wyginała się w parodii ,,rock and roll''. Naprzeciw niej garbaty i niezgrabny Budzio podskakiwał klaskając w dłonie.

Raz. Dwa. Raz Dwa. Wyżej, wyżej, wymachiwała nogami aż spod szerokiej taftowej spódnicy, spod kolorowej halki błyskały nylony pod klamry podwiązek i pas smagłego ciała.

— Podoba się? — zapytał Jasio Truczkę.

— Kto to taki?

— Czarna Ana? Et, taka sobie dziewczynka.

— Tancerka.

— Chyba na prześcieradle.

Truczka zagarnął włosy i sięgnął po kieliszek z wódką. Jasio jeszcze bardziej rozwalił się na krześle.

— Człowieku — powiedział z wyższością — tylko nie miej żadnych złudzeń. Hrabiny tu nie przychodzą.

Truczka wychylił kieliszek i obejrzał się dokoła.

— Myślałem... — zaczął.

— Indyk też myślał — roześmiał się z jego miny Jasio. — Polskie pacholę myślało, że tu nic, tylko same pułkowniki na wygnaniu z szanownymi małżonkami powolne tango odtańcowują. A proletariat to co? Teraz inne czasy; tak zwana kulturalna inteligencja w domu siedzi, bo forsy nie starcza, a proletariusze z wypchanymi portfelami dziwki w klubie podszczypują. Stać ich na to.

— A gdzie bawią się ci żonaci?

— Żonaci? A te tutaj to co? Każdy jeden żonaty. Jak nie na mur, tak z księdzem i papierami — to chociaż na słowo. Ta Ana to już pięć lat jak z Budziem się trzyma. Gdzie popatrzysz

to „myssys". Mrs Kowalska — pokazał na zaczerwienioną, podnieconą kobietę — mrs. Gnatkiewicz...

— A Krupiec?

— No Mr. Krupiec nie przyprowadziłby tu swojej żony. Zresztą ona przecież Polka.

W tej chwili podeszła do nich pani Jasia ze swoim dziewczęcym uśmiechem.

— Czy panowie życzą sobie czego?

Jasio Podleśny spoważniał i wyprostował się sztywno.

— Jeszcze dwie wiski. Co? — zapytał Truczkę. Tamten zdziwiony patrzył na smukłą, czarną figurę kelnerki.

— To pani Jasia — powiedział cicho Jasio, kiedy odeszła do baru. — Porządna kobita. Dwoje dzieci, mąż pracuje i wieczorem po nią przychodzi.

— Czemu ona tutaj... — dziwił się Truczka.

— Czemu? Wiadomo, dla pieniędzy. Każdy musi coś robić, aby żyć.

— Ale tu! — upierał się Truczka, ogarniając wzrokiem pijaną salę.

— Nie bój się — uspokoił go Jasio. — Jak się popiją, to dzikie sceny wystawiają, że nie wiesz czy to polski dom, czy bajzel jaki. Ale pani Jasi żaden palcem nie ruszy.



W drugim końcu sali Pucha przepijał koniakiem do Krupca.

— Pod ten byznes.

— Ii... — skrzywił się Krupiec nadpijając z kieliszka.

Pucha popatrzył bokiem z ciekawością.

— Masz kłopoty?

— *Income tax* — przez zęby rzucił Krupiec. — Ciągną mnie wstecz za trzy lata.

— Fiuu... Wiele tego wypada?

Krupiec znowu się skrzywił; tym razem z wyraźną niechęcią i Pucha dalej już nie pytał. Zresztą właśnie przepchnął się ku nim Dusik. Jak zawsze czyściutko, schludnie ubrany, uśmiechnięty i pełen okrągłych gestów.

— Co słychać u pana prezesa? — grzecznie zapytał siadając na opróżnionym z kapeluszy krześle.

Krupiec popatrzył na niego ciężkim wzrokiem.

— To ja powinienem zapytać, co słychać? Czekam na pana już dwa dni, panie Dusik.

— No tak, no tak — przyznał. — Ja pytałem nie w sprawach interesu, tylko tak ogólnie. Zdrowie, rodzina...

— Załatwił pan co? — rzeczowo zmienił temat Krupiec.

Dusik popatrzył niepewnie na Puchę i ten zrozumiawszy wstał kiwając ręką w stronę pani Jasi i pokazując na palcach trzy kieliszki tego co przedtem — koniaku.

— Mów pan śmiało. — Krupiec przytrzymał Puchę za rękaw. — My z Felkiem dwa stare kumple. Zresztą możesz pan

wszystkiego nie opowiadać, tylko krótko: tak czy nie? Załatwione czy nie?

— Załatwione — skinął ulizaną fryzurą Dusik. — Pół na pół, jak to nazywają krakowskim targiem.

— Pół na pół? Czyli że muszę połowę płacić?

Dusik znowu pochylił głowę z elegancją.

— Nie dało się inaczej?

Dusik bardzo poważnie pokręcił głową. Pani Jasia zdołała dotrzeć do sąsiedniego stolika i stamtąd wychylała się z tacą, wzywając Puchę na ratunek.

Atmosfera całej sali rozgrzewała się coraz bardziej. Fesner i Masiuk rżnęli teraz polkę i już kilkanaście par podrygiwało urozmaicając taniec ozdobnymi wygibasami. Przy stolikach podśpiewywano husia-siusia. Kobiety piszczały i rżały z uciechy. Od czasu do czasu ponad gwar i szum przebiło się i zahuczało zdrowe polskie przekleństwo — tak od serca, po domowemu.

— Teraz już nie tak łatwo, już dobrali się do landret — opowiadał Dusik pociągając koniak w spokojnym kącie poważniejszych gości. — Ja to od razu mówiłem, że tak będzie. Z początku nie bardzo wiedzieli jak wymierzać podatki, ale teraz mają ekspertów i od landret. Wyliczają wszystko dokładnie — dystrykt, zużycie płatków mydlanych, reperacje, woda, gaz — wszystko biorą pod uwagę. Jak tylko zażądali rachunków z gazowni, zaraz wiedziałem, że coś kombinują.

— No a ten pański inspektor Macdonald? — przerwał Krupiec.

— Cóż on może... — otworzył złożone po księżowsku dłonie. — Ja przecież inspektora George'a Macdonalda znam, bardzo dobrze znam. Jeszcze w roku 1951, jak pomyślałem sobie, że przecież polskie interesy coraz się mnożą i dla polskiego ,,bookkeepera'' będzie szansa, to zaraz skierowałem się do inspektora Macdonalda. Ja już taki jestem, że nie będę rozmawiał z malutkim urzędnikiem, tylko z człowiekiem odpowiedzialnym. — Dusik opowiadał równiutkim głosem nabożnie przymykając oczy. — Zaraz jak wszedłem do gmachu, tego nowego, co się wtedy właśnie wybudował. Nie, — zastanowił się — może to było w starym jeszcze, na Wellington Street?

Pucha i Krupiec zamienili znaczące spojrzenia.

— A jednak — ucieszył się Dusik — to już był nowy gmach. Na pewno nowy, bo jechałem windą. W tej informacji z lewej strony zapytałem, kto załatwia podatki od małych przedsiębiorstw. I panienka, miss Curran, dopiero rok temu dowiedziałem się jej nazwiska, choć przecież znamy się już — zaraz — sześć, tak sześć lat...

— Jak ten twój Truczka? — wpadł w przerwę dla nabrania oddechu gromki głos Puchy.

Dusik zatrzymał się, zaczerwienił, ale nic nie powiedział, tylko z boku błyskał gniewnie na przerywającego.

— Truczka... — czym prędzej odpowiadał Krupiec — Dobrze. Bardzo dobrze.

— Nie żałuje?

— A wiesz, że nie pytałem go o to.

— Nie pytałeś? Człowieku — oburzył się Pucha — wziąłeś gościa na swoje sumienie.

— No wiesz...

— A tak — nie dał się zbić z tropu. — Przecież zaopiekowałeś się nim, no nie?

— Zaraz zaopiekowałem się — bronił się Krupiec przed wielkimi słowami. — Kiedy te gazety zaczęły rozrabiać, pomyślałem sobie, że może pomóc chłopakowi. A kierownik nic tylko dziurę w brzuchu wiercił, że wstyd byłby, gdybyśmy mu nie pomogli, że to hańba, gdyby władze brytyjskie miały wziąć to w swoje ręce. I tak już obcy wyrabiają mu prawo pobytu. No i dałem mu pracę w landrecie.

— To ten sportowiec? — zainteresował się Dusik.

— Sportowiec, nie sportowiec — obruszył się Krupiec nie zrozumiawszy niewinnego pytania — pracować każdy musi, nie?

— Myślał może, że mu tu pierniki z nieba będą same lecieć. Tu trzeba rabotać. My wszyscy jesteśmy *working class* — dorzucał Pucha.

— Płacę mu dobrze, więcej niż wyrabia.

— No tak, no tak — kiwał fryzurą. Dusik. — Bardzo to szlachetne bardzo, ze strony pana prezesa. Bardzo.

Krupiec schował nos w kieliszek, podniósł i przymrużył oczy. Odstawiając puste szkło spojrzał znacząco na Puchę. Pucha wstał i usiłował krzykiem i gestami zwrócić na siebie uwagę pani Jasi.

— On tam siedzi — zawołał zwracając się do kolegi.

— Kto? — zapytał Krupiec.

— No ten twój... No, Truczka. Może go zawołać tutaj.

— Jak chcesz.

— Bardzo może być ciekawe, bardzo — poważnie powiedział Dusik. — Gość z Polski i w ogóle.

— Z Jasiem Podleśnym siedzą — wołał Pucha i kiwał ręką zapraszającym gestem.

Jaś jakby tylko czekał na skinienie od strony dalekiego bosa. Łyknął pospiesznie resztę piwa i pociągnął Truczkę za łokieć.

Te manipulacje wpadły w oko Kierownikowi, który w lot zrozumiał sytuację. Podskoczył od baru ku Truczce i już ich obu przepychał przed sobą między stolikami, między plecami wypiętych biesiadników, między gestami rozczerwienionych i perorujących pijaków. Szerokim zamachem ramienia otworzył drogę do stołu i nawet podsunął krzesło zabrane z innego kółka.

— Hallo bosie! — Jasio wyciągnął poprzez stół swoją czerwoną gruzłowatą prawicę. Truczka przywitał się z pewną nieśmiałą elegancją.

— No i jak leci? — zapytał Pucha.

— Jak się pan u nas czuje? — poprawił Krupiec a Dusik uśmiechnął się zachęcająco.

— Dziękuję, dobrze.

— Wiadomo, że dobrze. — Kierownik oparł się o poręcz krzesła biorąc Truczkę pod szczególną opiekę. — Jak nie ma być dobrze, kiedy ludzie pomagają, a pan prezes Krupiec w szczególności. I co najważniejsze to ta swoboda, swoboda, panie dzieju. Co?

Wszyscy, nawet Dusik, spojrzeli na Truczkę protekcjonalnie, oczekując jakiegoś wyznania potwierdzającego otrzymanie wspaniałego daru: wolności. Truczka jednak tylko uśmiechnął się kwaśno i skosił spojrzenie gdzieś poza nich, na salę.

— Pana redaktora Rybickiego tutaj nie ma? — zapytał.

— No on nie, nie — zaczął kierownik, ale przypomniał sobie zaraz o co chodzi, o obietnicach swoich i Rybickiego i zakończył inaczej, niż był przewidział. — Chwilowo go nie ma, tak... Ale przyjdzie, może przyjdzie.

— A czy pan nie wie nic o tym związku lekkoatletycznym?

— Niech się pan nie martwi, jeszcze się pan nabiega — zaśmiał się Pucha. — Nalata się pan zdrowo.

— Jak Rybicki obiecał, że załatwi, to mur, panie dzieju.

— Tak, tak — potwierdził słowa Kierownika Krupiec i zachęcająco podniósł kieliszek.

— Co się gorącować? — lał mądrość Pucha. — Bezrobotnym kolega nie jest. Praca dobra i funciaki lecą do kieszeni.

— Iii — zaprotestował Jasio — jakie tam znów funciaki...

— A ty byś, rekinie, tylko forsę wyciągał — łaskawie zażartował Krupiec.

— A pan może z Katowic? — zabrał głos po raz pierwszy Dusik.

— Ja? — Truczka spojrzał trochę nieprzytomnie. — Ja z Gdyni.

— No bo ja to z Katowic. Stalowa 4. Jak się szło z dworca druga na lewo. Na rogu był taki szyld niebiesko malowany. Kwiaty i owoce. Ale to było już później przed samą wojną, bo trzeba panu wiedzieć, że ja przyjechałem do Katowic z Poznania w roku...

— Stefan! — krzyknął Pucha bijąc dłonią w stół.

— Co takiego? — odezwał się Krupiec a Dusik, któremu przerwano w pół słowa spojrzał urażony.

Jasio parsknął i znacząco zamrugał do Truczki.

— Stefan, słyszałeś o Wierkolskim?

— Że do Polski się wybiera? Już wszyscy o tym wiedzą.

— Landretę sprzedaje.

— Co też pan mówi? Taki dobry interes! — zdziwił się Dusik, któremu uraza odeszła.

— Sprzedaje, pakuje się i do żony jedzie.

— Wariat, nic innego tylko „lunatic”, do „azajlum” go — wołał Jasio.

— Pewnie — potwierdził Krupiec — po dwudziestu latach do żony wraca. He, he...

— Tłumaczyłem jak komu dobremu, ale się chłop uparł — ubolewał Pucha.

— Wierkolski? — zapytał Truczka marszcząc brwi. — Czy on ma syna w Gdańsku?

Spojrzeli ciekawie na Truczkę a potem na Puchę, który przecież wszystko wiedział.

— Naturalnie, że ma.

— Tadeusza?

— Naturalnie, Tadeusz.

— To on nie ma po co wracać.

— Co takiego? — zawołał Krupiec.

— Jakto nie ma po co wracać? — otwierał szeroko oczy Pucha.

Truczka raptem się spłoszył, zaczerwienił i zaczął się jąkać.

— No gadaj pan. — Krupiec ponaglał. — O co chodzi?

— Jeżeli Wierkolski, to ja... ja miałem kolegę Wierkolskiego, Tadeusza...

— No i co z tego? — nie wytrzymywał Pucha.

— Wierkolskich może być dużo. — Dusik zabrał głos z boku.

— No właśnie! — rozjaśnił się Truczka. — Bo właściwie, ja sam nie wiem...

— Gadać, co jest na rzeczy. Kawę na ławę.

— No jak już pan zaczął, to trzeba skończyć — łagodniej ponaglał Krupiec.

Truczka wreszcie wziął na odwagę i rąbnął prosto z mostu :

— Tadeusz Wierkolski sam mi opowiadał że jego matka wyszła za mąż za jednego inżyniera ze stoczni. Jeszcze w 1950-ym.

— Oho — mruknął Pucha.

— Ładna historia — zagwizdał Jasio.

Dusik skrobał się za uchem delikatnie, nie naruszając fryzurki, a Krupiec kiwał głową poważnie z troską.

— Biedny chłop — powiedział kiedy pierwsze wrażenie przeszło. — Nie można mu tego mówić. Musimy zatrzymać to w tajemnicy.

— Dlaczego? — Pucha aż się podniósł. — Właśnie trzeba go uświadomić. Niech wie, jakie to ziółko ma za żonę. Namawia go do powrotu, a sama już dawno z innym kręci.

— No cóż — usprawiedliwiał Dusik — osiemnaście lat, osiemnaście.

— Nie można mówić — upierał się Krupiec. — Absolutnie.

— Więc co? — Pucha aż się zapienił z przejęcia. — Nie powiem mu, niech jedzie. Niech się wysprzedaje i niech leci do tej, tej... Żebym nie powiedział złego słowa!

— Mnie się zdaje, że lepiej już, aby wiedział prawdę — wtrącił nieśmiało Truczka — tylko...

— No, właśnie! — grzmiał Pucha przerywając. — Musimy mu powiedzieć.

— Nie znasz go? — prosił Krupiec. — Chłop słaby na głowę i w ogóle nerwowy, jeszcze coś sobie zrobi.

— Tak, tak — Dusik pochylił głowę. — Nie można nigdy być za ostrożnym.

Pucha wstał i spoglądał na nich z góry.

— Jak sobie chcecie. Ja tam nie umiem być ciamciamamcia. Ja wiem, że chłop robi źle i moim świętym obowiązkiem jest go za nogi wyciągnąć.

— I zaszkodzić.

— Stefan — zwrócił się wprost do Krupca. — Byznes! Taki byznes straci, zmarnuje dla jakiejś tam...

Jeszcze chwilę patrzył pytająco, a kiedy milczeli złapał za kapelusz.

— Gdzie lecisz?

— No do Wierkolskiego.

— Jak chcesz — poddawał się już Krupiec — ale pamiętaj: na twoją odpowiedzialność.

— A może... może to nie ten Wierkolski? — z trwogą zapytał Truczka patrząc jak Pucha energicznie rozpycha pijaków zmierzając do drzwi.

— A może wiśnióweczki?

Kierownik przypłynął znowu do ich stolika i uśmiechał się do Krupca przymilnie i poufale.



Dym z przylepionego do dolnej wargi papierosa zmuszał Jasia do przymrużania oczu, które i bez tego wyglądały strasznie — spuchnięte, zaczerwienione, po całonocnej libacji.

Szczególnie ściągał lewą połowę twarzy robiąc grymas ironiczny i złośliwy. Patrzył na Truczkę niezdarnie przygotowującego maszynę.

— Rzygać się chce — zawyrokował i odsunął Truczkę na bok. — Nie tak, męko Panjezusowo. Sto razy mówiłem: nałożyć, puścić w ruch i woda! — szybko sięgnął ręką do wnętrza pralki i zakręcił cylinder. — Twarzyczkę ma jak hrabia, a w głowie co? Kapusta.

Truczka poczerwieniał, zacisnął pięści i postąpił krok naprzód.

— No co? — Jasio wpół odwrócony spojrzał na niego z góry w dół. Bić się będziem?

— Bić — twardo powiedział Truczka. — Ja tu na robotę przyszedłem, nie na docinki. Jak czego nie umiem — to proszę pokazać, a nie rozrabiać. A nie to... — podniósł zaciśniętą pięść i przekręcił aż na muskularnym przedramieniu zagrało pod cienką skórą.

— *O key... O key...* — lekceważąco zżymał tamten ramionami. — Ja wcale nic złego nie myślałem Pokazuję przecież.

Obaj zamilkli i pracowali osobno nie odzywając się do siebie.

Brudną bieliznę wytrząsali z worków i paczek i wkładali do maszyn. Osobno kolory, oddzielnie prześcieradła: ładując tak aby w końcu nie pomieszać wszystkiego. Sypali płatki i le

chlor. Odkręcone kurki szumiały wodą ciekąc przez gumowe rury do zbiorników; puszczone wreszcie maszyny zgrzytały i sapały wirując i międląc prania.

Pierwszą pracą Truczki było pranie roboczych kombinezonów. „Żadna filozofia" — powiedział o tym Krupiec. Trzeba było tylko pilnować numerków i sprawdzać, czy nie ma czego w kieszeniach, co by mogło zepsuć wielkiego Spencera — najpotężniejszą z maszyn.

Po dwudziestu minutach wyjmowali bieliznę i rzucali do koszyka. Koszyk z numerkiem stawiali na stole i krępa Moira, wprawnie ruszając białymi rękami, składała i zwijała pranie po praniu odnosząc je na półki do przedniej części sklepu.

— Ech... — sapnął po godzinie Jasio. Nie mógł wytrzymać takiej pracy w milczeniu. — Masz no jeszcze tego Wawela?

Truczka, któremu praca nie szła, a milczenie równie ciążyło, chętnie i szybko wyciągnął pudełko. Zapalili.

— Ot, życie — powiedział Jasio i klepnął Moirę po zadzie.

— *How... ?* — podskoczyła do góry z krzykiem. — *You... you...* — groziła Jasiowi pięścią.

Jasio się śmiał i wyciągnąwszy rękę chciał ją pogłaskać po twarzy. Ale uderzyła go mocno, aż mu ramię poszło w dół.

— *Dont be so angry, Moira* — łagodził, ale ona nie była bardzo zła; mimo gniewnej miny oczy jej się śmiały, zwłaszcza gdy popatrzyła na przystojnego Truczkę.

— Ona mówi po polsku, wiesz? — chwalił się Jasio. — Moira, *speak polish.*

Musiał ją prosić kilkakrotnie, bo się wzbraniała. Wreszcie patrząc figlarnie na Truczkę zaczęła straszliwie przekręcać:

— Pieredonić posze panu... — i resztę trudnych do poznania, zniekształconych najgorszych wyrażeń.

— Ha, ha, ha... — zaśmiewał się Jasio. — Edukowana, co?

Ale Truczka nie słuchał; zamyślony ciągnął papierosa i patrząc nie widział, słysząc nie przyjmował do wiadomości. Wreszcie gwałtownie i ze złością cisnął papierosem o kamienną posadzkę i przydeptał obcasem.

— Co się stało? — zapytał Jasio zdziwiony a Moira widząc, że jej postępy językowe nie robią należytego wrażenia, odwróciła się plecami.

— Co jest? Może kolega chory?

— At, ten Wierkolski nie wychodzi mi z głowy. — Truczka zacisnął wargi i machał pochyloną głową.

— Jaki Wierkolski?

— No ten, którego żona za mąż wyszła. To znaczy może wyszła. O to właśnie chodzi, że ja przecież nie mogę być pewny czy to ten Wierkolski.

— O co chodzi? — Jasio nie rozumiał skrupułów Truczki.

— No, przecież to jak na moim sumieniu. Ja to powiedziałem, bo tak jakoś się złożyło, a ten duży jegomość...

— Pucha.

— Ten Pucha zaraz pobiegł zawiadamiać. Może ten Wierkolski, to inny? Może przejął się? Może zmienił zamiar i nie chce wracać do Polski? I to wszystko przeze mnie. A ja nie wiem wcale, czy to ten Wierkolski.

— Nie przejmuj się. Jeśli gość nie chce repatriować — to fajno. O to przecież i chodziło.

— Jakto?

— No co? Sam pan od tych komunistów zwiewasz, a innych chcesz namawiać do powrotu?

Truczka się zmieszał.

— Nie o to chodzi... Ale jeżeli ktoś chce wracać do rodziny...

— I byznes marnować? Rzucać taki byznes? Tutaj żyje jak hrabia i paczki wysyła, a tam co będzie miał?

— Wy wszyscy tylko o byznesie. — Truczka podniósł głowę — a przecież mnie o co innego chodzi. Jedzie czy nie jedzie — to jego sprawa, ja nie chcę mieć nikogo na sumieniu. Gdybym wiedział, gdzie on mieszka, poszedłbym i powiedział...

— Co?

— No że... że nie można być wcale pewnym czy to jego żona, czy to kto inny...

— Głupiś — parsknął Jasio niegrzecznie. — A jeśli wola, to proszę bardzo. Druga ulica na lewo, czerwony szyld, Holloway Landrette. To jest byznes Wierkolskiego.

Nim skończył mówić, Truczka już odpasywał gumowy fartuch.

— Co mam powiedzieć bosowi? — wołał za nim Jasio, ale nie otrzymał odpowiedzi.



Truczka otworzył drzwi i stanął na progu. Za kontuarem siedział jeden mężczyzna, obok niego stał drugi, wielki jak góra.

Siedzący podniósł łysą, żółtą głowę i twarz pomarszczoną. Spojrzał na Truczkę smutnymi wypłowiałymi oczyma.

— Czy... czy pan Wierkolski? — Truczce serce zaczęło bić. Nie wiadomo czemu nie mógł wytrzymać spojrzenia.

— Czego pan sobie życzy? — odpowiedział nie siedzący ale stojący obok olbrzym.

Truczka podniósł oczy na mówiącego. Pod siwiejącą czupryną błyszczała wielka, czerwona twarz przecięta szczotką czarno farbowanych wąsów.

— Ja chciałem mówić z panem Wierkolskim. Jestem Truczka, Zygmunt Truczka.

— Tyle to wiemy. Całe miasto pana zna — huczał wielki człowiek.

— Ja chciałem z panem Wierkolskim... Truczka postąpił kilka kroków i znowu spojrzał na siedzącego za kontuarem.

Nie potrzebował objaśnień. Skurczona, obwisła, zmęczona bezgranicznie twarz była odbiciem twarzy jego kolegi Tadeusza Wierkolskiego z Gdańska.

— Czy pan ma coś do powiedzenia panu Wierkolskiemu?
— Tak — cicho wyjąkał Truczka.
— To gadaj pan i krótko — zakomenderował olbrzym.
Truczka zawahał się, zebrał się w sobie i wreszcie zaczął:
— Proszę pana, ja chciałem panu powiedzieć, że to wszystko właściwie — to nic pewnego, że to może wcale nie pan — oczy patrzyły bez drgnienia powieką i biedny Truczka zaczął się plątać. — Ja wiem... ja rozumiem, że to moja wina... ja nie powinienem był... Panie Wierkolski — głos Truczki nagle zabrzmiał mocno i zdecydowanie — to nie jest prawda.
— Co? — po raz pierwszy odezwał się łysy mężczyzna.
— To nie jest prawda, że pana żona wyszła za mąż. Ja znam pana syna Tadeusza i żonę. Znam bardzo dobrze i mogę zaświadczyć.
— Czego on chce? — Wierkolski zwrócił się skrzypiącym głosem w stronę towarzysza.
— To pan Truczka, Józiu — łagodnie odpowiedział tamten — przyjechał z Polski.
— Z Polski. Z Polski. — Wierkolski westchnął i kiwnął głową ze zrozumieniem.
— Kiedy pan wraca? — spytał.
— Ja... nie wiem. Nie wiem jeszcze — wykręcał się Truczka.
Nagle oczy Wierkolskiego zabłysły. Powstał i wyciągnął rękę do Truczki.
— Musimy się poznać. Wierkolski jestem. Kapitan Józef Wierkolski. Kapitan artylerii.
— Zygmunt Truczka — odwzajemnił się młodzieniec z przymusem.
— Były kapitan artylerii — dopowiedział Wierkolski. — A teraz misja. Sekretna misja — zrobił tajemniczą minę. Wszyscy mamy jakieś misje.
— Hm... hm... — chrząknął wielki towarzysz Wierkolskiego, jakby zachęcając Truczkę do odpowiedzi.
— Tak. Naturalnie — mruczał Truczka. — Każdy ma misję.
— Właśnie — ucieszył się Wierkolski. — Pan też? No tak, pan przecież z Polski przyjechał z misją. Panie! — zawołał z błyskiem oczu — chodź pan tu. Tu — wskazywał miejsce koło siebie. — Prędko.
Truczka popatrzył niepewnie na olbrzyma i obszedł kontuar dokoła stając koło Wierkolskiego.
— Tu. Widzi pan? — Wierkolski otworzył wielką księgę. — Dopiero dziś w nocy otworzyły mi się oczy. Osiem funtów co pół godziny na jedną maszynę. Cztery maszyny przez osiem godzin dziennie 772 funty przeciętnie, czyli około 302 kilo. Patrz pan — pokazywał kolumny pozycji w książce. — Podsumowałem. Rano przyszedłem i podsumowałem. 5835 kilo 400 gramów. Przeszło czternastu tysięcy brak do dwudziestu ton. Rozumie pan? To niemało. Niemało. Ale trzeba będzie „owertajmy". Do dwudziestu ton!
— Czego dwadzieścia ton? — spytał drżący Truczka.

— Brudnej bielizny. Dwadzieścia ton. To moja misja. Powiedz pan, gdzie trzeba. Złóż pan raport. Kapitan Józef Wierkolski : dwadzieścia ton przydział.

Złapał raptem księgę i zatrzasnął. Spojrzał bokiem na Truczkę i cofnął się z przestrachem.

— Ani słowa. Ani słowa.

— Tak jest. Tak... jest.

Wierkolski wsadziwszy pod pachę swoje rachunki skoczył w tył poza półki z bielizną, w róg między maszyny.

Truczka podniósł oczy na wysokiego towarzysza Wierkolskiego, który stał mroczny i milczący.

— To przecież nie moja wina — zawołał. — To nie może być moja wina !

Potężny mężczyzna wyciągał z kieszeni chustkę od nosa.

— Przecież on się nie mógł tym tak przejąć. Przecież to osiemnaście lat. To nie może być ta wiadomość.

Olbrzym rozłożył brudną chusteczkę i wyszukiwał w niej czystego kawałka.

— Naturalnie, że to nie pana wina — powiedział spokojnie i ścisnąwszy wielki nos zatrąbił przeraźliwie.

Czesław DOBEK

Początek i koniec

Ustawiono nas na promenadzie, na prawo od cudacznej bramy-wieży, ukoronowanej zegarem i sygnaturką, w 280 piątkach. (Zaraz mi przyszło do głowy — jakie cwaniaki ! U nas — ,,dwuszereg w lewo front'' — i, trzeba było używać logarytmów, aby się doliczyć. Tu od razu wiadomo, że jest nas 1.400 sztuk).

Przed nami olbrzymim łukiem stały zielone domki. Na szczytowej ścianie każdego było biało a pięknie wymalowane gotykiem jedno słowo dłuższe lub dwa krótsze. W sumie dawały wszystkie jakiś werset biblijny, który brzmiał : ,,Es gibt nur einen Weg zur Freiheit ; seine Meilensteine heissen : Arbeit, Fleiss, Gehorsam, Reinheit, Muechternheit und Liebe zum Vaterlande''. (Jest tylko jedna droga do wolności ; jej słupami milowymi są : praca, pilność, posłuszeństwo, czystość, trzeźwość i miłość ojczyzny.) Masz ci dopiero... (To mi z miejsca przypomniało przykazania harcerskie : czysty w mowie, myśli i uczynku.)

Tymczasem byliśmy wszyscy brudni jak diabli. Od trzech dni niemyci i niegoleni, w zakurzonych butach i pomiętych ubraniach. Co chwila stojący koło mnie Maniuś Migacz powtarzał retoryczne pytanie : I gdzie to te s....y szkopy nas wtranżolili ?... (To mowa.) To samo mniej więcej wszyscy rozważali (w myśli). Na uczynek żaden nie było nas stać, a co dopiero na miłość do... ojczyzny. Do jakiej, czyjej, gdzie ? Czyli wychodzi właściwie na to, że stąd nigdy chyba nie wyjdziemy... (Niiii-g-dy... jakie to było rzewne tango. Niiii-g-dy...)

Z drugiej strony obok mnie stał notariusz X z Wierzbnika Niski, krępy, pałąkowaty, pucołowaty i — miał siwe wąsy długości 23 cm (tak na oko). Teraz jeden zwisał mu w lewo w skos do dołu, a drugi stał w prawo do przodu i w górę. (Gdzie ja to widziałem faceta, który miał metrowe paznokcie ? Gdzie to było ?...) Trochę jestem śpiący, bo cztery noce w pociągu kiepsko spałem : stukot kół tuż pod głową, ciasnota, smród,

ciemno i ktoś ciągle po mnie chodził. (To chyba te wariaty, co chciały uciekać przez podłogę. Dokąd ?!?) Ale wszystko takie nowe i ciekawe...

Między tymi zielonymi pawilonami a naszym miejscem postoju jest rozległy plac, na którym nie ma żywego ducha. To samo w uliczkach między barakami. Dżuma czy jakie licho? Łukiem przed barakami biegnie dziwna ulica : kawałek żwiru, kawałek asfaltu, kawałek kostki, kawałek piasku, kawałek trotuaru borysławskiego z drzewa. Oba jej końce sięgają promenady, całej asfaltowanej. Takiż gościniec idzie od wieży-bramy przez plac, do baraków.

Ale — myślę sobie — dzisiaj jest 17-go lipca (1940), na swoje urodziny — 27-go lipca — będę znowu w domu. Nie podobna przecie, żeby taka lipa trwała długo... 11-go czerwca mnie aresztowali w Starachowicach. Poprzedniego dnia zdrowo popiliśmy na zawiązek AK. Pracując w starostwie, wszystkim członkom „wystawiłem" fałszywe Kennkarty, ale były tak prawdziwe, że dotąd tego nie wykryli. Każda miała osobisty podpis starosty : Zettelmeyer, Kreishauptmann des Kreises Ilza. Ot co.

Więc — kontynuowałem sobie — nie wykryli, to i nie wykryją i, wypuszczą. Na urodziny... A to sobie popijemy!... Tylko ten łobuz Volksdeutsch z Poznania, Przewoźny... coś się tak uśmiechał, gdy kładłem plik legitymacji na biurku starosty... Ale co tam taki pewien uśmiech durnia. Tysiące dowodów nie były fałszywe i aresztowali mnie widocznie przez pomyłkę lub dla wypełnienia normy. Urodziny — — —

W tej chwili ktoś mnie wybił z zadumy — zwykłym siarczystym kopniakiem. Odwróciłem się i ujrzałem jakiegoś SS-mana, który oddalając się — kopał podobnie co czwartego lub piątego z nas, drobiąc w śmiesznych podskokach. Trochę mnie kość ogonowa zabolała, ale chyba nie mnie tylko. A Maniuś Migacz powiada :

— Celował we mnie, ale spudłował. Widziałem tego s...a z daleka. Co pan tak myśli, panie redaktorze ?

— O nic, tak sobie...

◆

Wreszcie z bramy-wieży wysypała się zgraja SS-manów, ale tego, który kopał w niej nie było. Jakiś oficer ze szpicrutą w ręku wystąpił do przodu i... powitał nas po niemiecku. Ponieważ jednak miał zaszczyt przemawiać do transportu z Radomia, mało kto go zrozumiał. Wobec tego pojawił się zaraz inny i tak mówił :

— Jesteśta tu w Konzentrations Lager Sachsenhausen. Nie jest to sanatorium ani Erholungsheim. Trza tu robić i słuchać, a nie — to kopsa w dupa, na łopata i do pieca (do mówiąc, wskazał na dymiący na widnokręgu, za barakami komin). A teraz *Los, Los !*

Po niemiecku powitanie było nieco dłuższe i zupełnie inne. Tłumacz podał go w bardzo wolnym przekładzie i z pewną dozą „licentia poëtica". Ale mniej więcej na to samo wychodziło.

— Do jakiego pieca? — spytał Maniuś.



W pewnej chwili wybiegła truchcikiem z bramy kolumna... marynarzy. Tak mi się zrazu zdawało. Było ich z dziesięć piątek, wyrównanych i pokrytych w półbiegu doskonale. Każdy miał na głowie granatową marynarską czapkę — tylko bez wstążek. Ubrania ich stanowiły... pidżamy śnieżnej białości w błękitne pasy, do tego czarne buciki wojskowe. Nagle stanęli jak wryci. Wykręcili się do tyłu jak frygi i, rozbiegli w wymarłe ulice między barakami. Nawet to ładnie wyglądało.

— Ty się na nich tak nie patrz, bo to są kelnerzy z SS-Kantine, a ty pójdziesz na Klinkerwerk — nagle usłyszałem za sobą. Odwróciwszy się, zobaczyłem tego „tłumacza" od siedmiu boleści.

— Co ty jesteś?

— *Kreishauptmannschafts Angesteller* — odparłem sprytnie.

— *O — vieleicht gehst du nicht auf's Klinkerwerk* — rzekł filozoficznie i odszedł z godnością samego Himmlera.

Jak on to powiedział — *Klinkerwerk* (cegielnia)?... To „N" w środku tak dźwięczało jakby murarz młotkiem stuknął w cegłę, trzymaną w dłoni na jakiejś podniebnej budowie. *Kli-N-kerwerk*. Maniuś mnie szarpie za rękaw i pyta:

— Co ten s...n jazgotał?

— Mówił, że będziemy robić na cegielni.

Wtem przed frontem pojawił się jeden taki w pidżamie. Łeb miał wygolony a na piersiach czerwony trójkąt i numer, który widniał również na jednej nogawce u spodni, na szwie tuż nad kolanem.

— Wszystko co macie do jadła, położyć na ziemi i zostawić. *Rechts um! Im Gleichschritt — Marsch!*

Niektórzy zrozumieli i rozkaz wykonali; niektórzy zrozumieli, ale zlecenia nie wykonali, a jeszcze inni ani zrozumieli ani wykonali. Ponieważ jednak czoło kolumny zaczęło się posuwać — wynikł bałagan, tym więcej, że trzeba było wymijać rozparcelowany tabor prowiantowy. Wkrótce porządek przywróciło więcej takich w pidżamach z różnokolorowymi trójkątami. Ci, którzy mieli przy numerze trójkąty zielone lub czarne pomagali do zrozumienia opornym zwykłymi kopniakami i niezwykłymi razami pałki, będącej kawałkiem grubego węża gumowego od wodociągu lub hydrantu; takie „obrjezy"...

Niebawem oddaliliśmy się na tyle, że koniec kolumny znalazł się w tym miejscu, gdzie stał zrazu jej początek. Obejrzawszy się, można się było najlepiej przekonać o tym, co to za bogaty kraj — ta Polska! Za nami stały paki, toboły, wory, pudła,

kosze, węzełki, kobiałki i zawiniątka pełne jadła i napoju. Z niektórych wystawały bochny chleba, połcie słoniny, krążki kiełbasy, słoje z miodem lub konfiturami, obłe butle najprzedniejszych domowych nalewek (przeszwarcowanych do więzienia), kołacze, strucle, i placki. Tak to rodziny uwięzionych dbały o swoich mężów lub synów, ojców lub braci. A swoją drogą — przed wyruszeniem każdy dostał bochen komiśnego chleba — jako wiatyk. Leżały teraz porzucone, nawet nienapoczęte, wśród tej przedziwnej wystawy na promenadzie kacetowej w Sachsenhausen. Podobnego widoku nie miały zażyć oczy nasze, przetrzebione do kilku tylko par (!) prędzej, niż 2-go maja 1945 w Szwerynie.



W Szwerynie... 20-go kwietnia były urodziny Hitlera. W kacecie od pewnego czasu działo się najniesamowiciej. Onegdaj przeżywaliśmy — Noc Bartłomiejową. Na zlecenie jaczejki-dintojry, zwanej Sonderkommission (której członkiem był autor niedawno omówionej książki ,,Jak cierpiałem w kacecie'') — wyciągnięto z łóżek mnóstwo najniewinniejszych ludzi i — rozłupano. Na tle porachunków osobistych niekiedy zginęli omal w przeddzień ,,jutrzenki swobody''. Między wielu innymi los taki spotkał brata mojego przyjaciela z ławy szkolnej Mieczysława Słabińskiego, który kiedyś naraził się jednemu blokowemu nie pozwalając się podszczypywać...

Obóz zawsze przepełniony — teraz pękał i trzeszczał i gotował się. Niektóre baraki były wypalone od ostatnich nalotów, kanalizacja nieczynna, między blokami wykopano polowe latryny, wody było mało a jedzenia jeszcze mniej. Bałagan był nieopisany, wprost nie do uwierzenia w porównaniu ze śmiertelnym ,,porządkiem'', jaki zwykle panował. Pod naporem sił ,,alianckich'' wiele kacetów przelano do naszego. W okolicznych lasach stało dziesiątki tysięcy jeńców rosyjskich. Lecz dowodem najoczywistszym, że świat się kończy, był fakt zwiezienia kobiet z ,,damskich kacetów''. Umieszczono je w odizolowanych barakach byłej Kompanii Karnej. Wśród nich — przywieziono mi żonę... Dotąd płeć piękną widzieć można było tylko w kacetowym burdelu ,,Puff'', jeśli kto do niego uczęszczał w nagrodę za dobre sprawowanie się i nie miał nałożnicy w osobie młodego Ruska, jakiegoś Iwana lub Koli...

Ponieważ ciągle ostatnio mówiono o naszej ewakuacji także, każdy się sposobił jak mógł. Ja miałem piękny niebieski chlebak, wypełniony głupstewkami: zakopiańską kasetą, cygarniczką z ustnikiem z — ludzkiej kości (producja kacetowa) przybory do golenia i — Tuwima ,,Wiersze Zebrane''. Gdy z pobudką o 5-ej rano powiedziano nam o ewakuacji, wyjąłem swój chlebak z siennika i położyłem na stole. Ktoś mnie popchnął, siennik mi spadł na łeb, gdy się wymotałem — chlebaka nie było.

Wyszedłem na dwór z tego kotłowiska. Wcale nie byłem zły. Pociągnąłem z manierki siarczysty łyk „Kontuszówki", którą przyniósł mi wczoraj z roboty kolega Włodek Bem. Zapaliłem papierosa. Wróciłem na „śniadanie" do bloku. Ale tam taki był potworny bałagan, że zrezygnowałem z tej czarnej wody. Wyszedłem znowu na dwór i — pociągnąłem z manierki.

Ponieważ zrobiło się jasno, wstąpiłem do pierwszego z brzegu bloku i wziąłem strzęp jakiegoś magazynu ilustrowanego. Usiadłszy na wypalonym od bomby słupku sąsiedniego baraku — zatopiłem się w lekturze. Wszyscy zaś biegali jak oparzeni, załatwiając ostatnie sprawunki. Ja nic nie miałem do załatwienia...

Wreszcie zaczęto formować kolumny, dano nam po połówce chleba i kawałku kadryla i, wyruszyliśmy w ostatnią podróż, w nieznane. Ale niestety wielu z nas nie doszło. Kto nie mógł iść (a trudno iść nie jedząc, nie pijąc i, śpiąc na podmokłej łące) zostawał zastrzelony w przydrożnym rowie.

2-go maja 1945 stanęliśmy na popas południowy w jakimś przydrożnym lasku — 10 km. przed Szwerynem. W pewnej chwili patrzymy — a tu nikt nas już nie pilnuje. Wieść gruchnęła : koniec wojny ! Niektórzy urządzili sobie bal w tym właśnie lasku. Piekli woły i barany, pili samogon, gnietli Niemki. Skąd i jak to wszystko wzięli — nie wiem. Ja poszedłem do Szweryna.

U bram miasta stali żołnierze amerykańscy. Na najbliższym wzgórzu, w jakimś parku — dopust Boży. Na niebotycznej kupie leżało kilka tysięcy rowerów, które Amerykanie poodbierali umykającym Szwabom. Już było ciemno. Rozniecono ogniska. Rozbito pociąg prowiantowy. Wygłodniali do stanu obłąkania niektórzy brodzili w beczkach marmelady, jedli szmalec z mąką garściami, pili wódkę z wiadra. Tam się ich wolność skończyła raz na zawsze. Skonali syci...

Amerykańscy żołnierze bili Niemców pocięglem a nad Niemkami znęcali się z krzakach. Polakom dawali papierosy, a Polkom — to samo, co Niemkom. Na ziemi walały się ulotki z wyraźnym tytułem „Nonfraternization"... Ale jedzenia i picia (tylko znacznie gorszego) było tyle, ile zostawiliśmy na promenadzie w Sachsenhausen pięć lat temu, w dniu przybycia...

◆

Tymczasem wchodziliśmy w uliczkę małego obozu. Pogoda była piękna, słonecznie, ciepło. W pierwszym baraku na lewo wszystkie okna były otwarte, a za nimi stały długie stoły. Na wprost każdego okna siedział facet w pidżamie. SS-mani krążyli, pilnując — procedury rejestracyjnej. Przed każdym oknem ustawiono ogonek. W jednym oddawano dokumenty i otrzymywano karteczki z numerem. Ja dostałem 27.470. W drugim zdawano kosztowności i notowano złote zęby i plomby.

W trzecim spisywano historię przebytych chorób, szczepień i ułomności. W czwartym, w piątym, w szóstym...

Na końcu baraku w przecznicy stało kilka zydli. Gdy w ostatnim oknie oddano wszystką odzież — każdy nagi stawał na zydlu dla wystrzyżenia — wszystkich włosów w każdym miejscu ciała z głową włącznie. Wtedy szło się w jedyne otwarte drzwi i ktoś rzucał w twarz jakieś szmaty. Trzeba je było błyskawicznie uchwycić i umykać. Na dworze okazało się, że jest to echo koszuli, spodni i bluzy. Tylko tyle. Ani kalesonów, ani skarpet, ani butów, ani czapki. (Mogli równie dobrze nic nie dać, prawda?)

Wszystko to trwało dosyć długo. Niektórzy zgubili swoją kartkę z numerem, który każdy nazajutrz miał wymalować sobie na bluzie i spodniach. Brodzono pokracznie w morzu włosów i kłaków: prostych, falistych, kędzierzawych, siwych, czarnych i złotych. Tyle włosia ludzkiego w życiu nie widziałem.

A mój numer? Jest. 27.470. Podobny do numeru mojego telefonu. Telefonu? A cóż to jest telefon? Ha, ha, ha...

Rejestrantami, cyrulikami, magazynierami byli starzy więźniowie. Jakie oni mieli numery? 10.534, 8.762, 3.212 — był nawet jeden, który miał 303; ten to chyba pamięta Adama i Ewę... Niektórzy mówili po polsku dość podle, inni tylko po niemiecku. Jeden był księdzem i przy rejestracji, spozierając wokoło przezornie (czy nie ma SS-mana), pytał każdego: Skąd ty? I dodawał: nic się nie bój, wojna niedługo się skończy. Była to pociecha, ale głupia. W każdym razie lepsza, niż kopniak lub raz gumą.

Widziałem, jak niektóry z tych „funkcjonariuszy" przymierzał złote okulary a przybysze przewracali się w kupach włosia, gubiąc kartkę z numerem. Jakiś pisarczyk w pidżamie — pisał odtąd moim złotym piórem. Inny wpędził do swojej kieszeni srebrną zapalniczkę mojego sąsiada.

Naraz zobaczyłem notariusza X z Wierzbnika. Gdzież się podział jego wspaniały wąs sumiasty? Spodnie sięgały mu po kolana a kurtka nie domykała się na brzuchu szeroką szparą. Na bosaka z ostrzyżoną głową na „oo" wyglądał na parobka Wielopolskiego, z którym właśnie rozmawiał wielce dystyngowanie.

Nagle podszedł do nich jakiś facet w pidżamie. Był rosły i krępy, o nieco krzywych nogach i twarzy rozbójnika. Miał czarny trójkąt i bardzo wczesny numer.

— *Wer ist der Graf?* — zapytał.

Wielopolski bardzo uprzejmie odpowiedział: — *Ich bin.*

— *Brühle ab!* — syknął przez zęby rozpruwajło i, ledwo hrabia zdążył wykonać rozkaz tak go grzmotnął na odlew pięścią w szczękę, że Wielopolski runął na ziemię aż tuman kurzu z włosami wzbił się ze żwiru.

— *Auf!* — powtórzył reprezentant antyhitleryzmu.

Pozbierał się biedak (a był chudy i wysoki) i włożył okulary.

— *Brühle ab!* — szczeknął hycel.

To powtórzyło się z dziesięć razy. Nie mogłem patrzeć. Notariusz zastygł obok skonfundowany. SS-mana żadnego nie było w pobliżu (gdyby był — to by pomógł hyclowi).



Wreszcie znaleźliśmy się w baraku. Blokowy kazał nam usiąść za stołami. Tak było ciasno, że siedzieliśmy jeden drugiemu na kolanach. Wybrał kilku z nas dla przyniesienia wody w konewkach. Każdy dostał kubek wody. Weszliśmy do obozu o świcie, teraz było już ciemno!

W ,,sypialni'' były cztery rzędy sienników na ziemi: dwa pod oknami i dwa pośrodku. Rozebrawszy się przy stołach i ułożywszy szmaty ,,w kostkę'' — udaliśmy się ,,na spoczynek''. Mogliśmy leżeć tylko bokiem. Śmierdziało niemiłosiernie. Niektórzy się bili o miejsce, tratowali, klęli, płakali.

Lecz od wejścia do baraku do złożenia swego ciała bokiem na sienniku — działo się wszystko w takim tumulcie, popychaniu się, przewracaniu, biciu, przeklinaniu, a nawet — płaczu (niektórzy płakali, zwłaszcza starsi panowie), że tego Dante ze swoją naiwną (jakże wytwornie naiwną !!!) ,,Boską Komedią'' nie umiałby opisać. Dlaczego ja miałbym się silić?

Leżałem w stanie lewitacji między Maniusiem Migaczem a dożywotnim więźniem z Wiśnicza (zaraz się przedstawił). Za nim notariusz, Wielopolski, jego leśniczy i dziesiątki innych, śmierdzących ciał, niedokrytych jednym kocem na sześciu. (Było duszno, gorąco, parno, gęsto).

Ludzie kaszlali od kurzu z sienników, stękali w niemej rozpaczy, rozmyślali. I ja rozmyślałem — chyba nie zdążę na swoje urodziny...

Po przeciwniej stronie ,,ulicy'' był blok żydowski. Ktoś śpiewał solo doskonałym tenorem — zapomniany romans cygański (po niemiecku) — ,,*Sonia, Sonia, deine gold'ne Haare...*'' Jakiś kantor prawdopodobnie, z Berlina lub z Frankfurtu. W naszym rzędzie uniosło się kilka głów. Maniuś powiedział: Pieje odpowiedzialnie szabasowym dyszkantem...

Sonia, Sonia — deine gold'ne Haare...

Stanisław Ludwik LEWICKI

Przekłady

Theodore ROETHKE

BOLEŚĆ

Poznałem nieutulony smutek ołówków,
Schludnych w pudełkach, boleść notatników i przycisków,
Całą nędzę teczek z manili i klejów roślinnych,
Spustoszenie nienagannie czystych miejsc publicznych,
Samotnej poczekalni, ustępu, centrali telefonicznej,
Nieodmienny patos miednicy i dzbana,
Rytuał multigrafu, spinaczy, przecinka,
Niekończące się dwojenie żywotów i rzeczy.
I widziałem kurz ze ścian zakładów,
Doskonalszy od mąki, żywy, niebezpieczniejszy od krzemionki,
Przesiany, niedostrzegalny prawie w długie popołudnia nudy,
Spadający cieniutką warstwą na paznokcie i czułe rzęsy,
Szkląc wypłowiałe włosy, szare standardowe kopie twarzy.

The Penguin Book of Modern American Verses



Wallace STEVENS

POWIEDZENIA

Literatura jest lepszą częścią życia. Tu należy natychmiast dodać zastrzeżenie, o ile życie jest lepszą częścią literatury.
Myśl jest ogniskiem zapalnym. W wypadku niektórych myśl zachodzi epidemia.
Myśl o wieczorze jest jak dzień jasnej pogody.
Wszystkie nasze idee pochodzą ze świata rzeczywistości: drzewa podobne parasolom.

Ideał to teraźniejszość w anemii. Romantyczne jest bardzo często prawie tym samym.
Ponieważ rozum niszczy, poeta musi tworzyć.
Wiersz winien być częścią czyjegoś sensu życia.
Świat jest jedyną rzeczą nadającą się do rozpamiętywania.
Rzecz widziana staje się rzeczą niewidzialną. Przeciwieństwo jest lub wydaje się być niemożliwością.
Badanie i rozumienie świata nierzeczywistego jest funkcją poety.
Podstawową trudnością każdej sztuki jest problem normalności.
Metafora tworzy nową rzeczywistość w której oryginał wydaje się być nierealny.

Opis jest elementem jak powietrze i woda.
Myśl dąży do łączenia się wspólnie.
Życie to nie człowiek i scena ale myśl i uczucie.
Zmiana stylu jest zmianą przedmiotu.
Uczucie lub postrzeganie jest tym co przyśpiesza słowa; a nie inna droga okrężna.
Człowiek nie może poszukiwać w życiu doznań nie mających wzoru.
Wyobraźnia trawi i wchłania część elementu rzeczywistości.
Poeta jest bożkiem, a właściwiej, młody poeta jest bożkiem. Stary poeta jest trampem.

Musi być jakieś skrzydło do lotu.



Wallace STEVENS

TRZYNAŚCIE ODMIENNYCH SPOJRZEŃ NA KOSA

I

Wśród dwudziestu ośnieżonych gór, 17
Jedyną ruchomą rzeczą
Było oko kosa.

II

Byłem z trzech świadomości,
Jak drzewo
W którym są trzy kosy.

III

Kos wirował w jesiennych wiatrach.
Grał małą cząstkę pantominy.

IV

Mężczyzna i kobieta
Są jednym.
Mężczyzna kobieta i kos
Są jednym.

V

Nie wiem co bardziej wolę,
Piękno odmiany słów
Czy piękno domyślników,
Śpiew kosa
Czy tuż następne.

VI

Sople wypełniły całą długość okna
Barbarzyńskim szkłem.
Cień kosa
Pokreślił je swawolnym lotem.
Nastrój
Odcisnął na cieniu
Nieodcyfrowaną sprawę.

VII

O mali ludzie z Haddam,
Dlaczego wyobrażacie sobie złote ptaki?
Czy nie widzicie jak kos
Plącze się u nóg
Kobiet waszych?

VIII

Znam szlachetne słowa
I rytmy jasne, niezawodne;
Ale również wiem
Że kos jest wwikłany
W to co wiem.

IX

Kiedy kos lecąc znika z oczu,
Wyznacza on brzeg
Jednego z wielu kół.

X

Na widok kosów
Latających w zielonym świetle,
Nawet niewrażliwe stręczycielki miłości
Wydałyby okrzyk zachwytu.

XI

Jechał przez Connecticut
W szklanym powozie.
Nagle przeszył go lęk
W którym mylnie wziął
Cień swego ekwipażu
Za kosy.

XII

Rzeka porusza się.
Kosy muszą być w locie.

XIII

Wieczór był całe popołudnie.
Śnieżyło
I miała śnieżyć.
Kos usiadł
W członach cedrowych.



Archibold MAC LEISH

KRAJ WOLNYCH

(Zakończenie taśmy dźwiękowej)

Zastanawia nas, czyżby sen o amerykańskiej wolności
Był dwóchsetleciem sosny i budulca
I trzema pokoleniami trawy

Pokolenia dojrzały: lata przeszły

Nie wiemy

Minęło dwieście lat od zapachu przypływu morza
przez Piedymonte : poprzez sosnowe lasy :
Aż wyłoniliśmy się
z chudymi niewiastami, prowadząc cielęta
w dębinowych przejściach Illinois.

Trzy pokolenia minęły od tamtej dębiny —
Od kęp wiązowych drzew i wysepek dębów na preriach
Aż wytępiliśmy je pługami i bronami
na kościstej rafie Równin pogrążonych w trawach.

,,Cztery dwudziestolecia i lat siedem'', rzekł Orator.

My je pamiętamy odmiennie : pamiętamy je
Kansas : Illinois : Ohio : Connecticut.
Pamiętamy je : Council Bluffs : St. Louis :
Wills Creek : The Cumberland : Shenandoah —
Długie na wietrze debaty traw, oto nasze dzieje

Naszą wolność wyrażamy przeszłością naszej ziemi
Naszą przeszłość wyznaczają nagrobki i drzewa jabłoni

Zastanawia nas, czyżby największym marzeniem Ameryki
Był śpiew szarańczy w trawie, płynący z zachodu, ale
Zachód dziś jest poza nami :
Wiatr zachodni jest z dala od nas :

Zastanawia nas, czy już wolność się dokonała :
Marzenia skończyły się

Nie możemy powiedzieć

Nie jesteśmy pewni

Czy może być dla ludzi inny cel do marzeń
albo czy może jest coś innego co człowiek rozumie przez Wolność

Albo, czy może istnieje wolność którą człowiek wymierza w Ludziach : nie w ziemi
Zastanawia nas

Nie wiemy

Pytamy się

Przełożył Wacław IWANIUK

Wiersze

W CIENIU CHMURY

Mietkowi w odpowiedzi na „Ciężar".

szłem raz
irlandzką ulicą
myśli
kładłem na ziemi
ciężkie od deszczu

mijałem okna
w jedwabnej glorii
a także
łachmany zaułków

tam
wózek z torfem
popychał nędzarz

i nim
zdążyłem odczytać
pergamin jego twarzy
rozsypał się trud serdeczny
pod kołem samochodowym

zelżony przez syte usta
kłaniał się limuzynie
pokornie zbierał cegiełki
i cicho mówił
przepraszam

schyliłem się
za innymi
skarb skromny zbierałem
ze wstydem
aby nie został
samotny
bez ciepła
w dziurawym domu

a kiedy
odchodził milcząc
pod parasolem uśmiechu
z gwiazdką dla dzieci
raźniej
toczył się wózek

wracając
widziałem na moście
ludzi wesołych
rzucali mewom
kawałki chleba

para staruszków
jak gołębie
zgrzybiałe bardzo
tuliła się na ławce
pamiętającej ich młodość
rozumiejącej
ich ciszę

obok
drzewa otrząsały się
z kropel
jak psy po kąpieli

i dzieci
pytały przechodniów
o drogę do szczęścia
za parę penów

Z. ŁAWRYNOWICZ

METAMORFOZY

1.

we mgle poranek
niemowlę w pieluszkach

niewidoczny jest jeszcze
profil rzeczy
ani krajobraz czynów

tylko kwilenie mewy
za białych firanek koronką
wiatr niesie w dłoniach
z nad łąki morza

2.

południe pod kloszem
z ultramaryny
ma zielony parasol
i wachlarz z wiatru

a człowiek
ręką stworzoną do arcydzieł
pot ociera
myśląc
o ziemi

pamięć wysyła
gońców czułych
do nierealnych ogrodów
gdzie leżą zabawki

ale ręce
twarde od pługa
ręce
mądre od pieśni
kreślą koła na piasku

gorące krwią niecierpliwych
drogom zdyszanym
idą naprzeciw
kędy w łupinach niepokoju
śpi owoc dojrzały
jutro

3.

wieczór w cieniu winnicy
wieczorne nieszpory dzwonów
srebrny starzec wsparty na lasce
jak przed odlotem żuraw

w teatrze światła gasną
pożółkłe ręce aktora
raz jeszcze próbują gestu
w niewyczerpanej roli

przed oczy o życie bogatsze
wiatr rzucił wstążkę wydarzeń
gwiazdy metafizyczne
głoszą kres i początek

więc to jest
oblicze śmierci
lustra oczu ogromnych
wyżarte pola i las
niewykarczowanych
pni

krajobraz smutny
jednakże
drzemią w nim rojem ziarna
wierne
snom sprawiedliwych

po latach
przyjdą młodzi
kwiat w dłoniach
uniosą wysoko

powiedzą wiosna
zbudują dom

Z. ŁAWRYNOWIC

...NESCIO, SED FIERI SENTIO

Spłowiał firmament rozumu
stłumił kwiecień rozpaczy
opóźnionym śniegiem

w czeluściach krokusów
płodność czarnoksięska
zamarzła przed porodem

wybuchła na śniegu
radość bezbożna
chełpiąc się bałwanami
odwilży w hałasie niepomna

wnet błotem chlupnęły
śnieżne pomniki
pod butami godzin

niebo na szczerość się wycedziło
znów farbą zapłakał
kwiecień rozpaczy

w czeluściach krokusów
nieśmiało prężyła się nadzieja

w maju żmija wypełzła
i zasnęła na słońcu

Ludwik F. BUYNO

ZANIM

Już będę dudnieniem dekad uśpiony
kiedy wrócisz nawrócona losem
i w ciszy bezradnej staruszko
ręką zgrzybiałą od jesiennych całusów
dotkniesz wyplenionego
zielska co niegdyś kwitło
bujnie na twym klombie
i prawdę z pułapki wypuścisz
za późno
A cóż gdybym jutro
za granicę ponęty
duszę chyłkiem przemycił
składając ci w spadku
jak zapałki w popielniczce
kilkadziesiąt kości człowieczych?
rzekłabyś amen.

Potrzeba pastwy całusów i jesieni
potrzeba upartej niedowiary sekund
i sumienności wskazówek
potrzeba by prawda jak mysz konała
zanim się zdradzisz ręką
zgrzybiałą
za późno

Ludwik F. BUYNO

Archiwum polityczne

Sens lewicy

I

„CAMUSOWSKIE KŁAMSTWO"

Dostajemy teraz w „Kulturze" dziwne listy z Kraju. Pisane w Warszawie a nadawane w Paryżu lub w Londynie. Mam przed sobą jeden z takich listów. Autorem jest młody rewizjonista — członek partii. Nasz korespondent — nazwijmy go p. Z. — pisze między innymi: „Kultura" krytykuje ale kim jesteście i z jakich pozycji podejmujecie atak. Ułatwiłoby dyskusję gdybyście zechcieli zidentyfikować wasze polityczne oblicze.

Jakże charakterystyczną jest owa namiętna mania klasyfikacji i szufladkowania.

Zajęcie pozycji jest identyczne z zaangażowaniem się ideologicznym w zrozumieniu p. Z.

Osobiście nie jestem zwolennikiem pisarstwa zaangażowanego. Ten typ literatury czy to pięknej, czy politycznej — przyniósł niepomiernie więcej szkody niż pożytku.

Ukazał się teraz w Polsce „Obcy" Camusa. Na temat tej książki tak w prasie krajowej jak i zagranicznej napisano mnóstwo nonsensów. Być może, że to właśnie skłoniło Camusa do zaopatrzenia amerykańskiego wydania „Outsider'a" krótkim wstępem.

Dramatem Meursault'a — pisze Camus — jest fakt, że nie chce kłamać. Kłamstwem nie jest tylko mówienie czego nie ma, ale kłamstwem jest również mówienie więcej niż jest. I to jest typ kłamstwa o najgroźniejszych konsekwencjach. My wszyscy popełniamy setki takich kłamstw. Meursault, który nie chce licytować swoich uczuć i opinii do parytetu uznanej konwencji

— popada w konflikt ze społeczeństwem — które czuje się za
grożone nie jego czynami lecz odmową kłamstwa.

Licytowanie w słowie i w piśmie własnych uczuć i opini
do skali obowiązującej konwencji w państwie totalistycznym
doprowadzone jest do granic karykatury. Co to jest tzw. rea
lizm socjalistyczny? To jest typowe kłamstwo polegające na
tym, że mówi się więcej niż jest. Lakiernictwo, ,,drętwa mo
wa'', wszystkie formy propagandy — są zwyrodniałymi mani
festacjami owego najgroźniejszego gatunku kłamstwa. Wszę
dzie tam, gdzie konwencja nie ma autentycznego poparcia więk
szości — sankcje przeciwko tym, którzy kłamać nie chcą przy
bierają monstrualny charakter.

Grzechem pierworodnym każdej literatury zaangażowane
jest ów camusowski typ kłamstwa. Literat, publicysta, dzienni
karz zaangażowany pisze z reguły więcej niż jest. Każdy kto
odmawia podpisania się pod tymi kłamstwami piętnowany jes
jako odstępca od konwencji.

Więc z jakich pozycji atakujemy? Mogę mówić tylko o mo
jej własnej pozycji. Sądzę, że należałoby ją określić jako racjo
nalistyczny sceptycyzm. Prawdziwy racjonalizm nie może by
inny. Moja droga ku poglądowi lewicowemu wywodzi się ni
z wiary w ideologię, tylko z zaufania do nauki. Jestem przeko
nany, że ustrój socjalistyczny najpełniej ucieleśnia naukowy po
gląd na świat i wierzę, że jest to ustrój przyszłości. Jestem rów
nież przekonany, że ewolucja ku socjalizmowi jest historycznym
ruchem nieodwracalnym.

Współczesny komunizm nie jest socjalizmem naukowym
Jest w równej mierze ,,naukowy'' jak cesarz austriacki był ,,apo
stolski''. Żaden ruch nie może zgłaszać pretensji do naukowoś
ci, jeżeli odrzuca metodę naukowej analizy w odniesieniu d
własnych przemian. Dogmatyzm i sui generis ,,religianctwo''
systemu komunistycznego polegającą na tym, że istotne zagad
nienia, które mogą być i winny być przedmiotem analizy nau
kowej — wyłącza się autorytatywnie spod kompetencji nauki
naklejając na owe zagadnienia etykietkę ,,tabu''. Każdy kto d
owych ,,niebezpiecznych'' zagadnień podchodzi z aparatem ana
lizy naukowej zostaje potępiony. Tak robią wszystkie religie
ale z racjonalizmem nie ma to nic wspólnego.

Odstępstwa od racjonalizmu prowadzą nie do zakłamania
(bo w owe kłamstwa nikt nie wierzy) lecz do konstruowani
umownej rzeczywistości. Rzeczywistość nie jest badana i ana
lizowana lecz autorytatywnie interpretowana i reinterpretowana
zależnie od koniunktury chwili.

Weźmy dla przykładu dzieje rewolucji węgierskiej. Mate
riały dotyczące wydarzeń na Węgrzech są tak obfite, że prze
bieg ich można odtworzyć z fotograficzną niemal dokładnością
Wydawałoby się więc, że obiektywny historyk nie powinie
mieć trudności w opisie tego cyklu wydarzeń i w wypośrodko
waniu wszystkich ,,pro'' i ,,contra''.

Tylko na Zachodzie podjęto obiektywne próby opisu i analizy rewolucji węgierskiej. W państwach komunistycznych natomiast zadowolono się szeregiem interpretacji politycznych. Owe interpretacje są ze sobą całkowicie sprzeczne, ale tym nikt się nie przejmuje. Wystarczy porównać przemówienie Gomułki w Budapeszcie, w czasie jego wizyty w maju rb., z jego wypowiedzią z dn. 5. 11. 1956, czy z wypowiedzią Radia warszawskiego z dnia 24. 11. 1956. — by przekonać się jakim przemianom ulegały interpretacje i re-interpretacje tych tragicznych wydarzeń.

To jest przykład jeden z tysięcy. Poruszam ten problem jedynie dlatego, by wykazać, że istnieje zasadnicza sprzeczność pomiędzy perswazją a odstępstwem od racjonalistycznej metodyki. Do przyjęcia obecnego poglądu na rewolucję węgierską można kogoś zmusić naciskiem, ale nikogo nie można przekonać, że ów pogląd jest słuszny. Formy nacisku i zastraszenia są nie do wytępienia w systemie o ograniczonej swobodzie badań naukowych. Cechą każdego zamkniętego, totalnego systemu — jest dążenie do tworzenia własnej umownej rzeczywistości. Ponieważ świat realny nie pokrywa się nigdy z doktryną tworzy się surrealistyczną nadbudowę, która oficjalnie obowiązuje. I to jest ów ,,orwellizm'' przed którym w świecie komunistycznym nie ma ucieczki.

W książce Hłaski tow. Franciszek Kowalski żyje przez szereg lat w surrealistycznym wymiarze świata partyjnego. Partia, doktryna, system komunistyczny odmalowane są w ,,Cmentarzach'' wiernie. Cała makabryczna groteskowość sytuacji polega wyłącznie na tym, że Kowalski komunistyczny surrealizm bierze za realizm. Jest zbyt prostolinijnym człowiekiem by wykształcić w sobie ,,doublethinking'', które dostępne jest tylko dla wtajemniczonych bonzów.

Każdy komunista jest w pewnym stopniu panem Kowalskim — jest w pewnej mierze surrealistą. Jeżeli fakty przeczą jego surrealistycznej koncepcji rzeczywistości — nie cofnie się przed negowaniem oczywistych faktów. John Gunther w swej świeżo wydanej książce pt. ,,Inside Russia To-day'' — opisuje jak usiłował przekonać Chruszczowa, iż Eisenhower nie był poinformowany przez Edena o ,,wojnie'' sueskiej. Na Zachodzie jest to rzecz powszechnie wiadoma. Lecz w ramach surrealistycznej interpretacji Chruszczowa — by wszystko grało jak należy — kryzys sueski musiał być wyreżyserowany przez amerykańskich kapitalistów z Wall Street. Chruszczow zaprzeczy raczej faktom a nie wyrzeknie się swej interpretacji doktrynalnej.

Sądzę, że w owym surrealizmie komunizmu tkwi groźne niebezpieczeństwo. Jak długo surrealistą jest tow. Kowalski z powieści Hłaski — wszystko jest w porządku. Ale doktrynalna interpretacja danej sytuacji, niezgodna z obiektywną rzeczywistością, może Chruszczowa natchnąć do podjęcia inicjatywy o nieprzewidzialnych wprost konsekwencjach.

II

„NIEBEZPIECZNE NAUKI"

Do czego zmierzał rewizjonizm? Stalinowcy i neostalinowcy oskarżają rewizjonistów o działalność zmierzającą do odbudowy tzw. „integralnej demokracji".

Demokracje w naszej epoce każdy kojarzy z czymś innym. Z „gnijącą cywilizacją Zachodu" — z wolnymi wyborami — z partyjnictwem — z liberalizmem itp. W moim przekonaniu w dzisiejszym „wieku ideologii" pojęcie demokracji nie jest bezpośrednio związane z określonym typem ustroju. Decyduje tylko jedna zasada. Demokracja jest tam, gdzie o wszystkim — tak w praktyce jak i w teorii decyduje „free enquiry", a o niczym nie decyduje dogmat. Cała reszta nie jest istotna.

Rewizjonizm zmierzał do odbudowy pełnej wolności badań naukowych — co w stosunku do filozofii i socjologii było programem wręcz rewolucyjnym. Rewizjoniści pragnęli uczynić z marksizmu nowoczesną, racjonalistyczną doktrynę polityczno-społeczną.

Ten typ komunizmu jaki wykształcił się w Sowietach na przestrzeni ostatnich 40 lat jest doktryną typowo wschodnią. To co w rosyjskim komunizmie jest atrakcyjne dla Chińczyków jest odpychające dla Anglików czy Francuzów.

Tacy ludzie jak Harich w Niemczech czy Kołakowski w Polsce — być może mieli przed sobą szansę stworzenia zachodniej wersji marksizmu. Mieli szansę przyciągnięcia do ruchu rewizjonistycznego nie tylko młodzieży krajów Europy wschodniej ale i „angry young men" na Zachodzie. Mogli wywołać ferment o wielkim zasięgu i wielkiej konsekwencji.

Jest w pełni zrozumiała owa nienawiść — emocjonalna nienawiść z jaką Moskwa odnosi się do rewizjonizmu w ogólności a do polskiego rewizjonizmu w szczególności. Trudno bowiem wyobrazić sobie coś bardziej nierosyjskiego i antyrosyjskiego. Rewizjonizm bowiem wykrystalizował problem konfliktu: Wschód-Zachód — do formuły najprostszej i najbardziej zasadniczej.

Tu nie chodzi ani o wybory ani o „integralną demokrację" ani o tysiące szczegółów, które mogą być zawsze przedmiotem dyskusji i kompromisowych rozwiązań. W tej całej sprawie jest tylko jeden punkt istotny: *wolność bycia racjonalistą*. Moskwa — mandatariusz Wschodu — kolebki wszystkich wielkich religii i wielkich antorytatywnych systemów — przyzna raczej wszystkie inne wolności niż tę jedną.

Można by w tym miejscu odmalować całe historyczne zaplecze i genezę irracjonalizmu rosyjskiego — można by powiedzieć, że naród rosyjski wydał znakomitych poetów, pisarzy, muzyków, fanatycznych rewolucjonistów, proroków i tyranów — ale nie wydał ani Locke'a ani Marksa ani Bertranda Russella. Ro-

sjanie są tylko w jednej trzeciej narodem europejskim i to jest fakt, który trzeba mieć zawsze w pamięci.

Jeżeli powiadamy, że Polska różni się dziś od Rosji i od innych państw satelickich pewnymi swobodami, to w pierwszym rzędzie wymienić należy sytuację owych nauk ,,niebezpiecznych'' — to jest historii, socjologii i filozofii. Sytuacja tych nauk decyduje o europeizmie danego państwa w znacznie większym stopniu niż system wyborczy.

W Rosji można być racjonalistą tylko w ograniczonym zakresie. Rosja produkuje dziesiątki tysięcy inżynierów rocznie, którzy stoją na równie wysokim poziomie naukowym jak ich koledzy zachodnio-europejscy. Równocześnie jednak filozofia czy socjologia w zrozumieniu europejskim w Rosji w ogóle nie istnieje.

Nie ustrój stwarza zasadniczą różnicę między Wschodem a Zachodem. Różnica między Wschodem i Zachodem sprowadza się do istoty pojmowania wolności. Demokracja jest tylko konsekwencją tego stanu rzeczy. Wolność bycia racjonalistą stanowi fundament cywilizacji zachodniej i w tym aspekcie konflikt między Wschodem i Zachodem jest konfliktem cywilizacyjnym. Modny jest dziś slogan o ,,niepodzielności''. Niepodzielna jest rzekomo wolność, pokój itp. Jak wszystkie slogany tak i ten pozbawiony jest wszelkiego sensu. Polska współczesna stanowi doskonałą ilustrację faktu, że wolność — jak większość rzeczy na tym świecie — jest podzielna. Z wszystkich wolności jakie ostały się po Październiku — wolność przyznana naukom ,,niebezpiecznym'' jest bodaj najistotniejsza. Mimo, że jestem fanatycznym zwolennikiem wolności prasy — nie waham się sugerować. że gdyby w przyszłości trzeba było taktycznie wybierać między dalszymi zaostrzeniami cenzury w stosunku do prasy a swobodą badania i publikowania w dziedzinach dyscyplin ,,niebezpiecznych'' — należałoby w pierwszym rzędzie ratować te ostatnie.

Chodzi bowiem o przechowanie przynajmniej w jednej istotnej dziedzinie autentycznej wolności. Nie jest wolnością prawo do jawnego wyznawania ortodoksyjnego katolicyzmu — tak jak nie jest również wolnością prawo do jawnego wyznawania ortodoksyjnego komunizmu. Wolność intelektualna polega na prawie wyboru z prawem odrzucenia obu wymienionych poglądów. Innymi słowy, prawo do niezależnego racjonalizmu jest jedynym autentycznym kryterium wolności.

Na emigracji nie zdajemy sobie sprawy ze znaczenia zdobyczy osiągniętych w Polsce na tym odcinku. Obecnie ukazujące się ,,Studia Filozoficzne'' wyróżniają Polskę z bloku komunistycznego znacznie bardziej niż pewne charakterystyczne polskie szczegóły ustrojowe. Zarówno obecne krajowe piśmiennictwo filozoficzne jak i socjologiczne — ukazuje się w ramach systemu komunistycznego i z tym muszą się liczyć tak autorzy jak i redaktor. Ale przecież pisma te nie przynależą do ortodoksji sowieckiej, reprezentowanej niezachwianie przez osławione ,,Wo-

prosy Filozofii. Intelektualna atmosfera tych pism jest zachodnia. Reprezentują one niedwuznacznie zasadę ,,free enquiry'' i niedwuznacznie odrzucają wszelki dogmatyzm.

Rozpatrując sytuację w Kraju pod tym kątem widzenia, trzeba stwierdzić, że Polska nie jest — na szczęście — państwem monolitycznie totalnym. Trudno się dziwić oburzeniu ,,Woprosów'', gdyż ruch ku monolitowi, ku udogmatyzowaniu wszystkiego stanowi historyczne tętno sowieckiego imperializmu.

III

SENS LEWICY

Zawsze i w każdym ustroju istnieć będą ludzie walczący przeciwko krzywdzie i wyzyskowi. Zmienne jest przede wszystkim pojęcie wyzyskiwacza — nie lewicy. Można przyjąć za ogólną zasadę, że wyzyskiwacze rekrutują się z klas, warstw czy ugrupowań, w których interesie leży podtrzymywanie status quo.

Auberon Herbert w swym reportażu z Polski, drukowanym w marcowym numerze ,,Kultury'' zauważył, że nawet te nieliczne pozytywne przemiany, które wprowadziła Partia — przez społeczeństwo oceniane są ujemnie. Jest tak powszechna niechęć do rządów komunistycznych, że odmawia się im nawet potencjalnej możliwości uczynienia czegoś dobrego czy celowego.

Sytuacja jest paradoksalna i wskutek tego ,,common sens'' prostego człowieka wzdraga się uznać ją za normalną.

Hłasko w wywiadzie z ,,Figaro'' — z obsesyjnym uporem podkreślał ,,nienormalność'' życia w Polsce. Od znajomych, którzy przybywają z Kraju słyszy się ustawicznie zdanie: ,,Sytuacja jest nienormalna i nie może trwać''.

W tej całej sprawie chodzi nie tylko o sytuację gospodarczą z jej wszystkimi nadto dobrze znanymi plagami. Istota owej ,,nienormalności'' sięga fundamentów ustroju Polski Ludowej.

Socjalizm to jest racjonalizm. Wszystko co jest nieracjonalne jest niesocjalistyczne. Nie można żyć w kraju, w którym wszystko jest paradoksem. Prof. Adam Schaff rok temu na łamach ,,Trybuny Ludu'' napisał co następuje: ,,Walka o wpływy i zwycięstwo ideologii marksistowskiej opierać się musi nie na wyłączności lecz na wolnej konkurencji''.

Jest to teoretyczne potępienie dogmatyzmu i stalinizmu. Lecz jeżeli ta wypowiedź miałaby być czymś więcej niż ,,drętwą mową'' à rebours — socjalistyczny model ustrojowy Polski musiałby być przebudowany od stóp do głów. Jeżeli ma być wolna konkurencja nie może być dyktatury — jeżeli nie ma być wyłączności — trzeba do głosu dopuścić przedstawicieli mniej skompromitowanych kierunków ruchu socjalistycznego.

Takich wypowiedzi jak powyżej cytowana można by przytoczyć setki. Można by zredagować całą antologię postępu, de-

mokracji i socjalizmu, w której nie brakłoby nazwisk najwybitniejszych pisarzy, naukowców i specjalistów.

Ale niemal wszystko pozostało na papierze. Partia ma świetnych socjologów, filozofów, intelektualistów — jak dotąd pozwala im pisać w prasie fachowej o ograniczonych nakładach — ale nie korzysta z ich rad. W Polsce istnieją dwa różne i nie do pogodzenia ze sobą socjalizmy: Jeden na papierze a drugi w praktyce. I to są źródła owej ,,nienormalności'' sytuacji w Polsce.

Chruszczow wygłaszając swój znany referat na XX Kongresie — nie zdawał sobie sprawy z reakcji jaką spowoduje ten dokument w krajach europejskich. Rosjanie są nawykli do rezygnowania z logicznych konsekwencji i nie dziwią ich rzeczy niedopowiedziane do końca. Ale społeczeństwo polskie nie ma czterdziestu lat zaprawy w tej dziedzinie i nie rozładowany mit stalinizmu odziela je murem od Partii i reżymu.

To co powinna była zrobić Partia i państwo — podjęła literatura. Hłasko — w szczególności jego książka ostatnia — i dziesiątki innych od ,,Poematu dla dorosłych'' zacząwszy, stanowią protest przeciwko pogwałceniu elementarnych praw ludzkich i próbę rozładowania kompleksu. Książki te oskarżają równocześnie tych, którzy winni byli być oskarżycielami ale roli tej nie wypełnili. Ofiarą Bezpieki i jej terroru było całe społeczeństwo. Ale jak przyszło do rozrachunku obyło się bez publicznych procesów i całą sprawę załatwiono ,,w rodzinie''.

Paradoksem jest również, że Partia — choć z jednej strony przeprowadziła szereg reform, które niewątpliwie pozostaną — z drugiej strony będąc zainteresowana w podtrzymywaniu status quo — nie tylko przeciwstawia się zmianom ale zabija socjalistyczną treść w tych reformach, które są jej dziełem. Po tej linii idzie polityka Partii w stosunku do Związków Zawodowych, Rad Robotniczych itd.

Na każdą poważniejszą przemianę w Polsce składają się dwa elementy: korzystna w danym momencie dyspozycja sytuacji zewnętrznej oraz napór świadomych sił społecznych. Dlaczego w Czechosłowacji nie było ani Poznania ani Października? W Czechosłowacji nie było rewolucji październikowej bo nie było rewolucjonistów, którzy by — wykorzystując sprzyjające warunki — mogli jej dokonać.

Ewolucja tak w przyrodzie jak i w polityce odbywa się skokami. Jeżeli jutro nastąpią zmiany w konfiguracji zewnętrznej — czy to w Sowietach czy w układzie europejskim, które potencjalnie umożliwią renesans Października — to do renesansu rewolucji dojdzie tylko w tych krajach, w których już przed tym istniał dynamiczny napór ku reformom. To nie okazja historyczna wyczekuje na rewizjonistów lecz przeciwnie, rewizjoniści winni wyczekiwać okazji. Historia to jest rejestr niewykorzystanych możliwości a historie rewolucji stanowią szczególnie barwną ilustrację tej tezy.

Byłoby nonsensem budować jakiś szczegółowy program rewizjonistycznej lewicy. Przyszły ustrój Polski musi być wypracowywany stopniowo. Jest oczywiste, że zasadniczym warunkiem istotniejszych przemian będzie wydobycie się Kraju spod jednostronnego, dominującego wpływu Rosji. Utworzenie pasa neutralnego, który stanowi dziś oficjalny postulat zagranicznej polityki Labour Party — w znacznej mierze uczyniłoby temu zadość.

Jest naszą tragedią, iż największy w naszych dziejach eksperyment socjalny, największa — wydawać by się mogło — mobilizacja postępowych i lewicowych sił odbywa się w cieniu ,,konieczności geopolitycznych'' i na obcą, wschodnią modłę. Odpór przeciwko przemocy łączy wszystkich. Tak jak w roku 1939 polscy ,,would be'' faszyści znaleźli się w jednym szeregu z Pepesowcami — tak i dziś sprawa narodowego odporu góruje nad podziałami ideologicznymi. W rzeczywistości dialektyka w skali narodowej góruje nad dialektyką sił społecznych. Ponieważ obóz postępowej lewicy stanowił u nas zawsze mniejszość w tym niewidzialnym narodowym froncie antyrosyjskim lewica jest całkowicie zmajoryzowana. Walka przeciwko komunizmowi nie toczy się w Polsce na płaszczyźnie konfliktu społeczno ideologicznego lecz na płaszczyźnie interesów narodowych. I dla tego Partia, choćby prowadzona przez Gomułkę, nie jest w stanie uratować pozycji lewicy. Przeciwnie — ironią losu — jej powołaniem jest i będzie mobilizowanie jednolitego i w znacznej mierze reakcyjnego frontu odporu narodowego.

Dramat polega na tym, że u nas wszystko odbywa się w skali polityczno-orientacyjnej a nie w skali społeczno-rewolucyjnej. Całość tego problemu sprowadza się do formuły : Nie ,,co robić''? tylko ,,z kim iść?''. Nie jest ważny socjalizm tylko ważna jest orientacja pro-rosyjska. Nie jest istotna odpowiedź na pytanie : ,,co chcemy budować?'' tylko ważna jest odpowiedź na pytanie : ,,z kim mamy iść?''

Rewizjoniści próbowali sprowadzić całe zagadnienie na właściwy tor. Oni pierwsi usiłowali zainicjować dyskusję w sprawie ,,Co chcemy budować?''. Oni pierwsi problematykę polskiego socjalizmu usiłowali oderwać od spraw polityczno orientacyjnych i sprowadzić na polski grunt społeczny. Oni pierwsi nadali polskiej dialektyce cechy autentyzmu.

Pomylili się tylko w jednym punkcie. W ocenie stopnia naszej niepodległości. Na ,,własną drogę do socjalizmu'' może sobie pozwolić tylko kraj niepodległy. Bo tylko wówczas istnieją warunki na rewolucyjnie czyste wypracowanie odpowiedzi na pytanie : ,,Czego pragniemy?'' i ,,Co chcemy budować?''.

Klęska rewizjonistów tak w Polsce jak i w Niemczech Wschodnich potwierdziła jeszcze raz fakt, że w krajach Europy Wschodniej nie jest istotne co Partia buduje, tylko z kim Partia idzie. Ważne jest nie sytuacja socjalizmu w Kraju tylko ważna jest sytuacja Partii vis à vis p. Chruszczowa.

Zadaniem lewicy niezależnej jest nie dopuszczać do zacierania granicy podziału między europejską myślą socjalistyczną a neostalinizmem. Neostalinizm reprezentowany dziś przez Chruszczowa jest koncepcją wschodnią czysto rosyjską a narzucanie tej ideologii narodom w obecnej sytuacji od Rosji uzależnionym — nie jest niczym innym jak nowoczesną formą rusyfikacji. Różnica między socjalizmem w zrozumieniu europejskim a ,,socjalizmem'' sowieckim sprowadza się do kardynalnej różnicy między imperializmem a uniwersalizmem. Zacieranie tej różnicy jest kolaboranctwem najhaniebniejszego gatunku. Niestety specjalizuje się w tym garść nie tylko krajowych ale i emigracyjnych publicystów.

Juliusz MIEROSZEWSKI

Kronika angielska

,,GOMUŁKIZM'' VERSUS GOMUŁKA

Pewien odłam emigrantów rozumuje w następujący sposób: był Październik — Gomułka wyszedł z więzienia — doszli do steru nowi ludzie — uwolniono kardynała Wyszyńskiego — zlikwidowano kołchozy — rozpędzono Bezpiekę — rozluźniono cenzurę — ludzie odetchnęli. Gomułka zrobił co mógł. Jeżeli teraz ukróca pewne swobody, robi to na pewno wbrew przekonaniu pod naciskiem z zewnątrz. Jakże może być inaczej? Przecież nikt inny tylko Gomułka jest twórcą przemian październikowych, więc jeżeli dziś wycofuje się na pewnych odcinkach widocznie robi to pod naporem niezależnych od niego okoliczności. Jeżeli zewnętrzna sytuacja na to pozwoli Gomułka będzie pierwszy głosował za przywróceniem i rozszerzeniem wszystkich zdobyczy Października. Za rozluźnieniem cenzury i za możliwie jak najdalej idącą liberalizacją życia w Polsce.

Jeżeli tak jest — rozumieją nasi ,,postępowcy'' — zdrowy rozsądek nakazuje popierać Gomułkę a nie rzucać mu kłód pod nogi.

Może nie aż tak prostolinijnie, ale przecież podobnie rozumowaliśmy i my w ,,Kulturze'' w październiku i w listopadzie 1956 roku. Nie tylko pierwsi na emigracji daliśmy kredyt zaufania Gomułce, ale w znacznej mierze rozbudowaliśmy wśród Polonii jego legendę.

W tej całej sprawie wszystko zależy od oceny czym de facto był Październik. Nawet dziś nie jest łatwo obiektywnie to wycenić.

Na podstawie jednak tych materiałów i informacji, którymi dziś dysponujemy — można przeprowadzić dość zasadnicze korektury w kliszowym obrazie Października popularnym w pewnych kołach na emigracji.

Trzeba zacząć od stwierdzenia, że dezorganizacja w Partii w okresie październikowym była w gruncie rzeczy niepomiernie większa niż sądziliśmy na emigracji. Partia jako organizacja była w stanie płynnym. Gomułka

w tej krytycznej sytuacji okazał się wytrawnym taktykiem. Nie dysponował siłą, która mogłaby mu umożliwić zgniecenie ruchu rewolucyjnego, który de facto był antysowiecki i antykomunistyczny. Wszelka próba zduszenia wrzenia mogłaby się tylko odbyć przy udziale dywizji sowieckich, co w rezultacie doprowadzić by musiało nieuchronnie do wojny na wzór węgierski. Zamiast więc walczyć przeciwko narodowemu powstaniu — Gomułka stanął na jego czele. Komuniści już niejednokrotnie przywodzili narodowym rewolucjom.

Gomułka przywódca narodowego odporu musiał iść na daleko idące ustępstwa. Zdawał sobie bowiem sprawę, że tymi ustępstwami gruntuje swą popularność w masach, a z kolei owa popularność stanowiła jedyny kapitał Partii.

Na czym więc polegał nasz błąd w ocenie?

Wierzyliśmy — patrząc na sytuację przez narodowy pryzmat październikowych wydarzeń — że Gomułka jest ,,innym'' komunistą. Wierzyliśmy, że zmieniło go więzienie — wierzyliśmy, że jest rewizjonistą. Wierzyliśmy, że zechce spolszczyć marksizm i na drodze perswazji i argumentów szukać ogólnonarodowego poparcia dla swych reform i polityki.

Tak jak my, patrzył na Gomułkę cały naród i rewizjonistyczne skrzydło Partii.

Gomułka jest niewątpliwie innym komunistą niż Bierut. Gomułka nie jest niczyim agentem. Chce niewątpliwie, by jego partia sprawowała dyktatorską władzę w Polsce — w danych warunkach — maksymalnie suwerenną. Pragnie, by do jego komunistycznej wewnętrznej polityki nikt się nie wtrącał. Ambicji związanych z polityką zagraniczną nie ma żadnych. Nie chce być przywódcą i symbolem przemian w bloku komunistycznym, na którego go pasowano.

Październik w oczach Gomułki i jego najbliższego otoczenia był zgoła czymś innym niż Październik widziany oczyma rewizjonistów i nas wszystkich na emigracji.

Gomułka jest ortodoksyjnym komunistą. Nie ma w nim śladu heretyka, rewizjonisty czy titoisty. Natomiast trzeba przyznać, że wykazuje — jak na Polaka i jak na komunistę — dużą giętkość i zrozumienie dla taktycznego kompromisu. Jego polityka rolna stanowi tu typową ilustrację. Byłoby naiwnością przypuszczać, że Gomułka zmienił swoje ortodoksyjne poglądy w stosunku do zagadnień socjalizacji wsi. Zdecydował się natomiast na tym etapie na dość śmiały taktyczny kompromis.

Trzeba w imię oczyszczenia atmosfery wyjaśnić jeszcze jedno nieporozumienie. Przemiany jakie przyniósł Październik należy podzielić na dwie kategorie. Do pierwszej kotegorii należą te zmiany, które mają na celu nie zmienić lecz usprawnić system komunistyczny w Polsce. Chodzi więc w tym wypadku o usunięcie ,,wypaczeń'' związanych z poprzednim okresem. Oczywiście nie należy tych przemian lekceważyć. Potępienie — powiedzmy dla przykładu — teorii o zaostrzaniu się walki klasowej w miarę postępu budownictwa socjalizmu — było aktem wielkiej doniosłości, gdyż teoria ta stanowiła uzasadnienie bezprawia i terroru Bezpieki. Potępiono kilka innych niemniej nonsensownych ,,teorii'' jak na przykład głośno reklamowaną niegdyś ,,marksistowską'' tezę... że w warunkach socjalizmu popyt musi zawsze wyprzedzać podaż. Była to ,,teoria'' wprawdzie nie tak groźna jak o ,,zaostrzaniu się walki klasowej'' ale za to bardzo wygodna. Jeżeli

obywatel stał całą noc w ogonku przed sklepem i odszedł rano z pustymi rękami — można mu było „naukowo" wytłumaczyć dlaczego tak się dzieje.

W organach teoretycznych Partii nie dyskutuje się już dziś z całą powagą „kwestii" czy... okres komunizmu zacznie się w Polsce od darmowego chleba czy od darmowych biletów tramwajowych. O owym „darmowym chlebie dla wszystkich" dyskutowano wówczas, gdy w Polsce kwitły kołchozy a produkcja rolna spadała już nie z miesiąca na miesiąc ale z tygodnia na tydzień. Takich „cudowności" jest po Październiku mniej.

W sumie należy stwierdzić że po Październiku komunizm w pewnej mierze się usensownił ale w istocie swej nie uległ zmianie.

Drugą kategorię przemian stanowią ustępstwa taktyczne i niestety, w większości wypadków, czasowe.

Jeden z młodych dziennikarzy krajowych, z którym rozmawiałem nie tak dawno w Londynie — opowiadał mi, że bezpośrednio po wypadkach październikowych panowała w Warszawie całkowita wolność słowa mówionego i drukowanego. Ten stan rzeczy trwał około tygodnia. Później cenzorzy oprzytomnieli ale przez pierwszych kilka „miodowych miesięcy" cenzura była nad wyraz łagodna.

W tej atmosferze wolności zrodziło się wiele pomysłów i planów zmierzających do istotnych reform. Wolność w ustroju dyktatury proletariatu przysługuje tylko zwolennikom socjalizmu. Nie przysługuje wrogom klasowym, wstecznikom i reakcjonistom. Ale o tym kto jest zwolennikiem socjalizmu a kto reakcjonistą — decyduje KC. Młodym ludziom z grupy „Po Prostu" wydawało się do końca, że są socjalistami, ale KC był innego zdania.

Gdy Partia okrzepła a młodzi ludzie się wyszumieli — KC skasował stan wyjątkowy. W oczach Gomułki likwidacja „Po Prostu", przywrócenie cenzury itd. nie oznaczają żadnego odstępstwa od Października tylko odzyskanie przez Partię chwilowo utraconych pozycji. W naszej opinii liberalizacja w Kraju uległa zahamowaniu a w oczach członków KC oznacza to tylko powrót do stanu normalnego.

Był okres czasu, że „Po Prostu" i biblioteczka wydawana przez to pismo — były rozchwytywane nie tylko na emigracji i na Zachodzie, ale i w bloku sowieckim. Ludzie czytali śmiałe, niezależne artykuły młodzieńców, którym czasami paliło się w głowach i zachwycali się nie autorami lecz Gomułką: „Jaki on wspaniały, jaki liberalny!" A tymczasem Gomułka był tysiąc mil od wszelkiego liberalizmu, reformizmu czy rewizjonizmu. Był tylko chwilowo zbyt słaby, by podjąć rozgrywkę.

W ten sposób na świecie powstała wręcz paradoksalna sytuacja. Popularność Gomułki ufundowali ci, których on, od samego początku, potępiał. Za największe liberalne „reformy" Gomułki okrzyczano jego taktyczne i czasowe ustępstwa.

Wszystko to są ważne szczegóły jeśli chodzi o ocenę człowieka i polityka. W przyszłości mogą zajść wypadki trudne dziś do przewidzenia. Gomułka — w moim przekonaniu pójdzie na każdy taktyczny kompromis ale na żaden inny.

Z tego co powiedzieliśmy powyżej wypływają pewne wnioski. Zasadniczy wniosek sformułować należy następująco: Gomułka jest przeciwnikiem ewolucjonizmu. Nawet gdyby obecna zależność Polski od Rosji wydatnie zmalała (na przykład „pas neutralny", czy jedna z form „disengagement")

liberalizacja na jakimkolwiek odcinku musiałby być wywalczona przez spo
łeczeństwo wbrew Gomułce. Jedynym bowiem człowiekiem w Polsce któr
w sprzyjających warunkach mógłby podjąć realną akcję zmierzającą do za
sadniczego zreformowania Partii komunistycznej jest Gomułka. Ale Go
mułka z całą pewnością tego nie zrobi. Gdy więc nadejdzie odpowiedn
moment trzeba będzie utworzyć *opozycyjną partię socjalistyczną*. To jes
konkretny cel, do którego należy dążyć z umiarem i przezornością.

Jeżeli chodzi o nas — Polaków na emigracji — to Gomułka liczyć moż
na nasze solidarne poparcie tylko i wyłącznie w wypadkach gdy w gr
wchodzi bezsporny interes narodowy — na przykład obrona granicy n
Odrze i Nysie, pomoc gospodarcza dla Kraju, pomoc na odcinku kultura
nym i naukowym, pożyczki zagraniczne itd. We wszystkich innych zagad
nieniach reprezentujemy w stosunku do Gomułki front opozycyjny tym ba
dziej, że zdajemy sobie już dziś coraz dokładniej sprawę, iż „Gomułkizm
nie jest dziełem Gomułki lecz opozycjonistów którzy zmusili Partię do pew
nych ustępstw. Zdobyczy „Gomułkizmu" zdecydowani jesteśmy bron
przeciw Gomułce.

SOCJOLOGIA ZAANGAŻOWANIA...

W artykule drukowanym w bieżącym numerze „Kultury" wypowiedzi
łem się przeciw pisarstwu zaangażowanemu. Ponieważ zdaję sobie spraw
że jest to pogląd kontrowersyjny — zwłaszcza na tych łamach — sądzę,
jest konieczne rozpatrzyć tę sprawę nieco bliżej.

P. Andrzejewski, młody polski socjolog, pracujący w Londynie („Ku
tura" ogłosi niebawem jego interesujący esej) w rozmowie ze mną na tem
świateł i cieni współczesnej socjologii wysunął pogląd, który wydał mi s
uderzająco trafny. W jego opinii — wbrew pozorom — socjologia na Z
chodzie nie obfituje dziś w śmiałe i odkrywcze koncepcje. Oryginalny
sądów i opinii w tej dziedzinie wiedzy spotyka się coraz mniej. Czemu n
leży przypisać ten spadek?

Andrzejewski jest zdania, że zjawisko to wiąże się bezpośrednio z w
mieraniem gatunku ludzi niezależnych. W zastraszający sposób rośnie
Zachodzie cyfra urzędników i funkcjonariuszy wszelkiego typu i gatunk
Za kilka lat niemal co drugi człowiek w Anglii i w Ameryce będzie tak
czy innym urzędnikiem, takim czy innym funkcjonariuszem. Jest coraz mni
ludzi prawdziwie niezależnych, którzy mogliby sobie pozwolić na ogłoszen
wyników badań i płynących z tych badań wniosków bez konieczności og
dania się na kogokolwiek i bez potrzeby brania pod uwagę czy dany wyni
teza czy opinia nie przysporzą autorowi potężnych i wpływowych wrogów.

Jeżeli wymieranie gatunku ludzi niezależnych wywiera ujemny wpły
na dyscypliny typu socjologii — o ileż w większym stopniu prawo to dotyc
publicystyki, esseistyki, pisarstwa politycznego i *last but not least* literatu

Każdy pisarz w ogólności, a pisarz poświęcający się zagadnieniom p
lityczno-społecznym w szczególności, pisze zawsze z postawy zaangażowan
Brak zaangażowania równałby się brakowi przekonań i brakowi celu. A
w mojej opinii pisarz może wypełnić swoje zadanie tylko z postawy n
zależnej i dla tego swym przekonaniom nie powinien nadawać formalisty
nych ram zaangażowania.

Formalne zaangażowanie a więc przynależność do partii politycznej, ruchu, czy społeczno-politycznej organizacji — niesie z sobą zawsze utratę intelektualnej niezależności względnie wielkie jej ograniczenie. Na dłuższą metę pisarz lewicowy może oddać lewicy daleko większe usługi jeżeli nie jest związany dyscypliną partyjną czy organizacyjną.

Skromny tomik pt. „The God that failed" wydany w Londynie przed kilku laty — można by dziś rozbudować do kilkutomowej potężnej antologii. Pisarze nie przeżywaliby dramatu „zniewolonego umysłu" — gdyby uświadomili sobie w pełni że pisarz w każdej partii politycznej jest nieporozumieniem a w partiach totalnych, jak komunizm, jest absurdem.

Rewizjonizm, krytyka, ferment a w rezultacie postęp powodowany jest w znacznej mierze przez nie-konformistów. Ci, którzy są dziś najzacieklejszymi ortodoksyjnymi konformistami zapominają, że ich poprzednicy jeszcze wczoraj byli anykonformistami i buntownikami. Gdyby wszyscy pisarze rosyjscy byli dokładnie tacy jak to sobie wymarzył Chruszczow, a wszyscy pisarze polscy idealnie tacy jak to sobie umyślił Gomułka — piśmiennictwo dwóch największych słowiańskich narodów upadłoby w ciągu najbliższych pięciu lat a życie społeczne uległo mumifikacji w konformistycznej nudzie.

PODZWONNE KOLEDZE

Było to kiedyś przed wiekami w słonecznym utraconym Krakowie. Siedziałem przy biurku w olbrzymiej, szklanej hali redakcyjnej przedwojennego IKCa. Moim sąsiadem z prawej strony był Jalu Kurek a z lewej dr Ludwik Gross, redaktor dodatku lekarskiego. W hali na parterze szły maszyny rotacyjne a w całym gmachu unosił się najpiękniejszy dla mnie zapach na tej ziemi — zapach farby drukarskiej.

To był drugi czy trzeci dzień mojej kariery praktykanta dziennikarskiego. I oto stało się i zaczęło. Przed moim biurkiem zjawił się Franuś — chłopiec redakcyjny i oświadczył krótko: „Pan poseł Rubel prosi pana do siebie".

Poseł dr Ludwik Rubel, redaktor polityczny IKCa przyjął mnie w małym ciemnym pokoiku, w którym urzędował również redaktor Popiel. Na stole kłębiły się biuletyny PATa depesze korespondentów zagranicznych, nasłuchy radiowe, biuletyny agencji prasowych i stosy gazet.

Dr Rubel olbrzymimi nożycami wyciął kilka pasków zakreślonych niebieskim ołówkiem i wręczając mi wycinki oświadczył: „Jak pan wie, panie kolego, w Belgii są wybory. Tu ma pan najświeższe depesze. Niech pan zrobi z tego artykuł niebardzo długi".

Moje wiadomości o życiu politycznym w sympatycznej Belgii były więcej niż skromne. Przeczytałem cały materiał i napisałem kompilację nie dodawszy przezornie od siebie ani słowa komentarza. Dr Rubel — gdy mu o 11.30 zaniosłem ów elaborat — przerzucił go pobieżnie i aprobująco pokiwał głową.

O godzinie trzeciej po południu dwóch młodszych członków redakcji robiło zawsze tak zwaną rewizję numeru. Pierwsze wydanie IKCa było gotowe i chodziło o sprawdzenie tytułów, które składane były ręcznie — i zrobienie ostatecznej korekty. Tego dnia kolejka rewizyjna wypadła na mnie i na Witolda Zechentera.

Na trzeciej stronie odnalazłem mój artykuł o wyborach w Belgii. Wszystko poszło bez większych zmian — dr Rubel dopisał natomiast dłuższy doskonały komentarz. Całość podpisana była moim redakcyjnym signum (mr). Po krótkiej walce dusznej — jakby powiedział Sienkiewicz — skreśliłem czerwonym ołówkiem moje signum i wpisałem (r) — słynne signum IKCowe dra Rubla.

Następnego dnia rano otwierając IKCa przy śniadaniu odkryłem ku mojemu zdumieniu, że belgijski artykuł podpisany jest jednak (mr).

W redakcji przeprowadziłem dyskretne śledztwo. Cóż się okazało? Dr Rubel gdy poprzedniego dnia, późnym wieczorem, przyszedł do redakcji zażądał jak zwykle wydania IKCa które było na maszynach. Po chwili wezwał do siebie starszego korektora p. Sebastianiego i oświadczył mu, że zaszła pomyłka w sygnowaniu artykułu na stronie trzeciej. Małe (r) należy usunąć i wpisać signum (mr).

Po kilku dniach gdy spotkaliśmy się w drukarni — dr Rubel poklepał mnie po ramieniu i roześmiał się przyjaźnie: „No i co — zadowolony jest pan ze swego artykułu o wyborach w Belgii?"

Na moje protesty, że przecież nie mogę stroić się w nieswoje piórka — Rubel machnął ręką i powiedział: „Pan jest praktykantem i Marian Dąbrowski na pewno interesuje się artykułami które wychodzą spod pańskiego pióra. A zresztą w ten sposób uczy się pan".

Tak się rozpoczęła nasza znajomość i idealna bez jednego zgrzytu współpraca w redakcji IKCa.

Miałem w moim dziennikarskim życiu rozmaitych kolegów — utalentowanych i wybitnych jak Ksawery Pruszyński czy Adolf Bocheński — ale równie koleżeńskiego i ofiarnego jak dr Rubel nie spotkałem już nigdy. Autentyczna dobroć, uczynność, prawdziwe koleżeństwo — to są cechy niezmiernie rzadkie w każdym życiu zawodowym. Ale w zawodzie dziennikarskim to są zalety wprost wyjątkowe. Dziennikarze są z natury egocentryczni, żarci przez ambicje i przysłowiowe „wspinanie się po trupach" jest w redakcjach częstym zjawiskiem.

Dr Rubel był niezmiernie lubiany przez młodych dziennikarzy i wiem od niego jak bardzo sobie to cenił. Swej dosłownie dyktatorskiej władzy w dziale politycznym IKCa nigdy nie dał odczuć młodszym i słabszym od siebie. Widziałem go w kilku bardzo niełatwych sytuacjach osobistych i zdumiał mnie wówczas wrodzoną i wskutek tego nieświadomą szlachetnością.

Po latach z moim dobrym zacnym szefem i nauczycielem wypiłem „Bruderszaft". Działo się to daleko od Krakowa i Wielopola w skwarnym Bagdadzie. Wachmistrz dr Rubel w rogatywce z żółtym otokiem wypił nafioskim dżinem „Bruderschaft" ze st. strzelcem Mieroszewskim. Byłem z tego bardzo dumny i myślałem wówczas jak to będzie kiedyś wspaniale wśród tłumu kolegów w Pałacu Prasy zmartwychwstałego IKCa zwrócić się do dr Rubla po imieniu — Ludwiku!

LONDYŃCZYK

Wolna Trybuna

Gdybym był chanem...

Motto :

— Trudno wymagać od redaktora, by zamieszczał artykuły mające charakter zasadniczy, a nie idące po linii reprezentowanej przez pismo.
— To jasne. Ale gdy drugiego takiego pisma nie ma ?...

Przeczytałem ostatnio pierwszy tom dzieła prof. Gotthold Rhode : ,,Die Ostgrenze Polens'' z największym zainteresowaniem. Głównie dlatego, że prof. Rhode pisząc o tym co się działo pomiędzy Wisłoką, Wisłą, Niemnem a Ugrą, Oką i Donem, począwszy od Mieszka I do Unii Radomskiej 1401 roku — a nie jest Polakiem, Rosjaninem, Ukraińcem, Litwinem ani Białorusinem, tylko tak zwaną osobą ,,trzecią'' (choć w tym wypadku ściślej : szóstą). Przypuszczam, że gdyby dzieło dotyczyło spraw polsko-niemieckich, przystąpiłbym do jego czytania od razu z pewnym sceptycyzmem, ponieważ prof. Rhode jest Niemcem.

Tego rodzaju uprzedzenie do historyków zabierających głos o dziejach ,,własnych'' narodów wyrobić sobie musi właściwie każdy czytelnik. Wydaje się bowiem, że nikt jeszcze nie napisał obiektywnej historii ,,własnego'' narodu. Przynajmniej ja takiej dotychczas nie czytałem. Istnieją naturalnie pewne gradacje subiektywności, a w liberalnym wieku XIX obowiązywały granice uczciwości, czy po prostu przyzwoitości ogólnoludzkiej, które na przykład w szowiniźmie nacjonalistycznym i dialektyce komunistycznej wieku XX, w znacznym stopniu obowiązywać przestały. Ale stronniczość była zawsze. Stronniczość, która męczy — a czasem wręcz nudzi — czytelnika zainteresowanego

Materiały drukowane w tym dziale zamieszczane są na odpowiedzialność autorów i nie są wyrazem poglądów Redakcji.

nie wykładem uzgodnionym ze współczesną racją stanu, ale prawdziwym przebiegiem wypadków.

Historycy polscy nie stanowią wyjątku z tej reguły stronniczości, a zdarza się, że są nawet klasycznym jej eksponentem. Czyta się często wnikliwe analizy, konstatuje głęboką wiedzę, szczerą erudycję gdy chodzi o krytykę własnego narodu w sprawach wewnętrznych, lub słuszny zewnętrzny interes Polski. Nigdy natomiast nie czytałem aby interesy sąsiadów w odniesieniu do Polski uznane zostały kiedykolwiek za słuszne. Na przykład Niemiec albo Rosji. Chętnie wierzę, iż odpowiada to prawdzie w większości wypadków historycznych. Z drugiej jednak strony nasuwa się pytanie: czy człowiek o zdrowych zmysłach może uwierzyć, że z jakichś trzech narodów: A, B, C, których granice przytykały do siebie w przeciągu tysiąca lat, w każdym sporze w przeciągu tych 1 000 lat — rację mógł mieć zawsze tylko jeden naród „A", zaś narody „B" i „C" nigdy? Czy raczej w tak dziwny zbieg okoliczności dziejowych uwierzyć jest trudno? Wydaje się, że trudno. Po prostu dlatego, że narody składają się z ludzi, zaś ani ich skład organiczny, ani warunki życia na naszej planecie nie są tego rodzaju, aby mogły pewnej grupie ludzkiej gwarantować w przeciągu tysiąca lat wyłącznie pobudki słuszne, a innym grupom wyłącznie pobudki niesłuszne. Naturalnie w przedstawieniu rzeczy ubiegłych dużo zależy od poziomu uczonego-historyka; przyznać jednak musimy, iż w spopularyzowanej praktyce, historiografia polska da się sprowadzić do następującej formuły: Żółkiewski w Moskwie — to bohater; Suworow w Warszawie — to zbrodniarz.

Człowiek nie może nie być tendencyjny. Historyk jest człowiekiem. Tendencyjny pozostanie zawsze, nawet przy omawianiu historii narodów „trzecich". Jednakże w tym wypadku, gdy mimowoli czy świadomie, zechce faworyzować jedną stronę na niekorzyść drugiej, nigdy nie osiągnie tego stopnia emocjonalnego zaangażowania. W dziele prof. Rhode nie dostrzegłem faworyzowania którejś ze stron działających na niekorzyść innej. Być może dlatego, że nie będąc fachowcem, nie dość dokładnie jestem obznajmiony z poszczególnymi tezami historiografów narodowych. Nie podejmuję się zresztą pisania recenzji z tej książki, pozostawiając to specjalistom historykom. To co mnie w niej zainteresowało, to przede wszystkim obfitość faktów, które — tak jak w życiu — pozwalając na wyciąganie własnych wniosków i pobudzają do własnych koncepcji, niezależnie od koncepcji przewodniej, reprezentowanej przez autora.

◆

Prof. Rhode, zgodnie z tradycją łacińskiej historiozofii, zakłada istnienie linii podziału, rozgraniczającej tak zwane wartości dziejowe Zachodniej Europy od Wschodniej Europy. Wprawdzie zastrzega, że linia ta stanowi raczej pas szerokiego stopniowania, wszakże umiejscawia historyczny „*antemurale christia-*

nitatis" nie tam gdzie się kończy chrześcijaństwo, a tam gdzie się kończyły religijne wpływy Rzymu.

Osobiście uważam ten podział za sztuczny. Przed rokiem, wystąpiłem w londyńskich „Wiadomościach" z obszernym artykułem (przedrukowanym w międzyczasie przez pięć czasopism emigracji rosyjskiej), w którym usiłowałem dowieść, że owa tradycja łacińska powstała wyłącznie na skutek wiekowej propagandy interesów Rzymu. Trwał (i trwa jeszcze) spór Kościoła Zachodniego ze Wschodnim. Jednym z głównych przedmiotów tego sporu jest problem : Czy Duch św. pochodzi tylko od Boga Ojca, czy też Boga i Syna ? Nie posiadając żadnych kwalifikacji do zabierania głosu w tym sporze, utrzymuję, iż ten wewnętrzno-kościelny aspekt sporu stał się genezą późniejszego rozdwojenia Europy na Wschód-Zachód, bez zaistnienia innej, organicznej ku temu przyczyny. W ciągu wieków trwała nadal jedność kulturalna, której ośrodkiem był zresztą początkowo nie Zachód, a właśnie Wschód-Bizantyński. Podobnie jak w zaraniu dziejów Polski, jeżeli chodzi o porównania nam bliższe, Kijów górował kulturalnie nad Krakowem. Sytuacja uległa następnie zmianie pod wpływem rozrostu cywilizacji materialnej Zachodu i jego bogactw gospodarczych. Rozwój cywilizacyjny postępował z kolei z zachodu na wschód, nie tworząc wszakże granicy, a raczej łagodne przejście naturalne. Ten naturalny stan współżycia nie odpowiadał interesom poróżnionych Kościołów. Zwłaszcza zaś Kościół Zachodni starał się utworzyć sztuczną granicę, poza którą usuwał świat „schizmy" wschodniej.

Nie będę powtarzał tu mego artykułu. Wywołał on replikę ze strony tak autorytatywnej jak prof. Oskara Haleckiego. Nasuwa ona szereg myśli i pobudza do refleksji, nie tylko przez konfrontację ze wspomnianym dziełem prof. Rhode...



W czasach gdy dwór panujący traktował jeszcze państwo jak prywatną włość, decydował też o kulturalno-duchowej sferze kraju. Była ta sfera taką, w jakiej obracał się dwór. O czym z kolei świadczyć mogą związki małżeńskie. Jeżeli chodzi o Polskę, to Dom Piastów w przeciągu od 1010 do 1310 roku zawarł 21 związków małżeńskich z domami książąt niemieckich, a 25 z Rurykowiczami. I odwrotnie : Rurykowicze z żadnym z domów nie zawarli tyle związków co z Piastami. Gdy się przegląda genealogie tamtych rodów, od małżeństwa córki Bolesława Chrobrego ze Światopełkiem Włodzimierzowiczem Kijowskim począwszy, trudno oprzeć się wrażeniu że Piastowie, łącznie z linią Mazowiecką, oraz książęta Halicko-Włodzimierscy, Kijowscy, Czernihowscy, Turowscy a nawet Nowgorodzcy — to jedna wielka, wspólna rodzina ! Historyk węgierski, M. de Ferdinandy, rozciągając wspólnotę Polski i Rusi również na Węgry mówi nawet o *consanguinitatis affecto* — jedności i solidarności uczuciowej.

Naturalnie rodziny nie tylko się kochały, ale i prowadziły

ze sobą wojny, lub wyłupywały sobie nawzajem oczy. Identycznie na Wschodzie jak i na Zachodzie. Pod tym względem nie było różnicy jakościowej. Trudno więc mówić o rodzinie idealnej. Ale nie można też mówić o żadnej, dzielącej ją — granicy ideologicznej. Rurykowicze wspierali jednego Piasta przeciwko drugiemu, i odwrotnie: Piast wspierał Rurykowicza w walce przeciwko innemu Piastowi, albo innemu Rurykowiczowi, zależnie od interesu własnego lub stopnia pokrewieństwa. Rzecz charakterystyczna iż w tym względzie nie zaszły żadne zmiany pod wpływem najazdu tatarskiego. Na zmianę tych „rodzinnych" stosunków wpłynęła decydująco dopiero kuria rzymska.

Książęta i królowie polscy żenili się albo z Niemkami, albo z prawosławnymi. Nie wyobrażam sobie aby czynili to z ciężkim sercem na myśl w jak kłopotliwą sytuację wprowadzą historiografów rodzimych XX wieku... którym, w myśl postulatów narodowych, wypadnie dowodzić, że: po pierwsze Niemcy były zawsze „wrogiem odwiecznym", po drugie Polska spełniała zawsze posłannictwo dziejowego „przedmurza" na wschodzie. W rzeczywistości sytuacja ówczesna przypominała bardziej zajazdy sąsiedzkie niźli geopolitykę, a już „posłannictwa dziejowego" nie przypominała wcale. Do tych rozgrywek wciągano, i to z obydwuch stron, zarówno chrześcijański Zakon, jak pogańskich Litwinów, Jadźwingów i wreszcie Tatarów. Ideowo były one raczej słabo podmurowane...

Inaczej na tę rzecz patrzyła kuria rzymska. Ze swej strony prowadziła ona wielką rozgrywkę ze „schizmą" wschodnią i rzecz naturalna, iż w tej właśnie rozgrywce chciała podporządkować wszystko inne, a już co najmniej na wschodzie Europy. Rzecz też naturalna, że tę koniunkturę, jakby się dziś powiedziało: polityczną, a w istocie religijno-cezarystyczną, usiłowały wykorzystać dla siebie i poszczególne strony różnych poważnionych rodzin. Rzym bowiem, jakkolwiek chętniej ograniczał swą pomoc do błogosławieństw i odpustów, udzielał też pomocy materialnej. Oto na przykład Gerward, biskup wrocławski, chwali wystąpienie Łokietka w roku 1308 *„contra Scismaticos"*, a i sam król zaklina się przed Rzymem, że mu właśnie o zwalczenie tych złych „schizmatyków" chodzi... Podczas gdy w rzeczywistości siostra jego, Eufemia, wyszła za mąż za Jerzego I, księcia Halicko-Włodzimierskiego, a po jego śmierci chodzi o zbrojne wywalczenie, od rodzinnej konkurencji, spadku po szwagrze.

Ta wspólnota rodzinno-polityczna, zachodnio-wschodnia, katolicko-prawosławna, stoi w wyraźnej sprzeczności z intencjami Rzymu. Już papież Grzegorz IX w liście do prowincjała Dominikanów, w roku 1233, zabrania małżeństw z prawosławnymi, a w liście do biskupów polskich, w roku 1253, przeciwstawia wschodnie *„tenebris infidelitatis"*, zachodniemu *„lumen catholice fidei"*. Gdy po napadzie pogańskich Litwinów i zabiciu księcia mazowieckiego Ziemowita I w 1262, papież Urban IV zwraca się o interwencję do króla Ottokara II, wymieniając zagrażających nieprzyjaciół — *„Rutheni Scismatici"* trafiają dla-

czegoś na pierwsze miejsce tej listy, przed poganami litewskimi, jakkolwiek o tych właśnie chodziło. W piśmie tym, datowanym 4 czerwca 1264 roku po raz pierwszy konkretnie występuje zaliczenie chrześcijańskiego Kościoła Wschodniego, wraz ze wszystkimi niewiernymi i poganami, do wspólnych wrogów — ,,Kościoła Chrześcijańskiego...'' — Od tej daty ,,schizma'' wyliczana jest na pierwszym miejscu wrogów Kościoła. Tak w liście do króla Łokietka w roku 1325, papież Jan XXII udziela odpustu dla walki: ,,*contra scismaticos, Tataros, paganos aliasque permixtas naciones infidelium*''. Powtarza to papież Urban V listem z dnia 8 lipca 1363 etc., etc.

Naturalnie replika Kościoła Wschodniego była niemniej ostra. Datowane z XIII wieku ,,Reguły Kościelne'' mówią: ,,Mieszkańcy Rusi winni wszystkich Rzymian, którzy nieprawidłowo ochrzczeni nawrócić na wiarę prawdziwą; im, zarówno jak Tatarom i innym świeżo nawróconym, sakrament Eucharystii nie winien być udzielany''. Świadomie piszę: replika, gdyż w tym sporze dwuch Kościołów stronę ofensywną niewątpliwie reprezentował Rzym. Był nią z ducha. Bizancjum, z małymi wyjątkami, nie znało nigdy takiego rozkwitu misji, jak Kościół rzymski. Z ducha będąc bardziej kontemplacyjne, było jednocześnie bardziej defensywne.

Tak to się zaczynał ów wielki rozłam Europy, któremu i wówczas i dziś, usiłuje się przydać znamiona konieczności dziejowej, zrodzonej z rzekomej psycho-organicznej obcości, o podłożu niemal rasowym.

•

Wówczas i dziś. Wówczas Kościół, religia, odgrywały w polityce tę rolę, którą po sekularyzacji idei teologicznych przejął nacjonalizm. Ambicje religijne przeistoczyły się w ambicje nacjonalistyczne; wojny religijne, nienawiści religijne — przeistoczyły się w wojny i nienawiści nacjonalistyczne. I wówczas ludzie swoje prywatne interesy usiłowali wymanewrować spod nacisku religijnego, i dziś, prywatni ludzie radzi by czasem swoje sprawy wylawirować spod nacisku kolektywu narodowego, ale udaje im się to równie rzadko. Dzisiejsza dyscyplina narodowa (któżby to zmierzył!) — nie ustępuje chyba ówczesnej dyscyplinie kościelnej. I nie tylko w płomiennych przejawach stosów i krematoriów. Jest czasem po prostu automatyczna.

Wróćmy do analogii historycznych. Prof. Stanisław Kościałkowski, omawiając w ,,Kulturze'' wydaną w Warszawie ,,makietę'' Historii Polski słusznie kładzie duży nacisk na błąd w pomieszaniu: ,,Ruś-Rosja''. Autorzy ,,makiety'' te pojęcia mylą, nazywając ,,Rosją'' i to co było przed wiekiem XVIII; podczas gdy cesarstwo rosyjskie — Rosja, ustanowione zostało dopiero przez Piotra Wielkiego. Prof. Kościałkowski uważa to za niewybaczalny dla historyków anachronizm. Naturalnie, że ma rację. Tylko że sam... popełnia jeszcze bardziej jaskrawy anachronizm, nazywając w tym samym artykule, ,,Rosją'' —

Związek Socjalistycznych Republik Radzieckich... Wątpię by naprawdę i szczerze w to wierzył, że Rosja Piotra I-go bardziej się różniła od Rusi moskiewskiej, niż dzisiejszy komunistyczny twór państwowy od Rosji prawosławnej!... Skądże więc ten niefortunny błąd, w trakcie poprawiania cudzych błędów? Wydaje mi się iż przyczyny jego szukać należy — pomijając głęboki szacunek jaki odczuwam do swego byłego profesora — w mimowolnym konformizmie narodowym.

Ongiś Wschodem europejskim zawładnęła potęga najazdu mongolskiego, zagrażającego całej Europie. To zagrożenie dostrzegano. Jednakże, jak to widzimy chociażby z listu papieża Jana XXII, w następującej kolejności: ,,scismaticos, Tataros, paganos...'' Wrogiem nr 1 pozostała ,,schizma'' i pod przykrywką ogólno-chrześcijańskiej mobilizacji prowadzona była rozgrywka jednego Kościoła przeciwko drugiemu.

Dziś Wschodem europejskim zawładnęła potęga najazdu komunistycznego, zagrażającego nie tylko Europie, ale kulturze całego świata. To zagrożenie jest dostrzegane. Jednakże, jak się powszechnie przyjęło, w następującej kolejności: ,,Rosja, komunizm, totalizm etc.'' wrogiem nr 1 pozostała ,,Rosja'', i pod sloganem zagrożenia kultury zachodniej, prowadzi się rozgrywkę jednego nacjonalizmu przeciwko drugiemu.

Wówczas Rzym był przede wszystkim anty-schizmatyczny, a dopiero na drugim miejscu anty-mongolski. Dziś nacjonalizm europejski jest przede wszystkim antyrosyjski, a na drugim miejscu antykomunistyczny. (Z małą poprawką: jeżeli nim w ogóle jest).

Bardzo trudno jest dziś mówić na ten temat z zacietrzewieniem nacjonalistycznym. Sądzę, że niemniej trudno było ongiś rozmawiać na analogiczny temat, z zacietrzewieniem religijnym.



Szczytowym zwycięstwem Kościoła Zachodniego, rzymskiego, na terenie wschodniej Europy, był niewątpliwie tak zwany chrzest Litwy. We wspomnianym wyżej artykule pozwoliłem sobie na następującą uwagę:

,,Pod datą roku 1386 występuje w historii Polski chrzest Litwy. W istocie jednak Wielkie Księstwo Litewskie wykazywało w tym czasie znikomą ilość pogan, a olbrzymia większość mieszkańców dawno już przyjęła chrześcijańską religię prawosławną. Najstarsze świątynie w Wilnie i Grodnie należą właśnie do tego obrządku. Mianem więc chrztu ochrzczono właściwie tylko intronizację Kościoła katolickiego na Litwie''.

Na to prof. Oskar Halecki w ten sposób zaatakował moje poglądy:

,,... alternatywa, przed którą wówczas stali Litwini, nie była bynajmniej: Rzym lub Bizancjum, lecz związek z Zachodem lub z Moskwą. Wiemy dziś, że gdyby Jagiełło nie poślubił Jadwigi, stając się królem

polskim, byłby się ożenił z córką Dymitra Dońskiego i stał się satelitą Moskwy. Korzyść dla Kościoła katolickiego była w tym wypadku, jak w tylu innych, korzyścią dla całego Zachodu... Była też korzyścią, jeżeli nie po prostu ratunkiem, dla Litwinów, którym groziło wchłonięcie przez większość rusko-prawosławną Wielkiego Księstwa, gdyby całe to państwo znalazło się w orbicie Moskwy".

Przyznam, że przecieram oczy !... Jakże to Litwini i Jagiełło mogli wówczas widzieć rzeczy oczami dzisiejszego, polskiego historiografa ?! Dlaczego Jagiełło, syn Julianny księżniczki Twerskiej i Olgierda, pierwszego wielkiego ,,zbieracza ziem ruskich", którego dewizą było : ,,*Omnis Russia ad Lithuanos debet simpliciter pertinere*", miał się — jak pisze prof. Hałecki — ,,ratować przed wchłonięciem rusko-prawosławnym Wielkiego Księstwa", albo obawiać ,,zostania satelitą Moskwy"? Przecież było właśnie wręcz odwrotnie !To Moskwie zagrażało pozostanie satelitą Litwy :

Ojciec Jagiełły, Olgierd, wystąpił z ideą oswobodzenia całej Rusi spod panowania tatarskiego. Od roku 1355 po 1363 zajął : Biełyj, Rżew, Smoleńsk, Mścisław, Briańsk, Toropiec, Kijów. Ożeniony z Julianną, uzyskał przemożne wpływy na Twer. Z Dymitrem Dońskim zetknął się nie nad Wilią i Niemnem, lecz nad Oką, Kaługą i górną Wołgą. W latach 1368, oraz 1370-1371 podszedł pod Moskwę. W zależność od Litwy podpada : Wiaźma, Nowosil, Kozielsk, Możajsk i Kołomna ; granice Litwy odległe są o 100 km. od Moskwy i jej to, Moskwie, grozi ,,satelicka zależność" od Litwy. Olgierd otacza Moskwę żelaznym pierścieniem, gotując się do usunięcia tej ostatniej przeszkody na drodze opanowania przez Wilno całej, późniejszej Rosji. Potęga Litwy była tak wielka, że jak to słusznie zaznacza prof. Rhode, mogła jednocześnie w przeciągu 33 lat panowania Olgierda nie tylko odeprzeć 96 najazdów krzyżackich, ale jednocześnie dokonać 42 najazdy odwetowe na ziemie Zakonu. W Nowgorodzie siedzą Giedyminowicze. Wielkie Łuki stanowią litewskie kondominium. Dopiero nad Oką stykają się konkurencyjne interesy obydwóch ,,zbieraczy ziem ruskich". Gdyż Litwa nie była pojęciem przeciwstawnym Rusi Moskiewskiej. Była konkurentem Rusi Moskiewskiej. O żadnym więc ,,ratowaniu się" przed ruso-prawosławiem, wspomnianym przez prof. Haleckiego, nie mogło być żadnej mowy.

Wprawdzie po śmierci Olgierda, ekspansja Litwy ulega na razie zahamowaniu, głównie na skutek powikłań wewnętrznych pomiędzy Jagiełłą i stryjem Kiejstutem. Na ten właśnie okres przypada jedna z epokowych bitew świata. Mianowicie 8 września 1380 roku Dymitr gromi Tatarów na Kulikowym Polu i wyprzedza w ten sposób marzenia zmarłego Olgierda. Mimo jednak tego zwycięstwa jest wciąż za słaby nie tylko aby zagrażać Litwie, ale nawet aby utrzymać, chwilowo zagarnięte : Briańsk i Starodub, skąd go Jagiełło wypędza. W chwili więc Unii Krewskiej wciąż nie ma mowy o zagrożeniu Litwy przez Mos-

kwę. Jagiełło panuje bezapelacyjnie nad Witebskiem, Mścisławem, Briańskiem, Nowgorodem-Siewierskim, Czernihowem i Kijowem. Jest to kraj dawno ochrzczony, a istnieją poważne poszlaki, że i sam Jagiełło jest również od dawna prawosławnym chrześcijaninem.

To jednak co następuje podczas — nazwijmy go w skrócie — duumwiratu Jagiełło-Witold, przekracza o wiele granice Olgierdowego mocarstwa. Wydaje się, że Witold jest już blisko od urzeczywistnienia marzeń stryja: zebrania wszystkich ziem ruskich pod panowaniem Wilna. Jego mocarstwo, terytorialnie jedno z największych w Europie, stanowi niezaprzeczalny fenomen dziejowy. Teoretycznie podlegając swemu stryjecznemu bratu, królowi polskiemu Jagielle, Witold sięga prawie od Nowgorodu do Morza Czarnego, od Oki do ujścia Niemna, od Dniestru do źródeł rzeki Moskwy. Jest to okres największego rozkwitu Wielkiego Księstwa Litewskiego i największego zarazem zagrożenia Wielkiego Księstwa Moskiewskiego przez Wilno. O jakiej więc tu „orbicie Moskwy" może być mowa, o której mówi prof. Halecki!

Jest wciąż wręcz odwrotnie. Witold jest już o krok od ostatecznego ukoronowania swoich planów, a jak wiemy, i swoich skroni... Do tego potrzebne mu jest jednak decydujące rozbicie potęgi tatarskiej. Bitwa na Kulikowym Polu ją nadłamała, ale nie zniszczyła. Orda hamuje stabilizację stosunków tej części Europy wschodniej. Ten ostatni krok do zjednoczenia całej Rusi, czyni Witold dnia 12 sierpnia 1399 roku nad rzeką Worską...

Chan Tochtamysz, sojusznik Witolda i wróg Temira, uroczystym jarłykiem oddaje Witoldowi wszystkie ziemie ruskie, które kiedykolwiek znajdowały się pod panowaniem tatarskim... Ale bitwa nad Worsklą kończy się straszną klęską Witolda.

W tej bitwie, stanowiącej zakręt historii, walczyły po stronie Witolda zarówno kontygenty polskie jak krzyżackie. Oficjalnie przydawano kampanii charakter wyprawy przeciwko niewiernym. W rzeczywistości jednak dwór krakowski odnosił się do niej z dużą nieufnością. W Polsce była niepopularna. Królowa Jadwiga miała senne widzenia ostrzegające... Powstrzymano większy udział rycerstwa polskiego. Analogiczne nastroje panowały na dworze moskiewskim. Zięć, Wasyl Dymitrowicz, żonaty z córką Witolda, Zofią, nie dał żadnych posiłków na wyprawę, a trzeba przyznać, iż ze względów raczej zrozumiałych... Zwycięstwo Witolda prowadziło bowiem pośrednio do uzależnienia Moskwy od Wilna. Ale zwycięstwo Witolda mogło mieć również inne skutki.. Mianowicie ostateczną emancypację w stosunku do Jagiełły, ba, może zerwanie więzów politycznych, może nawet wyparcie z Litwy wpływów katolickich, do czego by łatwo dojść mogło, gdyby Wilno stało się ostatecznym ośrodkiem wszystkich prawosławnych ziem ruskich... Dociekania tego rodzaju wprowadzają nas w dziedzinę spekulacji. Zdaje się jednak pozostawać faktem, że w tym wypadku, trochę paradoksalnym

biegiem okoliczności, interesy Krakowa i Moskwy niejako się okrywały.

Gdyby przestawić wyniki dwuch bitew, to znaczy gdyby)ymitr nie zwyciężył uprzednio na Kulikowym Polu, a Witold ie przegrał nad Worsklą, dzieje wschodniej Europy potoczyłyby ię inaczej. Tak jednak jak potoczyły się naprawdę, wzmocniły ozpoczętą w Krewie latynizację Wielkiego Księstwa Litewskie-o, a w końcu jego polonizację. ,,Zbieranie ziem ruskich'' wokół Vilna pozbawione zostało wszelkiego moralno-ideowego pod-oża. Olgierdowe sny o potędze przekreślone zostały na zawsze. 'alma pierwszeństwa w świecie ruskim na zawsze oddana Mos-wie. Centrum polityczne ,,schizmy'' odsunięte dalej na wschód.)statecznym zwycięzcą okazali się nie Tatarzy, a Rzym.

Czy leżało to w interesie Polski? Historiografia polska wierdzi, że tak. Osobiście nie podejmuję się dyskusji na ten emat. Chcę pisać o rzeczach, a nie o interesie Polski. Na hwilę chciałbym zapomnieć o interesie Polski, gdyż rzeczy nie ożna rozpatrywać wyłącznie z jednego punktu widzenia.

Nie chciałbym również, aby moje uwagi potraktowane zo-tały jedynie jako polemika z prof. Haleckim. Całej prawdy nie na nikt z nas; ani ja — laik, ani prof. Halecki — erudyta. hciałbym raczej wypowiedzieć coś wręcz przeciwnego: miano-icie, jak trudna, a czasem niemożliwa jest polemika z postulo-vanym kątem widzenia.

Historiografia współczesnej, nacjonalistycznej Litwy, czyni Witolda nie tylko największego ze swoich bohaterów, ale nie-ako historycznego rzecznika narodowo-litewskich interesów. V istocie natomiast, to on właśnie, jak słusznie podkreślił Ko-nkowski, najkrwawiej pognębił litewsko-pogański separatyzm mudzi; a jak przypomina prof. Rhode: dla uzyskania wspom-ianego kontygentu krzyżackiego, który wystąpił nad Worsklą, ddał Zakonowi Żmudź w zastaw. Historiografia białoruska wy-zynia z Wielkiego Księstwa państwo narodowe o typie dzisiej-zego nacjonalizmu. Niedawno wyczytałem w pracy A. Adamo-vicza, wydanej po angielsku przez badawczy instytut monachij-ki, że w XVI wieku był: ,,the Belorussian... national forms of fe''...

Powracam do prof. Haleckiego. W jego artykule spoty-amy takie zdanie o narodzie niemieckim: ,,... nigdy nie zespo-ł się całkowicie z łacińskim Zachodem''. (!) Jest to klasyczny rzykład zdania, wykluczającego wszelką polemikę. Albowiem otoryczność i ilość dowodów przeciwnych (pomijając już za-zerpnięte z historii), chociażby w postaci ostałych dziś po ombardowaniu pomników kultury łacińskiej w Niemczech jest ak wielka, że sam ich indeks wypełniłby grube tomy o pojem-ości encyklopedycznej. Narzuca się więc pytanie: w jaki spo-ób człowiek tej miary co prof. Halecki, jeden ze znakomitszych czonych polskich, może napisać podobne zdanie (w dodatku to: nigdy''!...), które wydrukowane jeszcze w XIX wieku, potrak-owane by zostało chyba jako błąd korektorski?

Co może łączyć klerykalizm, nacjonalizm, komunizm, pojęcia tak pozornie sprzeczne, a przy okazji socjalistyczny totalizm różnych odcieni? Moim zdaniem łączy je jedno: wywyższanie programu (interesu) kościoła, narodu, czy partii, ponad program ogólnoludzkiej kultury. Stąd, paradoksalne pozornie, zacieranie granicy w objawach których jesteśmy świadkami. Nieraz zbieżność tych postulatów rzuca się w oczy.

Gdy w „Kulturze" ukazał się mój artykuł pt. „Kompleks niemiecki", jeden z moich znajomych (zastrzegam: człowiek o wysokim poziomie intelektualnym) potępił go. — „Dlaczego — spytałem — czy argumenty w nim zawarte nie są słuszne?" — „Nie chodzi o słuszność — odpowiedział — ale po co? Po co bronić Niemców?" To, że może istnieć coś takiego jak obrona... Polaków przed jednostronnością własnej myśli, człowiekowi wychowanemu w dyscyplinie utylitaryzmu narodowego nie może się pomieścić w głowie. Że można wypowiadać głośno myśl niezgodną z aktualnym postulatem tej dyscypliny. Że poszukiwanie prawdy można stawiać wyżej ponad interes narodowy.

Przed kilku laty pewien szczep turkmeński przebył fantastyczną drogę, uchodząc przed ustrojem komunistycznym w poprzek Mongolii, Tybetu do Pakistanu. Tysiące tych ludzi znajduje się obecnie w Turcji a w Anglii wydano o tym książkę cenną jeżeli chodzi o poznanie prawdy, ale prawie nieznaną. Ale wyszła też i inna książka, pewnego Polaka, która jest z gruntu zakłamana, jest bujdą fałszującą prawdę, ale została z miejsca przetłumaczona na wiele języków, przyczyniła się do rozgłoszenia „sprawy polskiej". Czy tego rodzaju „polski wkład" do kultury światowej można uznać za objaw pozytywny? W moim przekonaniu — nie. W przekonaniu zaś znacznej ilości rodaków nie chodzi o żadną, tam, kulturę, a o interes narodowy. Z dyskretnym mrugnięciem zawodowych realistów, szepną: „Niech sobie bujda. Ale świetna propaganda".

Gdy swojego czasu wystąpiłem najostrzej przeciwko „zakapturzonemu świadkowi" w katyńskich badaniach Kongresu Amerykańskiego, obruszyła się na mnie masa ludzi. Twierdziłem, że jest to kłamstwo graniczące z prowokacją sowiecką. Oni — że reklama służąca realnie sprawie, której ja szkodzę przez dezawuowanie tej szopki. Wynikałoby, że każde kłamstwo jest dobre, jeżeli ma służyć interesowi narodowemu. Ale gdzie jest granica? Podczas okupacji co dziesiąty Polak przymykał jedno oko i mówił szeptem: „Jedną rzecz co Hitler dobrze zrobił, to to że przetrzebił w Polsce Żydków. Tylko... nie należy o tym głośno mówić". Gdy się czyta różne opisy Akowców można wyrobić sobie przekonanie, że było właśnie odwrotnie i że kto mógł, ratował Żydów. Teraz ja z kolei zapytam: po co to? Jeżeli w dzisiejszym układzie świata nie można się obejść bez propagandy, to nie znaczy jeszcze, że można, czy tym bardziej — należy, ją mieszać z kulturą. Biura propagandy nie powinny

się mieścić w płaszczyźnie tego samego piętra co biura prawdziwej kultury.

Za dziecinnych czasów mawiało się często: „Gdybym był królem...” Dziś wybiegając myślą w dziedzinę podobnie nierealnej wyobraźni, przedstawiam sobie, że gdybym ja... został zaproszony na emigracyjny „Kongres Kultury”, to postawiłbym wniosek o wypełnienie obrad pierwszym i jedynym punktem porządku dziennego: „Jak po stracie suwerenności państwowej, uratować suwerenność polskiej myśli”.

◆

Z najszczerszym obrzydzeniem zabieram się zawsze do pisania o komunizmie. Nie tylko dlatego, że temat jest odpychający i przeżałkowany, że niezliczoną ilość razy udowodniono negatywność tego ustroju, ile dlatego, że pomimo wszystkich argumentów znanych na pamięć, ciągle ktoś znajduje pretekst do jakowegoś z tym komunizmem kompromisu.

Prawda jest nieznana, i prawdopodobnie, w obecnym stanie rozwoju gatunku ludzkiego, nigdy poznana nie będzie. Natomiast to, co stanowi najwznioślejszą cechę tego gatunku, to przyrodzony pęd do poszukiwania prawdy. Ten pęd świadczy o „uduchowieniu” naszego gatunku, wyrażonym w jego — kulturze. Wszelkie zatem warunki zewnętrzne, ustroje państwowe, czy idee, wzbraniające lub tylko ograniczające prawo do poszukiwania prawdy, stają się automatycznie wrogami kultury ludzkiej. Dzieje ludzkie znały rozmaite warunki i ustroje ograniczające wolność myśli ludzkiej, ale żaden z nich nie doprowadził obskurantyzmu do tego rodzaju perfekcji co ustrój komunistyczny. Gwarancją rozwoju kulturalnego jest formuła: cywilizacja materialna + tolerancja. A komunizm jest największym ze znanych w dziejach skupieniem nietolerancji.

Zdawałoby się przeto, że każdy kompromis z przemocą komunizmu uznany być winien za — niekulturalny, nietolerancyjny.

◆

W charakterze początkującego dziennikarza pojechałem kiedyś do Parafianowa. O celu już zapomniałem. Pamiętam natomiast, jak zjeździwszy pylne trakty między starymi brzozami, gdzieś od Duniłowicz do Wilejki powiatowej, do Mołodeczna, opisałem po powrocie co mi się najbardziej rzuciło w oczy: Fest w kościele — jadą gremialnie wsie bliższe i dalsze, zarówno katolickie jak prawosławne. Fest w cerkwi, i znowu kołyszą się ponad kurzem duhy z siół i wiosek, bez różnicy wyznania. Nie chodziło tam oczywiście o zbytnią bogobojność, a o wspólny jarmark, we wspólnej zgodzie. Ten ustęp mi w redakcji wykreślono: „Nie, nie, to będzie źle widziane przez kurię arcybiskupią”. — Zgoda będzie źle widziana?!! Powtarzam: byłem początkującym. Ojczyzna moja, między Prypecią i Dźwiną, mię-

dzy Niemnem i Berezyną rozciągniona, to nie Szwajcaria. Dziś wiem, że w najbardziej nawet sielankowej literaturze białoruskiej, czy litewskiej, byłoby źle widziane przedstawienie współżycia różnych ludzi kraju bez wykazania walki narodowościowej. Identycznie, jak niedopuszczalne byłoby w literaturze komunistycznej, bez wykazania walki klasowej. Jak źle widziane byłoby w literaturze polskiej przedstawienie zgodnego współżycia Polaków i Niemców, na przykład w Poznańskiem. A przecież takie indywidualne wypadki mogły się zdarzyć i nad Wilią, i nad Wartą. Nie chodzi jednak o indywidualność, obowiązuje: ,,typowość''.

Formułki są też typowe: Wszystko pod kątem interesu narodu! Wszystko pod kątem interesu partii! Wszystko jest dobre co służy narodowi! Wszystko jest dobre co służy partii!

Czy nie ze zbieżności funkcji zaczął narastać ów kompromis pomiędzy sloganami? Czasem się zdaje, że ktoś — gdzieś, jakby hasło rzucił: Siewcy niezgody, łączcie się! — Religijnej, narodowej, czy klasowej.



Stary podział na lewicę-prawicę jest naturalnie anachronizmem. Pokutuje co prawda jeszcze ,,filosemityzm'' jako sprawdzian autentycznej lewicy, ale są to pozostałości godne epoki Dreyfusa. Do innych legitymacji na lewicowość poczęto zaliczać mniej agresywny stosunek do Sowietów w szczególe, do komunizmu w ogóle. Ale to jest właśnie szyld dezorientujący, jeżeli chodzi o istotę towaru, który ma reprezentować.

Pierwotny antagonizm,ześrodkowany na linii internacjonalizm-nacjonalizm, uległ znacznej konfuzji. Komunizm, w wielu wypadkach, znalazł sobie w nacjonalizmie nie tylko taktycznego pionka na azjatycko-afrykańskim terenie, ale często wiernego poputczika na europejskim. Zbliżenie zaczęło się od, że się tak wyrażę, wzajemnych koncesji. Z jednej strony Żdanow wypowiedział wojnę (obowiązującą do dziś) wszelkiemu ,,kosmopolityzmowi'', czyli staremu wrogowi każdego parafialnego nacjonalizmu. Z drugiej, nacjonaliści uznali możliwość, a w wielu wypadkach konieczność kompromisu, pod sloganem zachowania ,,organicznych'', czy ,,biologicznych'' wartości narodowych. Tradycyjna ,,ugodowość'' pewnych odłamów prawicy sprzyjała temu procesowi zbliżenia. Jednocześnie doszło do niejakiego zatarcia granic z ,,lewicą'' i wreszcie do konglomeratu w takich postaciach jak ,,narodowy komunizm'', czy jego wstydliwsza nazwa ,,narodowy socjalizm'' potrącająca, przez samo brzmienie, ni to o słynną wypowiedź Lenina w dyskusji z Różą Luxemburg i Piatakowym w 1916 roku o ,,własnej drodze do socjalizmu'', ni to o niemiecką NSDAP, ni to o polski ONR.

Dziś sytuacja jest taka, że jeżeli zechcemy wszystkich, którzy okazują większy kompromis w stosunku do komunizmu uznawać za ,,lewicę'', musielibyśmy nabrać paradoksalnego na po-

ór przekonania, że istnieje współczesny odłam ,,lewicy'', który est bardziej nacjonalistyczny niż kiedykolwiek nim była najczar-.iejsza prawica. Przyznam, że osobiście, gdy czytam Mieroszew-kiego niewyczerpanie udzielającego kredytu Gomułce, wydaje ni się on większym nacjonalistą od nielubianych przez niego)NR-owców. Nacjonalistą nieomal ,,za wszelką cenę''. Bo sto-ień tego : ,,realnego interesu narodowego'' mierzy się właściwie eną, jaką się za ten ,,realizm'' płaci. ONR-owcy chcieli go płacać biciem Żydów; różne stopnie i gradacje nacjonalizmów, óżnymi postulatami ucisku, wynaradawiania, nietolerancji, re-trykcjami programowymi, mniej lub więcej sprzecznymi z pro-ramem ogólnoludzkiego humanizmu. Płacono ceną kompromisu różnymi rzeczami. Ale ceną kompromisu z komunizmem, naj-większym wrogiem ludzkiego humanizmu — takiej ceny nie pła-ił dotychczas nikt. Płaci — po raz pierwszy ,,lewica'' narodowa.

Łatwo jest te słowa uznać za paradoks i przeciwstawić im ak zwany ,,realizm polityczny''. Ale po pierwsze tak zwany ,realizm polityczny'' nie jest żadnym pojęciem konkretnym, tylko sloganem, którego każdy używa na swój sposób, gdyż ie było jeszcze polityka, który by zadeklarował że prowadzi po-tykę — ,,nierealną''... Po drugie, żeby uzasadnić ,,realność'' arodowego komunizmu, trzeba w każdym razie dowieść naj-ierw, że komunizm nie jest złem samym w sobie. Gdyż w prze-iwnym wypadku formuła : bądźmy komunistami ale polskimi... tanie się równoznaczna : ,,bądźmy złem, ale polskim''. Czyli rzeistoczy się w formułę absolutnie negatywną, jak na przykład: Zgadzamy się na zarazę, ale pod warunkiem, że będziemy ją ami produkować''... Czesław Miłosz genialnie zdefiniował kie-yś tak zwanych reżymowych-katolików, upodobniając ich do Żydów pracujących dla Hitlera''. Reżymowy katolicyzm zrodził ię z kompromisu : religia-komunizm. Czy ,,lewica narodowa'', siłująca budować na kompromisie : naród-komunizm, nie przy-omina również ,,Żydów pracujących dla Hitlera''?

Istnieje niezliczona ilość przykładów, gdy nacjonaliści ze schodniej Europy czczą jako bohaterów narodowych notorycz-ych komunistów tylko dlatego, że są ,,swoi''. Oto jeden z ta-ich przykładów :

Niedawno powiadano mi w Berlinie — pochodzi to od pew-ych dziennikarzy warszawskich — o wybujałym nacjonalizmie ruzińskim. Podobno ci dziennikarze nie mogli sobie dać rady językiem rosyjskim — którego używali — tak znienawidzonym Gruzji, że im nikt na pytania nie chciał odpowiadać, zanim ie dowiedziano się, że to nie Rosjanie a Polacy. Informacja się otwierdziła. W czterdziestolecie rewolucji październikowej, jak tym przeczytałem w gazetach zachodnich, zdarto w Gruzji ortret znienawidzonego Rosjanina, Chruszczowa, i wywieszono a tym miejscu portret — Stalina... Wprawdzie jedna z najwięk-zych kanalii jaką świat wydał, ale za to — ,,swój'', Gruzin !

W lipcu, ubiegłego roku, na konferencji Instytutu Badań Iistorii i Kultury SSSR w Monachium, powstał jeden z przed-

stawicieli „podsowieckich" nacjonalizmów i oświadczył: Nie było żadnego bolszewizmu, nie ma żadnego komunizmu. To co było i co jest, to tylko ta sama, stara Rosja. Punkt. — Z tym co nie było i nie ma, oczywiście nie ma też po co walczyć. To chyba logiczne. Składajmy broń i przestańmy opierać się komunizmowi. Jeżeli takie postawienie sprawy nie jest, z punktu widzenia realnej polityki moskiewskiego CK, „poputniczestwom", to co nim jest?

Przez zamianę jednego tylko słowa: „Komunizm" na „Rosja", załatwia się wszystko. To rozstrzyga problemy, wytycza linie postępowania, nawiązuje do historycznych doświadczeń, uoptymistycznia przyszłość, anuluje paradoks formuły: „bądźmy złem, ale polskim", wyprowadza sytuację ze ślepej uliczki na tory „polityki realnej". I wreszcie zjednuje poparcie znacznej części świata, który również, za wszelką cenę, pragnie uniknąć dylematu: wojna — ślepa uliczka. — Tezą tak pojętej, realnej polityki jest etapowe, drogą kompromisów politycznych, usamodzielnienie się spod „bagnetów Rosji". Wprawdzie ta zamiana dwuch słów nie wyjaśnia skąd we Francji, albo we Włoszech, bierze się aż 30% „Rosjan" głosujących na listy komunistyczne, wprawdzie Tito w sposób dosyć przekonywujący obalił i obala w dalszym ciągu legendę, że komunizm może się utrzymać wyłącznie na bagnetach rosyjskich — titoistyczny komunizm uznany zostaje za wzór „realnej polityki".

Ta „realna polityka", mimo słogany w które się upiększa, obraca się często w anachronicznych pojęciach czystego nacjonalizmu, podmalowanego, równie anachroniczną, łacińską propagandą. Dlatego po drugiej stronie dostrzega tylko „wschodnią schizmę nacjonalizmu rosyjskiego, wykutą w szkole tatarskiego jarzma; spuściznę Iwana Groźnego według mongolskich wzorów Dżyngis-Chana". Słowem:

— *Grattez le Russe et vous trovez le Tatare* — jak mawiano w Paryżu, jeszcze w okresie wojny krymskiej. To znaczy w okresie, gdy arcybiskup Paryża błogosławił tej wojnie w liście pasterskim, nazywając ją sprawiedliwą wojną „przeciwko herezji Focjusza".

Zdarzają się jednak zabawne koincydencje: Tatar krymski, podwójny doktór, reprezentant prometejskiej, antyrosyjskiej tradycji, a potomek dżyngischanowskiej arystokracji — powiada mi, krzywiąc usta z obrzydzeniem: „Przecież całe to sowieckie rabstwo wywodzi się z ducha Iwana Groźnego..."

I zgadnij tu teraz, czy dlatego tak mówi, że podziela zdanie nacjonalistów polskich, iż Iwan Groźny był z ducha Tatarem, czy dlatego, że był jednym z pogromców tatarskiego iga?

◆

Imię Dżyngis-Chana nasuwa mi kawałek analogii historycznej z dziedziny nazwanej dzisiaj — koegzystencją.

W latach 1221-1223 hordy mongolskie po raz pierwszy przekroczyły granice wschodniej Europy. Król węgierski Bela IV wystąpił z szeroko zakrojonym planem wysłania do plemion ugro-fińskich nad Kamą, ojców dominikanów. Plan znalazł gorące poparcie Rzymu, gdyż przewidywał podporządkowanie nie tylko dalekich pogan, ale otwierał perspektywy rozciągnięcia wpływów rzymskich i na Ruś prawosławną, a przez to likwidację „schizmy" na tym terenie. Niestety, Batu-Chan wcześniej wyciął w pień plemiona nad Kamą i w roku 1241 runął na zachód. Dnia 9 kwietnia Orda rozgramia rycerstwo polsko-niemieckie pod Legnicą i zawraca na Węgry. Opór węgierski zostaje złamany, kraj podbity, król z najbliższym otoczeniem ucieka tak samo, jak w roku 1956 uciekali powstańcy węgierscy na emigrację. Z emigracji, Bela IV wysyła do władców zachodnich, a przede wszystkim do papieża Inocentego IV rozpaczliwe pisma z błaganiem o pomoc, tudzież przedstawia dalsze plany wspólnej akcji całego Zachodu.

Ale już teraz nie interesuje nikogo, ani on, ani jego plany. Inocenty IV ma już swoje, bardziej realne plany, w które nie wchodzi pobity, bezsilny emigrant, a raczej nowa potęga na wschodzie. W ten sposób podjęte zostają pierwsze próby koegzystencji pomiędzy „Zachodem" i „Wschodem", które, zwłaszcza ze względu na casus węgierski, do złudzenia przypominają dzisiejsze. Na soborze lyońskim w roku 1245 opracowane zostaje pismo do „Króla i narodu tatarskiego", z którym wysłany zostaje do Karakorum w Azji, franciszkanin Piano del Carpini. Wprawdzie wielki potomek Dżyngis-Chana, cesarz Gujuk, w piśmie odwrotnym przybiera tytuł, brzmiący w tłumaczeniu łacińskim: „Dei fortitudo, omnium hominum imperator"... co w pewnym stopniu utrudnia porozumienie na „najwyższym szczeblu", ale już w roku 1254 wysłany zostaje nowy franciszkanin, Wilhelm Rubruquis, z nowymi listami, do nowego cesarza Mongolii.

Chodzi w nich, naturalnie, nie o los Węgier, zagrożenie Polski, niedolę Rusi, a wciąż o sprawy „wyższego szczebla", więc w pierwszym rzędzie interes Kościoła Zachodniego i (co jeszcze bardziej podkreśla podobieństwo) — sprawy Bliskiego Wschodu... Czyli sprawy związane wonczas z powodzeniem Krucjaty, i prowadzonej pod tą firmą ostatecznej eliminacji Bizancjum jako ośrodka „schizmy".

Mimo poważnych rozbieżności światopoglądowych, zabiegi o koegzystencję ponawiane są wielokrotnie, a stosunki utrzymane w płaszczyźnie kurtuazyjnej dyplomacji. Tak więc, jeszcze w roku 1267 Abaga-Chan wysyła poselstwo do papieża Klemensa IV, gratulując mu zwycięstwa nad Manfredem Hohenstaufem Sycylijskim...



Urwijmy jednak listę podobieństw, którą można by długo uzupełniać. Pozwólmy sobie z kolei podkreślić odwrotną stronę

medalu, nie podobieństwo, a pewne kontrasty, przeciwieństwa do stanu dzisiejszego.

Gdy dziś używamy pod adresem bolszewickiego dyktatora takich oskarżycielskich epitetów jak ,,czerwony car'', albo powiedzeń w rodzaju ,,nawet za carskich czasów tego nie było...'', kładąc nacisk na słowo: ,,nawet'', świadomie i tendencyjnie fałszujemy historię, gdyż w tej chwili żyją jeszcze miliony ludzi na świecie, którzy mogą poświadczyć, że ,,za carskich czasów'' nie tylko nie było gorzej, ani nawet tak samo, lecz nieskończenie lepiej niż pod komunistami. Natomiast porównywanie Stalina, jak to się czasem robiło, do Dżyngis-Chana, świadczy raczej o wielkiej ignorancji.

Dżyngis-Chan ogłosił w roku 1218 zbiór praw, Wielką Jazę. Jeżeli lubimy się chwalić, że tolerancja polska wyprzedziła w swej wielkoduszności inne kraje zachodnio-europejskie, to, nawiasem mówiąc, nie stanowi to dodatkowego świadectwa o duchu zachodnio-europejskim, którym również lubimy się szczycić. Bo tolerancja Dżyngis-Chana i jego następców wyprzedziła nie tylko czasy z okresu św. Inkwizycji, ustanowionej przez Grzegorza IX w zachodniej Europie, ale nawet czasy z okresu Congregation Sancti Offici renesansu rzymskiego... Sam Dżyngis-Chan nie tylko tolerował inne przekonania i wyznania, ale osobiście lubował się nawet w wysłuchiwaniu sprzecznych poglądów i wolnych dyskusji. Specjalnie sprowadzał do swego pałacu różnych uczonych, kapłanów, mnichów, eremitów, przyznając nie tylko w duchu, ale też jawnie, iż nie potrafi rozstrzygnąć, która ze stron ma rację, a która jej nie ma.

Ta wspaniała wątpliwość, ten zakaz wszelkiego policyjnego gwałtu nad myślą ludzką, wydany przez człowieka, który mienił się potomkiem ,,wilka i łani'', zesłanych z nieba, ażeby na ziemi zapanował imperator wszystkich ludzi — wydaje się, w zestawieniu ze Stalinem, największym kontrastem, jaki pomiędzy jednym i drugim postępowaniem człowieka zachodzić może!

Dżyngis-Chan i jego potomkowie, byli plagą państw i narodów ówczesnych. Szli, ogniem i mieczem podbijając, niszcząc, mordując i grabiąc. Ale któż nie niszczył, nie mordował, nie rabował na drodze swego podboju? Aż do ostatnich czasów, aż do połowy XX wieku, w którym żyjemy? Kto tylko mógł. Pod tym względem Stalin, zrodzony w kaukaskiej Gruzji nie był lepszy od Hitlera, zrodzonego wśród narodu Dichter und Denker. A czy sądzimy, że Dżyngis-Chan w ciągu całego swego żywota zniszczył choć setną część tej ilości pomników zachodnio-europejskiej cywilizacji i kultury, co zniszczyło anglo-amerykańskie bombardowanie w przeciągu dwuch lat?...

Dżyngis-Chan nie był owieczką w potrzebach wojennych. Nie rozporządzał też większą cywilizacją materialną, choć się jej nabrał od Chińczyków. Zaryzykowałbym jednak twierdzenie, że miał duży zasób kultury duchowej. Za jego i jego następców panowania, nestorianie, którzy w wiekach od VII do XI stanowili najszerzej terytorialnie rozpowszechnioną religię chrześci-

jańską, osiągnęli szczytowy punkt rozwoju w Azji. Kibiłaj-Chan musiał w roku 1289 stworzyć dla nich rodzaj ministerstwa, które administrowało potężną siecią ich placówek. Od XIII wieku począwszy obok Kościoła Wschodniego zaczynają funkcjonować pierwsze ośrodki Kościoła Zachodniego, na równi z wieloma sektami i religią muzułmańską. Perscy i arabscy historycy XIV wieku wskazują na wierzenia, iż Wielka Jaza pochodzić miała od Boga, który nakazał tolerancję. Obok meczetów wznosiły się przeto bogate kościoły chrześcijańskie; w roku 1277 zanotowano w jednej Samarkandzie aż siedem klasztorów nestoriańskich.

Tradycja tolerancji była tak silnie zakorzeniona, że utrzymała się przez czas dłuższy nawet po przejściu Złotej-Hordy na muzułmanizm. Tak więc na przykład kapłani wszystkich wyznań, mnisi wszystkich wyznań, obok uczonych oraz lekarzy zwolnieni byli od wszelkich podatków i służb państwowych.

Ówczesny mongolizm był więc nie tezą, ale raczej antytezą dzisiejszego komunizmu. I gdyby ówczesny świat zachodni istotnie hołdował ideałom tego rodzaju demokratyzmu i tolerancji, których mieni się być dzisiaj przedstawicielem, wypadłoby przyznać, że ówczesne próby koegzystencji z mocarstwem Dżyngis-Chana, byłyby bardziej uzasadnione i na miejscu, niż próby takiej koegzystencji z dzisiejszym komunizmem.



Wyprowadzanie ,,rosyjskiego bolszewizmu'' z mongolskiej tradycji jest równie błędne, co wywodzenie komunizmu z azjatyckich pierwiastków. ,,Bolszewizm rosyjski'' zrodził się z komunizmu, a komunizm wyszedł z zachodniej Europy. Narodził się nie na zielonych stepach, nie wśród szerokich horyzontów pól i lasów bez granic, lecz właśnie w zaułkach zadymionej cegły fabrycznych dzielnic europejskich.

,,Dżyngis-chanizm'', ,,rosyjskość'', ,,stalinizm'' komunizmu, to slogany powstałe z jednego i tego samego źródła, którym jest — ludzki optymizm.

,,Dżyngis-chanizm'' ma pocieszać swą azjatycką mentalnością, która rzekomo nie da się przeszczepić mentalności zachodniej; ,,rosyjskość'' ma pocieszać, że nic nam rzekomo więcej nie grozi, niż groziło od starej Rosji; ,,stalinizm'', że komunizm w gruncie rzeczy nie jest rzekomo taki straszny, to tylko zły Stalin wypaczył naukę dobrego Lenina.

Optymizm jest rzeczą dobrą, zarówno w życiu jednostki, jak narodów. Ale nie wtedy, gdy gruntownie przesłania nam rzeczywistość.



Pozwolę sobie ponownie wybiec fantazją w sferę dziecinnej wyobraźni. Już nie: ,,gdybym był królem...'', czy nawet: ,,gdy-

bym był delegatem na nieudany emigracyjny Kongres Kultury"... Ale zgoła: gdybym był wielkim Chanem, *Dei fortitudo omnium hominum imperator*...

...Po wypaleniu ogniem i mieczem *przemocy* komunistycznej w całym świecie, ulegalizowałbym nazajutrz partię komunistyczną, zezwolił na otwarcie ich biur i gazet, obok wszystkich innych partii i gazet na świecie. Bo dopokąd nie jest nam dane poznać całej prawdy, w każdej z nich będzie jeszcze wiele nieprawdy, i odwrotnie w każdej, najgorszej nawet nieprawdzie, odnaleźć można ziarnko prawdy... I wypuściłbym na Europę patrole mongolskich opryczników, aby nahajami z byczej skóry, strzegły wolności słowa, i nie dopuszczały przemocy jednego z tych słów nad drugim.

Bo nie to wydaje mi się najważniejsze w życiu, jakie kto ma przekonania, a to jedynie — by każdy je mógł swobodnie wypowiadać.

Józef MACKIEWICZ

Likwidacja samorządu robotniczego

Zaledwie półtora roku minęło od czasu powstania samorządu robotniczego w Polsce. Żywiołowo organizowane w okresie ,,października'' rady robotnicze, miały — w przekonaniu robotników — doprowadzić do całkowitej zmiany stosunków w zakładach pracy, zapewnić im decydujący głos w zarządzaniu produkcją, celem jej usprawnienia i uzyskania w tej drodze wyższego poziomu życia. Rady robotnicze, którym ustawa z dn. 19 listopada 1956 r. przyznała prawo zarządzania zakładami pracy, miały stanowić jeden z zasadniczych elementów nowego modelu gospodarczego, polskiej drogi do socjalizmu.

Do końca ub. r. było już 5619 rad robotniczych w całym kraju. Jedne z nich pracowały bardzo dobrze i miały poważne wyniki, szczególnie te, które w tzw. eksperymentujących przedsiębiorstwach uzyskały znacznie większe uprawnienia. Inne pracowały gorzej lub zaledwie wegetowały. Składał się na to szereg przyczyn wewnętrznych — przede wszystkim brak doświadczenia i przygotowania do rozwiązywania nowych i trudnych problemów — oraz jeszcze ważniejsze — trudności zewnętrzne. A więc opór, stawiany przez instancje wyższe, niedostatecznie ustalone kompetencje, szczególnie jednak fakt zbyt powolnych i często świadomie hamowanych zmian w organizacji produkcji; w warunkach starego modelu gospodarczego rady robotnicze były często bezsilne w swym dążeniu do usprawnienia organizacji pracy w przedsiębiorstwach.

Toteż po pierwszym okresie entuzjazmu, przyszło w wielu ośrodkach zrozumiałe zupełnie rozczarowanie, a często i apatia.

Ale mimo tak nierównych osiągnięć i mimo zniechęcenia, idea samorządu w formie rad robotniczych została głęboko ugruntowana w środowisku robotniczym w Polsce. Przez szereg lat przed październikiem na tablicach w salach fabrycznych i świetlicach wypisywano czerwonymi literami: ,,Robotnik — gospodarzem zakładu pracy''. To fałszywe wówczas i całkowicie za-

kłamane hasło stawało się obecnie w zasadzie realne; praktyczne zaś jego zastosowanie — przy konsekwentnie przeprowadzanych zmianach gospodarczych i przy odpowiedniej atmosferze politycznej — nie wydawało się trudne do osiągnięcia.

I na tym właśnie polegało znaczenie rad robotniczych, jako idei nie tylko gospodarczej, ale i politycznej.

A chociaż Gomułka już w maju ub. r., na IX Plenum KC. PZPR, wypowiedział się kategorycznie przeciw nadawaniu radom robotniczym znaczenia ruchu politycznego, nie zdołał on tego ich charakteru przekreślić. Świadczy o tym choćby artykuł w ,,Głosie Pracy'', jako ukazał się jeszcze na początku marca br. (nr 1-2. III. 58), a więc tuż przed IV Kongresem Związków Zawodowych. Mówi on:

,,Rada robotnicza jest dziś... fundamentem demokracji gospodarczej i trwałym elementem polskiej drogi do socjalizmu... Rada robotnicza to więc nie komórka administracyjna, lecz *instytucja polityczna*, decydująca w wielkim stopniu o demokratycznym, socjalistycznym charakterze naszego ustroju. Dodajmy: instytucja, którą wyniosła na powierzchnię życia rewolucyjna fala, narastająca od paru miesięcy przed Październikiem... A więc — wyniesiona przez ,,doły'', przez samych robotników i im bliska''.

Niestety wszystkie te cechy rad robotniczych, o których mówi artykuł: ich charakter polityczny, żywiołowy sposób tworzenia się, bliskość tej idei masom robotniczym przesądziły o dalszych losach samorządu robotniczego.

Trzeba pamiętać, że rady robotnicze powstały nie z inicjatywy i nie za wolą partii, choć wielu ich inicjatorów było jej członkami. Tylko, że partia, rozbita w okresie października, nie była w stanie przeciwstawić się temu prądowi i musiała go formalnie zaakceptować.

Ale partia od początku zdawała sobie sprawę z niebezpieczeństwa konkurencji, jakie stwarza dla niej ruch rad robotniczych, rozwijający się całkowicie poza jej ramami. Partia próbuje więc najrozmaitszych sposobów, by uzyskać wpływ na rady robotnicze. Pod pretekstem — jak to sformułował Gomułka na IX Plenum KC — niedopuszczenia ,,wroga klasowego'' do szeregów rad robotniczych, próbuje ona wpływać na wybór do nich większej liczby członków partii. Próby te zawiodły: udział członków partii w radach robotniczych nie przekroczył nigdzie 50%, a w szeregu rad był zupełnie znikomy. Załogi nie przyjęły klucza partyjnego w wyborach do samorządu robotniczego.

Zawiodły również próby opanowania rad robotniczych od wewnątrz. Decyzja IX Plenum KC, o powołaniu wewnątrz rad tzw. zespołów partyjnych, których członkowie byli zobowiązani występować i głosować na zebraniach rady w myśl partyjnych dyrektyw, nie dała w praktyce zamierzonego efektu. Rady robotnicze pracowały nadal niezależnie.

Przyznaje to zresztą wyraźnie Gomułka, motywując na IV Kongresie Zw. Zaw. w połowie kwietnia br. konieczność zmiany dotychczasowego charakteru samorządu robotniczego. Mówi on

„Ograniczenie samorządu robotniczego do rad robotniczych utrudnia komitetom zakładowym (1) realizację kierowniczej roli partii w zakładzie pracy. Wprawdzie w składzie rad robotniczych znajdują się w mniejszej lub większej ilości członkowie partii, komitety zakładowe tworzą z nich zespoły partyjne, ale... nie stwarza (to) pełnych możliwości przejawiania się kierowniczej roli partii".

Nie mogąc opanować bezpośrednio samorządu robotniczego, partia próbuje drogi pośredniej: oddania rad robotniczych pod wpływy związków zawodowych. Związki zawodowe wprawdzie zaraz po październiku próbowały usamodzielnić się w stosunku do partii i wysunąć na pierwsze miejsce swojej działalności obronę interesów pracowniczych. Wkrótce jednak, pod naciskiem partii, poddały się z powrotem jej dyrektywom i na jej rozkaz zwróciły się „pełną twarzą" do produkcji.

Partia mogła więc liczyć na to, że za pośrednictwem związków zawodowych zagwarantuje sobie dostateczne wpływy na rady robotnicze.

Ale i te rachuby zawiodły w praktyce. Związki zawodowe nie były same dość silne, by uzyskać wpływ na rady robotnicze.

W tych warunkach rady robotnicze, w miarę ich krzepnięcia i rozwoju, mogły stawać się coraz groźniejszą konkurencją dla partii zarówno wewnątrz zakładów pracy, jak i w całym kraju.

Partia stanęła więc wobec konieczności szukania innych sposobów załatwienia tej sprawy. Najprostszym, oczywiście, jej rozwiązaniem byłaby jawna likwidacja rad robotniczych. Na to jednak partia nie może sobie jeszcze dziś w Polsce pozwolić. Bezpośrednia likwidacja wywołałaby zbyt wiele protestów i buntu, byłaby zbyt jaskrawym dowodem całkowitego odwrotu od idei października. Trzeba było znaleźć formę inną, formę, pośrednią, która złagodziłaby proces likwidacji.

Formę taką znalazł Gomułka, referując ją i uzasadniając na IV Kongresie Związków Zawodowych. Wypowiadając parę ciepłych słów pod adresem samorządu robotniczego, jako ważnego ogniwa w systemie społeczno-politycznym kraju, stwierdził on kategorycznie, że dotychczasowe utożsamianie samorządu z radami robotniczymi było teorią fałszywą. Samorząd robotniczy — według Gomułki — to pojęcie szerokie. Musi więc ono objąć zarówno zakładową komórkę partyjną i ułatwić w tej drodze realizację kierowniczej roli partii, jak i związkową radę zakładową. Przez bezpośrednie bowiem włączenie związków zawodowych do produkcji, obali się „fałszywą koncepcję sprowadzania zadań rad zakładowych wyłącznie do spraw bytowych, do tzw. obrony interesów klasy robotniczej".

W ten sposób Gomułka odwraca całkowicie sytuację, jaka zaistniała w okresie powstawania samorządu robotniczego w październiku 1956 r. Toczyła się w tym czasie walka, kto ma ten samorząd tworzyć: rady zakładowe, które straciły wszelkie zau-

(1) Komórki partyjne w zakładach pracy.

fanie załóg robotniczych, czy też nowa, specjalnie w tym celu wybierana reprezentacja załóg — rady robotnicze. Zwyciężyła wówczas bezapelacyjnie decyzja powołania rad robotniczych. Usankcjonowało ją zresztą IX Plenum CRZZ w listopadzie tegoż roku, które, słowami swego świeżo wybranego przewodniczącego Logi-Sowińskiego przeprowadziło, tak ostro dziś skrytykowany przez Gomułkę podział: do zadań rad robotniczych miały należeć sprawy produkcji, do rad zakładowych — sprawy bytowe załóg.

Natomiast o bezpośrednim udziale partii w samorządzie robotniczym nie było w ogóle mowy, administracyjne bowiem metody ,,rządzenia'' zakładami pracy przez sekretarzy partyjnych komitetów zakładowych zostały powszechnie zdyskredytowane.

To dopiero dziś, w półtora roku po październiku, partia zdecydowała, że przyszedł wreszcie czas na odzyskanie straconych pozycji. W tym celu, zgodnie z referatem Gomułki na Kongresie Zw. Zaw., powołuje się nową społeczną instytucję w zakładzie pracy, zwaną Konferencją Samorządu Robotniczego. W skład jej wchodzą członkowie partyjnego komitetu zakładowego, rady zakładowej i rady robotniczej. Konferencja, która winna się zbierać co najmniej raz na kwartał, ma omawiać wszystkie sprawy, wchodzące dotychczas w zakres uprawnień rad robotniczych. Przyjęte przez nią uchwały byłyby obowiązujące dla rady robotniczej i innych komórek zakładowych, ponieważ — jak to Gomułka specjalnie podkreślił — ,,Konferencja Samorządu Robotniczego winna stać się *zwierzchnią* instancją rady robotniczej''.

W okresie między posiedzeniami Konferencji, rada robotnicza i jej prezydium spełniają rolę organu wykonawczego Konferencji i prowadzą swą działalność zgodnie z jej uchwałami.

Ale żeby rada robotnicza nie mogła działać swobodnie nawet w tak ograniczonych ramach, w skład jej prezydium wchodzić mają obecnie z urzędu — oprócz dyrektora zakładu pracy — delegat partyjnego komitetu zakładowego oraz przewodniczący rady zakładowej.

Jak zresztą wynika z dalszych punktów zreferowanego przez Gomułkę nowego ujęcia samorządu robotniczego, udział w nim rady robotniczej nie jest bynajmniej konieczny: przewidziany jest on tylko w tych zakładach pracy, w których rady te już istnieją, a więc ogółem w 5619-u przedsiębiorstwach (z czego 2500 to rady w PGR-ach). W pozostałych zakładach pracy, a więc w ogromnej ich ilości, Konferencja Samorządu Robotniczego składać się będzie tylko z komórki partyjnej i związkowej. W tym wypadku stale działającym organem wykonawczym samorządu ma być po prostu komisja partyjno-związkowa, która ,,spełniałaby te funkcje, jakie spełniać mają rady robotnicze w zakładach pracy, w których zostały powołane''. (Z przemówienia Gomułki).

W ten sposób wielkie zadania i szeroki zakres działalności rad robotniczych, przewidziany w rewolucyjnej ustawie z listo-

pada 1956 r. oddaje się obecnie komisji, wyłonionej przez zakładową komórkę partyjną i związkową, szumnie zwanych Konferencją Samorządu Robotniczego.

Ale i na tym nie kończy się jeszcze ograniczanie działalności rad robotniczych. Żeby już nie było żadnej wątpliwości, że pozbawia się je wszelkiej samodzielności, podporządkowuje się je obecnie związkom zawodowym, jako powolnemu narzędziu partii. Gomułka podkreśla w swym przemówieniu, że związki zawodowe, które stają się dziś bezpośrednio uczestnikami współzarządzania zakładami pracy, *winny sprawować funkcje kierownicze i nauczycielskie w stosunku do rad robotniczych.*

Interpretując tę zasadę w sposób bardziej konkretny, Loga-Sowiński stwierdził na Kongresie, że

„związkom zawodowym powinny przysługiwać uprawnienia w zakresie zatwierdzania statutu rady robotniczej, przeprowadzania wyborów do rad oraz odwoływanie poszczególnych członków rady w przypadkach jeśli okazaliby się, z tych czy innych względów, niegodnymi udziału w radach".

A uchwały Kongresu rozwijają tę myśl jeszcze dalej :

„Instancje związkowe powinny przejawiać szczególną troskę o właściwy kierunek działalności rad robotniczych, powinny one być wobec nadrzędnych ogniw administracji państwowej i gospodarczej rzecznikami załóg, a więc reprezentować zarówno rady robotnicze, jak i zakładowe".

Jeszcze w czerwcu ub.r. ukazał się artykuł na łamach „Po Prostu" (nr 25.57.) o zagrożeniu samodzielności rad robotniczych przez związki zawodowe. Powoływał się on na projekt podporządkowania rad górniczych związkowi zawodowemu górników, przy tym jeden z punktów tego projektu przewidywał właśnie odcięcie rad robotniczych od wszystkich wyższych instancji, do których dostęp mogłyby one mieć tylko za pośrednictwem związków zawodowych. Autorka artykułu przestrzegała wówczas przed apetytami związku, przypominającego wilka z bajki, mającego ochotę schrupać Czerwonego Kapturka.

To ostrzeżenie spotkało się z kategorycznym zaprzeczeniem w „Przeglądzie Związkowym" (lipiec-sierpień, 1957). Uznano alarm „Po Prostu" za nieprawdziwy i stwierdzono, że nie tylko nie ma obawy o tendencje podporządkowania rad górniczych związkom, ale że przeciwnie to właśnie związki wykazują głęboką troskę, o to, „żeby rady górnicze stały się decydującym czynnikiem postępu społeczno-ekonomicznego w górnictwie". Nie ma więc niebezpieczeństwa „schrupania Czerwonego Kapturka".

Niespełna rok upłynął od tego zaprzeczenia, a obawy, wyrażone w „Po Prostu" okazały się w pełni uzasadnione.

Jakżeż natomiast nierealne są już dziś obiekcje tak wybitnego ekonomisty, jak prof. E. Lipiński, który, rozważając w „Życiu Gospodarczym" (22-29. XII. 57) projekt, przewidujący, że rada robotnicza może być rozwiązana przez ministra w poro-

zumieniu z prezydium Zarządu Głównego Związku Zawodowego opatruje go taką uwagą :

,,Zauważmy, że w tym miejscu zjawia się nowy czynnik nadrzędny — związek zawodowy, co jest o tyle zaskakujące, że zadaniem związków zawodowych jest obrona interesów robotników, nie są one przewidziane i *nie mogą z natury rzeczy* (pod. autora) funkcjonować, jako czynnik współzarządzający przedsiębiorstwami przemysłowymi''.

Okazuje się, że wola partii może i to zmienić.

Uchwalone — z polecenia Gomułki — przez IV Kongres Zw. Zaw. powołanie nowej formy samorządu robotniczego musi znaleźć, naturalnie, właściwą sankcję prawną. W tym celu przewiduje się znowelizowanie ustawy o radach robotniczych, a w przygotowaniu nowego projektu czynny udział, w myśl uchwał Kongresu, chcą wziąć związki zawodowe.

Trudno w tej chwili przewidzieć, jaki będzie ustawą ustalony zakres kompetencji nowego samorządu robotniczego. W każdym razie z przemówienia Gomułki wynika wyraźnie tendencja daleko idącego ograniczenia jego uprawnień. Stwierdził on bowiem, że

,,załogi poprzez swoje organizacje mają prawo do współzarządzania zakładami pracy, tj. *do nadzorowania i kontrolowania działalności administracji*''. (pod. autora).

Tak więc z szerokich uprawnień samorządu robotniczego, określonych w ustawie, która przyznawała radom robotniczym prawo zarządzania zakładami pracy, pozostać ma teraz tylko społeczna kontrola działalności kierownictwa przedsiębiorstw.

Jest to zresztą stanowisko zupełnie konsekwentne, trudno bowiem byłoby przyznać szersze uprawnienia masowej instytucji, jaką ma być Konferencja Samorządu Robotniczego. W skład jej mają przecież wchodzić jako stali delegaci *wszyscy* członkowie partyjnego komitetu zakładowego, rady zakładowej i rady robotniczej, tam gdzie ona istnieje. Przewodniczącym tego samorządu ma być z reguły sekretarz komórki partyjnej, co Loga-Sowiński wysunął w swym przemówieniu na Kongresie jako ,,najsłuszniejsze rozstrzygnięcie''.

Tego rodzaju instytucja z natury rzeczy nie nadaje się nie tylko do sprężystego działania, ale nawet i do podejmowania zasadniczych uchwał w niezmiernie skomplikowanych problemach, jakie nasuwa organizacja produkcji w zakładzie pracy.

Jest rzeczą oczywistą, że przeprowadzone zmiany nie mają bynajmniej na celu zapewnienia sprężystej działalności nowego samorządu robotniczego, ale nadanie partii kierowniczej roli w zakładzie pracy, oraz przekreślenie dotychczasowej roli i samodzielności rad robotniczych, dla których Konferencja Samorządu Robotniczego ma się stać obecnie instancją zwierzchnią.

Ciekawym przyczynkiem dla oceny roli nowego samorządu jest artykuł w ,,Głosie Pracy'' z 24 kwietnia br., w którym autor

stwierdza, że pojęcie samorządu robotniczego, sformułowane przez Gomułkę jest jednocześnie nowym i starym.

„*Jest nowym* — w tym znaczeniu, że różni się od przyjętego zwyczaju stawiania znaku równania między samorządem robotniczym a radami robotniczymi. *Jest starym* — w rozumieniu wieloletniej tradycji i praktyki współdziałania aktywu robotniczego z kierownictwem zakładów pracy".

A więc to nie Poznań, nie październik doprowadziły do przyznania robotnikom prawa do współzarządzania zakładami pracy w konkretnej formie rad robotniczych, ale to dopiero tow. Gomułka, odbierając uprawnienia radom robotniczym, przywrócił stare dobre tradycje domokracji robotniczej, w myśl haseł, głoszonych czerwonymi napisami na tablicach fabrycznych, w okresie przed październikiem.

Sprawą niezmiernie istotną jest, jak w Polsce zareagowano na zapadłe na Kongresie decyzje.

W sprawozdaniach z dyskusji na Kongresie, zamieszczonych „Głosie Pracy" z 18 i 19 kwietnia, podkreślono, że „większość dyskutantów poparła nową koncepcję samorządu robotniczego". Podano jednak i krótkie wzmianki o głosach, które na komisji, omawiającej sprawy samorządu podnosiły „szereg zastrzeżeń i zdań odmiennych". A więc przede wszystkim, że „same funkcje kontrolno-doradcze są niewystarczające, gdy nie towarzyszy im moc uchwalania, stanowienia", że „projektowane zmiany mogą uszczuplić samodzielność rad robotniczych i zahamować je w pracy". Wysuwano też podejrzenia, że „intencją nowego projektu jest ograniczenie demokracji w zakładzie pracy".

Za krótki okres czasu upłynął od IV Kongresu Zw. Zaw. (2) i za mało jest jeszcze materiału, aby móc zorientować się dokładnie w nastrojach pokongresowych wśród załóg robotniczych.

Jedno tylko, wydaje się, można już dziś przewidzieć. Kiedy w ciągu roku ubiegłego zaczęły się zarysowywać wyraźne tendencje ograniczania zarówno zakresu działalności rad robotniczych, jak i ich samodzielności, tendencje dążące do podporządkowania rad partii i związkom zawodowym, rozgorzała w poszczególnych ośrodkach gorąca dyskusja, która znalazła szeroki wyraz na łamach prasy. Nie tylko pisma takie, jak „Po Prostu", ale i organ związków zawodowych „Głos Pracy" wraz ze specjalnym dodatkiem „Rada Robotnicza", a również i organ partii „Nowe Drogi" poświęcały wiele miejsca wszystkim spornym sprawom, dając głos zarówno tendencjom ograniczającym, jak i obrońcom samodzielności, i szerokiego zakresu działalności rad robotniczych. Obecnie, w warunkach zarysowujących się ograniczeń prasowych, wątpliwe jest, rozwinięcie się analogicznej dyskusji.

Na razie zlikwidowany już został dodatek „Głosu Pracy" pt. „Rada Robotnicza", który w 64 numerach, wydanych od

(2) Do momentu pisania artykułu, tj. do połowy maja.

stycznia ur. do 8 kwietnia br. dawał niejednokrotnie niezmiernie ciekawy materiał zarówno rzeczowy, jak i dyskusyjny, a na jego miejsce ukazał się w dn. 1 maja numer pierwszy nowego dodatku pt. ,,Głos Samorządu Robotniczego''.

W jego drugim numerze (6 maja) znajdujemy wypowiedzi sekretarzy organizacji partyjnych kilku zakładów pracy, które charakteryzują wymownie, jak środowisko partyjne w terenie rozumie cel przeprowadzonych zmian. Mówią oni :

,,Jeżeli mamy realizować w praktyce kierowniczą rolę partii to uważamy, że w zakładach pracy przez powołanie do życia konferencji samorządu robotniczego powstaną ku temu najlepsze warunki''. ,,W naszym zakładzie na 32 członków rady robotniczej tylko 5 jest członkami partii. Powołanie do życia konferencji samorządu robotniczego pozwoli nam bezpośrednio wprowadzić do współgospodarowania zakładem większą liczbę aktywu partyjnego... rozszerzy możliwości kontrolowania uchwał''.

I wreszcie: ,,Stworzenie konferencji samorządu robotniczego przyczyni się niewątpliwie do wzrostu autorytetu partii''. Zbyteczne są komentarze do tych znamiennych wypowiedzi.

Ciekawe natomiast światło na nastroje wśród załóg robotniczych rzuca artykuł redakcyjny w ,,Głosie Pracy'' z 29 kwietnia. Mówi on, że w niektórych zakładach pracy powołuje się już Konferencje Samorządu Robotniczego, że w rozmowach, przeprowadzonych przez redakcję ,,przytłaczająca większość ludzi'' uznała uchwalone zmiany za słuszne i pożyteczne. Jednocześnie jednak redakcja z oburzeniem stwierdza zbojkotowanie tego zagadnienia w Zakładach H. Cegielskiego. Na odbytej w tej fabryce dorocznej konferencji w dn. 26 kwietnia, w obecności ponad 600 delegatów fabrycznych rad robotniczych :

,,w obu obszernych sprawozdaniach — dyrekcji i rady robotniczej — sprawa Konferencji Samorządu Robotniczego bodaj że nie doczekała się wzmianki. Dyskusja również ominęła ten temat, mimo że na sali znajdowało się wielu aktywistów związkowych, zainteresowanych przecież, chociażby z urzędu, sprawą realizacji uchwał IV Kongresu Związków Zawodowych. ,,Cegielski'' nie jest zresztą przykładem odosobnionym. Wiadomo nam, że w wielu zakładach pracy sprawy w tym zakresie nie idą naprzód lub posuwają się ospale, z wahaniem...''.

Jak widać stąd uchwały Kongresu, przekreślające samodzielność i dotychczasowe uprawnienie rad robotniczych nie wywołały entuzjazmu w zakładach pracy, które nie śpieszą się do ich realizacji. Pominął je pogardliwym milczeniem zakład Cegielskiego, zakład, który dał hasło do buntu w Poznaniu.

Wątpić jednak należy, czy tego rodzaju bojkot będzie mógł trwać długo, szczególnie po zapowiedzianym już znowelizowaniu ustawy o radach robotniczych, które nada sankcję prawną ogłoszonym przez Gomułkę zmianom.

W ten sposób po półtorarocznym okresie ciężkiej pracy i pokonywania niezmiernych trudności, rady robotnicze stają dziś w obliczu, choć nie formalnej na razie, ale faktycznej likwi-

dacji. Wraz z nimi zlikwidowany zostanie samorząd robotniczy, mimo prób nadania mu pozorów dalszego istnienia.

Już w październiku ub. r. pisaliśmy na łamach ,,Kultury'' o kryzysie samorządu robotniczego, którego rozwiązanie zależało ,,od dalszego rozwoju sytuacji — przede wszystkim politycznej''. Niestety zmiany, jakie zachodzą ostatnio wskazują coraz wyraźniej, że nie ma dziś w Polsce miejsca na rozwój samodzielnego ruchu, jakim były powstałe w drodze rewolucyjnej rady robotnicze.

Ale idea samorządu robotniczego, reprezentowanego przez te rady nie da się zlikwidować. Pozostanie ona w świadomości rzesz pracowniczych, jako widomy znak, że robotnik może, powinien i potrafi brać czynny udział w zarządzaniu produkcją. I tego znaczenia rad robotniczych nie da się przekreślić.

Janina MIEDZIŃSKA

Wrażenia z podróży do kraju

Pożegnanie z krajem odbyło się osiemnaście lat temu na, sławnym już dziś, zaleszczyckim moście, wśród tłumu uchodźców i łańcucha samochodów. ,,forsujących'' kordon rumuńskich żołnierzy. W naiwności swojej próbowali oni stać na straży przepisów i prawa i domagali się paszportów. Potem dali za wygraną. Ostatnim ponurym odgłosem, jaki doszedł mnie od strony Ojczyzny, kiedy byłem już na terenie neutralnej Rumunii, był huk wybuchających bomb, zrzucanych przez samoloty niemieckie na most. Potem przyszła Rumunia, Palestyna, północna i południowa Rodezja, a wreszcie — dziesięć lat Południowej Afryki.

Na stary kontynent po raz pierwszy wstąpiłem ponownie w Hook Van Holland. Z zadowoleniem stwierdzam, że decyzja jazdy koleją (a nie samolotem), jak mi proponowano w Londynie, była słuszna. Dało mi to możność obserwacji i interesujących kontaktów z ludźmi, których byłbym pozbawiony lecąc. Siedzę więc przy oknie i śledzę z zainteresowaniem krajobraz, przesuwający się za szybą. Po brudnych, okopconych, ceglanych fasadach Londynu i okolicy, Holandia robi wrażenie pogodne. Migają regularne starannie obrobione poletka, poprzedzielane kanałami, gładkie, klinkierem wyłożone drogi, ujęte w krawężniki, grupy schludnych domków, krytych holenderką, o fasadach licowanych cegłą koloru ciemno-wiśniowego i białych ramach okiennych. Gdzieniegdzie nowsza, powojenna zabudowa wy-

różnia się swoimi żywszymi kolorami, jaśniejszym odcieniem cegły i barwnymi akcentami stolarki i okien stalowych. Cała Holandia robi wrażenie jak gdyby plastycznego modelu olbrzymiego założenia urbanistycznego. Nic nie zdaje się być tutaj przypadkowe, wszystko starannie przemyślane, wykonane i utrzymane w nieskazitelnej czystości. Nie widzi się prawie zupełnie ruder ani zaśmieconych przedmieści, zjawisko tak często nawet w bogatej Anglii. Daleko idąca elektryfikacja przemysłu i kolei odgrywa w tym niewątpliwie ważną rolę.



Smuga dymu z lokomotywy za oknem wagonu jest pierwszym zwiastunem przekroczenia granicy Niemiec Zachodnich. Znikają kanały, sieć dróg i zabudowa stają się mniej gęste, pojawiają się lasy sosnowe i wydmy piaszczyste, przesuwają się dawno niewidziane przeze mnie żółte prostokąty dojrzewającego zboża i rzędy snopów żyta i pszenicy. Miejscami krajobraz niczym się nie różni od polskiego.

Przez wiele lat przywykłem oglądać, poza miastami, krajobraz afrykański — rozległe przestrzenie żółtej, falującej trawy z rozsianymi rzadko drzewami o kształcie parasola i ciemno brązowe, niekiedy cynobrowe niemal, grupy skał i głazów, popstrzone kaktusami i aloesami. Ten przeskok do swojszczyzny działa w pierwszej chwili rozrzewniająco, ale reaklimatyzacja następuje bardzo szybko. Po kilku godzinach patrzę na ten krajobraz, jakbym z niego nigdy nie wyjeżdżał. Osiemnastoletni okres spędzony na emigracji cofa się w podświadomość. Czuję się znowu w swoim otoczeniu.

Anglicy obecni w przedziale tracą zwykłą pewność siebie ,,gospodarzy'', jaka nie odstępowała ich jeszcze na terenie Holandii. Obecnie ,,blade'' *foreigner*'y są w wyraźnej przewadze, a ja spotykam pierwszego Polaka z kraju, który wraca po kilkumiesięcznych studiach zagranicą.

Wypatruję ślady zniszczeń wojennych, ale z wagonu ich prawie nie widać. Od czasu do czasu wyłaniają się natomiast grupki nowych domów jednorodzinnych i większych bloków mieszkalnych, odmienne od holenderskich. Lśniące świeżymi tynkami o różnych barwach, wśród których przeważa kolor kremowy, różowy i terrakota. W zestawieniu ze stolarką malowaną przeważnie na biało, robią one wrażenie barwne i pogodne na tle zieleni krajobrazu oraz szarej zabudowy przedwojennej.



W Hannowerze zmiana pociągu. Niemcy obecni w przedziale są bardzo ,,gemütlich''. Zostaję wciągnięty w ożywioną rozmowę mimo, że jak obecnie dopiero stwierdzam, niemczyzna moja bardzo zardzewiała w ciągu 18-letniej bezczynności. Przerywa ją urzędnik stemplujący paszporty na granicy wschodnio-niemiec-

kiej. Mam uiścić opłatę w walucie ,,Republiki Demokratycznej'' muszę więc zmienić funty angielskie. Po wyjściu urzędnika jeden z pasażerów, który mieszka w Zachodnich Niemczech zwraca moją uwagę na dziwaczne stosunki jakie panują tu po ostatniej wojnie. Wskazując na młodą Niemkę z Republiki Wschodnio-Niemieckiej powiada : ,,Widzi pan, dzięki istniejącym u nas warunkom pani ta może na wymianie pańskich funtów zarobić na poczekaniu czterokrotną równowartość tych funtów w swoich pieniądzach. Jak panu wiadomo, mamy tu dwie waluty : zachodnią i wschodnią. Oficjalny kurs obu jest ten sam i wynosi około 11 Mk. za funta; nieoficjalnie jednak wszyscy płacą 5 Mk. wschodnich za jedną markę zachodnią. O ile pan więc obecnie wymieni 5 funtów angielskich u tej pani, otrzyma pan od niej 55 marek wschodnich, ta pani może wymienić te same funty u mnie na takąż ilość marek zachodnich, które z kolei bez trudności wymieni na Mk. 275 w swojej walucie. Jak pan widzi interes bardzo intratny i nie wymagający wielkiego trudu. Warunki, jakie u nas obecnie panują dają pole do wielu takich interesów, ale mimo to wolelibyśmy zrezygnować z tych możliwości i powrócić wreszcie do normalnych warunków życia''. Kto by tego nie pragnął !

◆

Gdy się jedzie przez Berlin z zachodu na wschód, okrężną linią kolejową, dziwne to miasto, poćwiartowane strefami okupacji przesuwa się za oknami wagonu jak na ekranie kinematograficznym. Przejazd z jednej strefy do drugiej odbywa się niepostrzeżenie i jedynie wprawne oko może to zauważyć na podstawie różnic w sklepach i obrazie ulicy. Berlin znam z okresu przedwojennego i niektóre fragmenty poznaję mimo wojennych okaleczeń. Najbardziej tragiczne wrażenie robi samo centrum miasta. Pociąg przejeżdża przez Sprewę i w niewielkiej odległości widać katedrę z wielką kopułą ,,skróconą'' o latarnię i przykrytą prowizorycznym daszkiem. Bliżej, przesuwają się fragmenty Zeughausu i muzeów. Wiele budynków jest tu jeszcze pozbawionych dachów i okien, z powalonymi stropami i poskręcanymi fragmentami dźwigarów stalowych. Wygląda to jak rodzaj rezerwatu zniszczeń wojennych, nietkniętych prawie od czasu, gdy toczyły się tu walki uliczne.

W strefie zachodniej na terenie ,,Tiergarten'' zwraca moją uwagę szereg budynków o ciekawej architekturze i barwnych kombinacjach materiałów budowlanych. Na dworcu dowiaduję się, że jest to międzynarodowa wystawa architektoniczna, tak zwana ,,Interbau'', o której istnieniu nie wiedziałem przed wyjazdem z Północnej Afryki. Niestety kilkugodzinna przerwa między pociągami nie pozwoliła mi na dokładne zwiedzenie tej ogromnej i przebogatej wystawy. Aby zapoznać się z tym co ofiarowywała ona już wtedy, gdy ją zwiedzałem potrzeba by co najmniej czterech do pięciu dni. A nie był to jeszcze koniec.

Wiele budynków było nieukończonych — budowa niektórych zaledwie rozpoczęta.

◆

Następnego dnia, odsłoniwszy firankę okienną w wagonie, po raz pierwszy od osiemnastu lat spojrzałem na Polskę. Dzień był dżdżysty i krajobraz wydał mi się szary i bezbarwny. Długie prostokąty rdzawo żółtych pól z rzędami ustawionych snopków, kępy drzew, a wśród nich strzechą kryte domki, drogi brukowane kocimi łbami i szlabany przy których stoją gromadki ludzi i furmanek konnych. Wszystko to jakbym oglądał wczoraj. Lata wojny i późniejsze przemiany przeorały wiele dziedzin życia polskiego, wydaje się jednak że najmniej dotknęły tej zewnętrznej skorupy polskiej prowincji. A jednak jest pewna zmiana. Ale zdaje się, że tkwi ona we mnie samym. Po kilkunastu latach tłuczenia się po świecie patrzę na ten krajobraz innym okiem i zauważam szczegóły, które dawniej uchodziły mojej uwadze. Wieś polska przechodzi okres modernizacji, jeśli można to tak nazwać i w tym procesie zatraca swój wyraz regionalny. Jak później przekonałem się dotyczy to w znacznie mniejszym stopniu okolic podgórskich, gdzie przywiązanie do form tradycyjnych jest znacznie silniejsze. Przejawia się to zresztą również w stroju, gwarze i w innych dziedzinach życia. Daleki jestem od wszelkiego konserwatyzmu — a ,,konserwatorstwo'' (w znaczeniu konserwacji zabytków) uważam osobiście za szkodliwe wszędzie tam, gdzie stoi na przeszkodzie postępowi, w wypadku jednak wsi i miasteczka chodzi o sprawę bardzo zasadniczą, chodzi o utrzymanie charakteru krajobrazu polskiego. Jest to więc z punktu widzenia narodowego zagadnienie ogromnej wagi. Co nam grozi ? Otóż zanosi się na to, że o ile proces ten nie będzie ujęty we właściwe ramy to za kilkadziesiąt lat zamiast wsi polskiej, możemy mieć rozsiane po naszej ziemi skupiska budynków, które wyglądem swoim nie będą niczym nawiązywać do naszej tradycji. Będą ponadto budziły dużo zastrzeżeń pod względem estetyki i solidnego budownictwa.

◆

Wczesnym rankiem wjeżdżam na dworzec ,,Warszawa Zachodnia''. Długie perony, zacienione osłonami o konstrukcji żelbetonowej. Z sąsiedniego peronu odjeżdżają żółto-niebieskie pociągi elektryczne kolei podmiejskiej. Wygląda tu po europejsku i wyczuwa się sąsiedztwo wielkiego miasta.

Na horyzoncie ukazuje się, dobrze mi znana z prasy, sylwetka ,,Domu Kultury'' — naiwnie neoklasyczna. W miarę jak się zbliżamy coraz wyraźniej rysują się koronkowe attyki, wieńczące poszczególne bloki i sylwetka nabiera posmaku cukierniczego.

Wjazd do Warszawy Głównej robi przykre wrażenie. Dworzec jest prowizoryczny, ale nawet w granicach tego pojęcia —

prymitywny. Nic tu nie uczyniono dla propagandy turystyki, ani dla reklamy w stosunku do podróżnych z zagranicy. Nowy powiew z Zachodu, który od dwóch lat ożywia architekturę i sztukę w Polsce i który zmiótł ostatnie ślady ,,socrealizmu'' — nie dotarł jeszcze widocznie tutaj. Wszystko tu wygląda szaro, bezbarwnie i bardzo prowincjonalnie.

Pierwszą moją wędrówkę w Polsce odbyłem w okolicach dworca głównego w Warszawie, oczekując na pociąg, który miał mnie zawieźć do Krakowa. Przyglądałem się z zaciekawieniem ludziom, domom i pojazdom. Chwilami zapominając gdzie jestem ze zdziwieniem stwierdzałem, że wszyscy dookoła mnie mówią po polsku. Przypominając sobie różne opowiadania o warunkach życia Polaków w kraju, jakie docierały do mnie zagranicą, porównywałem je z tym, co tutaj widziałem. Stwierdzałem więc, że ludzie, których spotykałem, nie byli tak źle ubrani, jak się tego spodziewałem. Przyczyniał się do tego może fakt, że był to dzień świąteczny. Nie wyglądali również na niedożywionych. Chodziłem po ulicach, które przetrwały wojnę i poznawałem elewacje poszczególnych domów. Patrząc na nie miałem chwilami uczucie jak gdybym widział twarze znajomych z młodszych lat. Przyglądałem się ich dobrze znanym rysom i jednocześnie uświadamiałem sobie, że osiemnaście lat lub więcej minęło od ostatniego z nimi widzenia, i że czas nie stał na miejscu lecz drążył głębokie bruzdy w ich twarzach, podobnie zresztą jak w mojej. Przez cały ten okres nie przeprowadzono na nich żadnego zabiegu kosmetycznego. Wszystko zdaje się tu być pozostawione naturalnemu procesowi starzenia się i niszczenia, w wielu wypadkach skutecznie przyśpieszonemu przez użytkowników.

W czasie moich późniejszych bytności w Warszawie miałem możność dość dokładnie zaznajomić się z odbudowanymi częściami miasta. Pod względem ilościowym to co zbudowano w okresie powojennym przedstawia się imponująco. Na obszarze całego niemal śródmieścia, między Nowym Światem i Alejami Ujazdowskiemi a ulicą Marszałkowską, nie widać już dziś prawie ruin. Z wyjątkiem bezpośredniego otoczenia tak zwanego ,,Pałacu Kultury'' cała ta część miasta jest już odbudowana. Wiele elewacji pozostaje jednak w stanie surowym, wykończenie innych wiele pozostawia do życzenia. Wątpliwości budzi też hierarchia potrzeb, jaką kierowano się przy odbudowie.

Całość robót budowlanych wykonanych po wojnie na terenie Warszawy podzielić można z grubsza na trzy kategorie : A) rekonstrukcje zabytków; B) biurowce i budynki urzędowe i C) mieszkania. Najwłaściwszym kryterium dla określenia stopnia ważności, jaki przyznano tym grupom, będzie porównanie tego, co zostało wykonane z potrzebami, jakie istniały w danej dziedzinie. Niestety, z braku cyfr i statystyk, posługiwać się tu muszę metodą szacunku na podstawie obserwacji, sądzę jednak, że będzie ona wystarczająco dokładna dla celów tego artykułu.

Oceniając w myśl tych zasad rozmiar robót wykonanych w tych trzech grupach trzeba dojść do wniosku, że pierwszeństwo przyznano rekonstrukcji zabytków historycznych. Z wyjątkiem zamku królewskiego, odbudowano w Warszawie chyba wszystkie budynki, które miały wartość zabytkową i trzeba przyznać, że dokonano tego z dużym znawstwem i osiągnięto na tym polu doskonałe rezultaty. Przeprowadzono nawet rekonstrukcję obiektu takiego, jak mury obronne dawnej Warszawy, które już dawno przed wojną uległy zniszczeniu. Nie było to chyba tak bardzo pilne ani pod względem społecznym, ani urbanistycznym. Biorąc pod uwagę, że odbudowa zabytków kalkuluje się na ogół drożej niż normalne budownictwo mieszkaniowe, trzeba wnioskować że stosunkowo duża część funduszów, przeznaczonych na budownictwo, zużyta została w tej grupie.

Na drugim miejscu w tej kolejności znalazła się budowa gmachów urzędowych i biurowców. W czasie mojego pobytu w Polsce z konieczności odwiedzić musiałem liczne tego rodzaju instytucje i to, co obserwowałem, bynajmniej nie wskazywało na istnienie jakiejś ciasnoty lokalowej w tej dziedzinie. Widziałem ludzi pracujących w warunkach całkiem zadawalających, a nawet w niektórych wypadkach komfortowych. Muszę stwierdzić, że zarówno w Europie, jak i w Afryce bywałem w biurach, w których praca odbywała się w znacznie gorszych warunkach lokalowych niż te, które obserwowałem w Polsce.

Całkiem inaczej przedstawia się sytuacja na odcinku mieszkaniowym. Gdy się przyjeżdża do Polski na urlop i odwiedza krewnych i znajomych — ten właśnie problem jest jednym z pierwszych, z którymi przychodzi się zetknąć. Oczywiście wszelkie porównania z warunkami, jakie obserwowało się na Zachodzie muszą być bardzo ostrożne. Co chwila dają znać o sobie fakty z niedalekiej przeszłości : sześć lat okupacji, zastój w budownictwie przez cały ten okres, zniszczenia wojenne, trudności ekonomiczne itp. Te okoliczności tłumaczą wiele, nie tłumaczą jednak faktu dlaczego budownictwu mieszkaniowemu nie przyznano w programach budowlanych ubiegłego okresu tego miejsca, jakie ze względu na swoje znaczenie społeczne mieć powinno. Otóż, opierając się na przyjętych wyżej zasadach, trzeba dojść do wniosku, że znalazło się ono na trzecim miejscu w tych programach. Rozmiar niezaspokojonych potrzeb na tym polu pozostaje olbrzymi a udręki na jakie tysiące ludzi jest wystawionych skutkiem braku już nie tylko ogniska domowego, ale często nawet znośnego pomieszczenia, nie mogą się chyba porównać ze szkodą jaką społeczeństwo ponosiłoby na skutek nieodbudowania takiego lub innego pałacu barokowego.

Jak stwierdzają krajowi znawcy tego problemu, poprawa na tym polu w ciągu ostatnich lat była minimalna, albo prawie żadna. Złożyło się na to kilka przyczyn. A więc przede wszystkim nadmiernie szybki rozwój przemysłu i wynikłe stąd zapotrzebowanie rąk roboczych w miastach. Jak się okazuje mimo ogromnego nacisku, jaki kładzie się w Polsce na planowanie, proces

ten nie był należycie zsynchronizowany z przyrostem kubatury mieszkalnej. Drugim faktem, który zaważył tu bardzo silnie, to ogromny powojenny przyrost ludności w Polsce, który rocznie wynosi ok. 1.000.000 i jest największym w Europie. Do tego doszedł w ostatnich latach przyrost z imigracji Polaków z Rosji. Dalszy wreszcie fakt to, że na skutek braku remontów domów przedwojennych wiele z nich już dziś właściwie do zamieszkania się nie nadaje.

Trzeba jednak zanotować w ostatnich czasach pewne posunięcia, które z czasem mogą wpłynąć na poprawę stosunków. Poza tym, że, jak się zdaje, w budownictwie państwowym większy nacisk kładzie się obecnie na mieszkania, rząd udziela pomocy finansowej kooperatywom typu przedwojennego to jest opartym na zasadzie, że mieszkania stanowią własność prywatną członków. Udziela się również bardzo dogodnych kredytów na budownictwo prywatne.

Jednym z najczęstszych pytań, z jakimi spotykam się po powrocie z kraju jest : Jak wygląda Warszawa? Czy bardzo się zmieniła? Czy wygląd jej się poprawił? Wyczerpująca odpowiedź na te pytania mogłaby wypełnić obszerny odczyt lub osobny długi artykuł, tutaj więc, z konieczności, ograniczyć się muszę do skrótów, opierając się na osobistych obserwacjach i ocenie. A więc jeśli chodzi o zmiany w wyglądzie to mam wrażenie, że mało jest miast na świecie, które w niedługim stosunkowo okresie lat osiemnastu zmieniłyby się tak znacznie, jak Warszawa. Całe obszerne partie miasta jak ulica Marszałkowska, Plac Warecki, dzielnice pomiędzy ulicami Marszałkowską, Alejami Jerozolimskimi i Ujazdowskimi zmieniły całkowicie swój wygląd. Nieliczne przedwojenne kamienice, jakie jeszcze utrzymały się tutaj tkwią w zupełnie obcym otoczeniu, odcinając się od niego swym charakterem, który odzwierciedla inną epokę i inne warunki społeczne. Zwracają one też uwagę swoim zaniedbaniem Niestety braki w konserwacji dają się już zauważyć także w budownictwie powojennym.

Powyższe partie miasta odbudowane zostały przeważnie w okresie, kiedy w architekturze obowiązywał tak zwany soc-realizm czerpiący swoje natchnienie głównie ze stylów końca XVIII i początku XIX stulecia. Najmniej to zaważyło na dzielnicy biurowej, położonej w okolicach ulic Kruczej i Mokotowskiej. Architektura, jaką tu zastosowano jest najmniej obciążona wpływami historycznymi. Jest ona rzeczowa i spokojna, i w ogóle posiadałaby dużo zalet, gdyby nie jej nużąca monotonia. Wszędzie ta sama faktura w postaci kamiennej okładziny, żadnego urozmaicenia w materiale czy barwie, żadnego akcentu wysokościowego, żadnej reklamy — antyteza Wall Street czy Picadilly Circus.

Podobny typ architektury zastosowany na krańcu tej dzielnicy w budynku ,,Metaleksportu'' wolnostojącym, a więc nie stanowiącym fragmentu półkilometrowej serii i uwieńczony wielkim napisem — wygląda nowocześnie i interesująco. Przyczynia

się do tego także dobre przedpole w postaci skweru z barwnymi klombami kwiatów.

O architekturze tak zwanej Marszałkowskiej Dzielnicy Mieszkaniowej pisano już dużo i ja też do tej dyskusji wtrącałem moje trzy grosze. Wiadomo więc, że ,,fasadowość'', że niewspółczesny ekletyzm, że brak rzeczowości. W rezultacie jednak nowy, dzisiaj już zakończony, rozdział wpisany tu został do bogatej historii miasta. Architektura końca XIX i początku XX stulecia którą wojna niemal całkowicie zmiotła z powierzchni w ten sposób znowu zajęła tu swoje miejsce. Przyznać trzeba, że stało się to w sposób nieco sztuczny i teatralny, niemniej jednak dzisiaj Plac Konstytucji i jego otoczenie stanowią najbardziej wielkomiejski fragment stolicy.

Nowa Warszawa posiada szereg nowych i atrakcyjnych założeń urbanistycznych, jak bardzo efektowny, w barokowym stylu utrzymany park i taras Frascati z piękną perspektywą w dół ku Wiśle, nowy ,,Stadion Dziesięciolecia'', parki i promenady wzdłuż wybrzeży wiślanych itd. Są wreszcie pięknie zrekonstruowane ulice i fragmenty zabytkowe, jak Stare Miasto i Nowe Miasto, Krakowskie Przedmieście i Nowy Świat. Wydaje mi się co prawda wątpliwe, czy słuszne było rekonstruować ten ostatni wedle dawnych wzorów, z uwagi na to, że jest jedną z najważniejszych arterii komunikacyjnych i handlowych — ale ot już inna sprawa. Jednym z najprzyjemniejszych zakątków zrekonstruowanej starej Warszawy jest Rynek Nowomiejski, gdzie wprowadzono barwne akcenty w postaci polichromii i kolorowych tynków. Jest tu też przytulna cukiernia z tarasem i kolorowymi parasolami, dobrze harmonizująca z pogodną 18-wieczną atmosferą otoczenia.

W sumie można mieć takie czy inne zastrzeżenia co do niektórych fragmentów i założeń nowej Warszawy, niemniej jednak jest tu myśl przewodnia i urbanistyka dobrej szkoły jaką była (i prawdopodobnie jest) Politechnika Warszawska i to stanowi jej zasadniczą przewagę w stosunku do dawnego miasta, którego struktura określona była chaotyczną improwizacją okresu zaborczego.

◆

Przed wyjazdem do Polski ,,ludzie przezorni i doświadczeni'' przestrzegali mnie, że doznam tam wielu rozczarowań w obcowaniu z ludźmi. Wojna i emigracja, powiadali, stworzyła przepaść między nami i ,,ich'' mentalność jest dzisiaj już całkiem inna od naszej. Otóż jak to już często bywało w czasie ostatniej wojny, ,,ludzie przezorni'' mylili się. Bajka o ,,odmiennej mentalności'' nie ma żadnego pokrycia w warunkach krajowych, chociażby dlatego, że taka jednolita ,,mentalność'' w ogóle tam nie istnieje. Rozpiętość poglądów społecznych, politycznych itd. jest tak samo wielka wśród Polaków krajowych, jak wśród emigracji, a w obecnych warunkach otrzymuje nieskrępowane ujście w rozmowach i dyskusjach.

Oczywiście że są wśród Polaków na emigracji ludzie, którzy na jotę nie drgnęli od swojego przedwojennego credo politycznego i społecznego. Takim trudno się będzie pogodzić z niektórymi zmianami, jakie po wojnie w Polsce nastąpiły. Wielu jest pod wpływem swoistej ,,Greuel Propagandy'', prowadzonej przez niektóre koła emigracyjne pod hasłem dziwacznie pojętej służby sprawie narodowej. Propaganda ta skierowana jest przeciwko wszystkiemu, co pochodzi z kraju i nie oszczędza także samego społeczeństwa.

Po powrocie do Afryki zaproszony zostałem na zebranie pewnej organizacji społecznej, w czasie którego zapytywano mnie o wrażenia z podróży do kraju. Moim wypowiedziom przeciwstawiano stale opinie innych, ,,właściwie'' na sprawy patrzących, a przedstawiających społeczeństwo polskie jako łapowników, pijaków i złodziei. Kiedy jednemu z moich rozmówców zwróciłem uwagę, że w tutejszym kraju z uczciwością też nie jest najlepiej, mimo że wszystkiego jest pod dostatkiem, uczuł się dotknięty w swojej lojalności obywatelskiej. Wreszcie odczytał opinię ,,wiarygodnego świadka'', zaczynającą się od słów ,,Przed tygodniem przyjechałem do Warszawy i cały czas chodzę tutaj jakby mi ktoś obuchem dał w głowę''... Po czym następuje wyliczenie okropności, jakie rzekomo widzi się w kraju. Przyznam się, że nigdy pałką w głowę nie dostałem, nie znam więc tego wrażenia, ale uczucia jakich doznawałem, gdy po osiemnastu latach znalazłem się znowu w Polsce, na pewno nic z tym nie mają wspólnego.

Moje kontakty z Polakami w kraju były jedną z największych przyjemności tej wyprawy, przyjemności jakiej nie mogłaby mi dostarczyć żadna inna podróż. Nie napotkałem na żadne trudności ze strony władz, a wszelkie czynności urzędowe zredukowane były do minimum i odbywały się w atmosferze uprzejmości i życzliwości.

Stanisław PIOTROWSKI

Z wypadków lotniczych gen. Sikorskiego

W ostatnim czasie ukazało się kilka, a może nawet kilkanaście, opracowań i artykułów w miesięcznikach i pismach w Kraju i na emigracji, poruszających sprawę katastrofy lotniczej w Gibraltarze w lipcu 1943 roku, w której poniósł śmierć Naczelny Wódz Polskich Sił Zbrojnych i Premier Polski, generał Władysław Sikorski, wraz z Szefem Sztabu N. W. generałem Tadeuszem Klimeckim oraz płk. dypl. Andrzejem Mareckim, szefem oddziału operacyjnego Sztabu N. W. Do tych głosów pragnę dorzucić mój, oparty na osobistym przeżyciu lotu z generałem Sikorskim do Stanów Zjednoczonych z Anglii, a raczej ze Szkocji, w marcu 1942 roku. Podaję przebieg wypadków w porządku chronologicznym, ściśle według zapisek w moim dzienniku.

20 *marca* 1942 *roku.* Lotnisko Prestwick. Szkocja.

Generał Sikorski od kilku dni jest w Gasku, w Szkocji. Czekamy na dobrą pogodę, potrzebną na puszczenie się lotem na drugą stronę Atlantyku. Siedzimy wobec tego w Prestwick, na lotnisku i potwornie się nudzimy, nawet nie ma co czytać. W gronie naszym są: ksiądz prałat Z. Kaczyński — wice-minister Informacji w Rządzie Polskim w Londynie, dr Retinger — radca Prezydium Rady Ministrów, podpułkownik dypl. Protasewicz, podpułkownik obs. dypl. Kleczyński, który jest wyznaczony świeżo na attaché lotniczego do Washingtonu, no i jestem ja, towarzyszący generałowi Sikorskiemu, jako Zastępca Szefa Sztabu Naczelnego Wodza. Trochę denerwujemy się ciągłym odkładaniem lotu i pytania w sprawie lotu oczywiście kierujemy do płk. Kleczyńskiego.

Materiały drukowane w tym dziale zamieszczane są na odpowiedzialność autorów i nie są wyrazem poglądów Redakcji.

22 *marca* 1942 *roku*. Montreal. Kanada. Hotel Ritz-Carlton.

Płk. Kleczyński jest naturalnie wyrocznią w sprawie lotów; ma on za sobą ponad setkę bojowych lotów bombowych. Kleczyński dla dodania nam odwagi i wiary w doskonałość i niezawodność środków ratowniczych współczesnego lotnictwa, opowiada o swojej wojennej przygodzie, kiedy Niemcy zestrzelili go nad Kanałem La Manche w tym roku; będąc lekko ranny w nogę nawigował, z pomocą drewnianej łopatki, w małej gumowej łodzi, w kierunku brzegów angielskich, aż go łódź ratunkowa marynarki brytyjskiej wydobyła w stanie półprzytomnym i odstawiła na brzeg, wprost do szpitala. Skutek opowiadania Kleczyńskiego jest raczej wręcz przeciwny, nie wzmocniło to ani trochę naszej wiary w środki ratownicze samolotu. Zadajemy Kleczyńskiemu zasadnicze pytanie: czy nie ma różnicy w warunkach podobnej, jak miał on ,,nawigacji'' w łódce gumowej, pomiędzy kanałem La Manche, a północnym Oceanem Atlantyckim, w dodatku w końcu marca. Pułkownik Kleczyński, po chwilowym namyśle, odpowiedział, że naturalnie jest duża różnica, ale co najmniej 1 % (jeden procent) szans istnieje na uratowanie i że należy to przyjąć za pewnik niewzruszony. Po tym oświadczeniu pułkownika Kleczyńskiego, które przyjęliśmy w zrezygnowanym milczeniu, dr Retinger, który otwarcie przyznaje się, że ,,nie kocha'' wszelkich podróży powietrzem, maca się po kieszeni, aby sprawdzić, czy posiada butlę whisky, którą uważa za najskuteczniejszy i najbardziej niezawodny środek na wszelkie ewentualności podróży samolotem.

Przydział do zajęcia miejsc na wypadek potrzeby w łodziach ratowniczych wyznacza mnie i dra Retingera do łodzi, przeznaczonej dla generała Sikorskiego. Instruktor, młody porucznik R.A.F., ze skupioną powagą mówi nam, że w momencie, kiedy samolot będzie dotykał wody — oceanu Atlantyckiego — należy się czegoś mocno trzymać i odprężyć wszystkie stawy ciała, aby nie doznać skutków wstrząsu; następnie doradza, aby odczekać spokojnie aż samolot dobrze osiądzie na wodzie (może utrzymać się na niej, zależnie od warunków, do 5 minut), i wtedy na rozkaz dowódcy samolotu wszyscy mają pojedyńczo opuszczać kabinę przez wyjście ratunkowe. Opuszczać samolot oznacza, jak nam wyjaśnia młody porucznik R.A.F., rzucać się na fale oceanu Atlantyckiego i dopłynąć do wyznaczonej łodzi, która, już napełniona automatycznie powietrzem, powinna znajdować się w pobliżu samolotu, w zasięgu liny, na której jest umocowana. Wszystko to było ilustrowane zdjęciami z ćwiczeń, ale brzmiało nieprawdopodobnie teoretycznie. Po wysłuchaniu tej instrukcji powtarzam sobie, w duchu oczywiście, raz jeszcze moje postanowienie: w razie wypadku pozostaję na miejscu, w samolocie, nie ruszam się i koniec. Przypomina mi się nagle zabawna historyjka ukraińska o tym, jak pewien chłop ukraiński, siedzący z niezamąconym spokojem na brzegu rzeki z wędką w ręku, widząc swego znajomka, tonącego w rzece na wiel-

kiej głębi, rozpaczliwie przywołującego pomocy i walczącego z całych sił o ratunek, powiada z flegmą: „Nie rypajteś, kumie! Opuskajtesia na dno!"

O godzinie 1.45 (w nocy 21 marca 1942 roku) zajmujemy miejsca w samolocie. Jest to samolot „Liberator No. A M 262", czteromotorowy, taki sam „latający wieloryb", jakim przyleciałem w lipcu zeszłego roku (1941) z Nowego Yorku do Prestwicku. Następuje bardzo staranne rozgrzewanie motorów i próby każdego silnika oddzielnie i wszystkich czterech jednocześnie. O godzinie 2.20 ruszamy do miejsca startu. Jest z nami oficer z dowództwa portu lotniczego, który wysiada na chwilę przed startem. Ruszamy wreszcie. Start jest czysty i lekki. Bierzemy szybko wysokość i po godzinie lotu jesteśmy już na wysokości 20.000 stóp. Zakładamy maski tlenowe. Warunki lotu są doskonałe, nic nie rzuca. Po dalszych dwóch godzinach windujemy się na 30.000 stóp. Jest nam bardzo zimno w samolocie. Trudno oddychać nawet przy używaniu tlenu. W samolocie jest nieprawdopodobnie niewygodnie. Generał Sikorski, pułkownik Protasewicz, dr Retinger i ja siedzimy na górce samolotu na miejscach, gdzie przy lotach bojowych siedzą radiotelegrafiści. Są to haniebnie wąskie ławeczki, na których absolutnie nie mieszczą się Generała i moje kształty, powiększone wydatnie przez kombinezony lotnicze. Przyjmujemy kolejno coraz bardziej nieprawdopodobne pozycje. Generał Sikorski usiłuje spać. Retinger i Protasewicz siedzą zgięci we dwoje i ja razem z nimi. Ksiądz prałat Kaczyński i pułkownik Kleczyński leżą na dole samolotu na workach i kocach. Wydaje się że śpią. Oprócz naszego zespołu jest jeszcze 10 innych pasażerów i 7 osób załogi. Palić tym razem nie wolno, co utrudnia mi bardzo przetrzymanie wlokącego się nieznośnie czasu. Nastaje świt. Niebo naokoło nas różowieje. Jesteśmy w piątej godzinie naszego lotu przez Atlantyk z Anglii do Ameryki. Z dołu samolotu wyłazi pułkownik Kleczyński i trzymając jedną rękę w kieszeni kombinezonu przechodzi obok nas, na tył samolotu gdzie za niezbyt dyskretną i szczelną płachtą brezentową jest garderoba. Gdy mija mnie, mam wrażenie, że jest chory, że cierpi na chorobę powietrzną (wymioty). Po paru minutach chciałem pójść do niego ale nie ryzykuję bez maski tlenowej, którą trzeba by wyłączyć; jestem nie przyzwyczajony do lotu na dużych wysokościach, boję się, że nie dojdę. Pułkownik Kleczyński siedział w garderobie około trzech kwadransów. Niepokoiłem się o niego bardzo, ale ponieważ nic nie było słychać, żadnych gwałtownych odgłosów, sądziłem po prostu, że uwalnia się od skutków choroby powietrznej. Wreszcie Kleczyński wyszedł z garderoby i powrócił na swoje dawne miejsce. Miał jakby lepszą minę.

Samolot tymczasem schodzi na dół, na 15.000 stóp. W pięknej słonecznej pogodzie lecimy ku Nowej Funlandii. Powinniśmy tam lądować w dwunastej albo czternastej godzinie lotu. O godzinie 14 (czas Prestwick) zawiadamia nas dowódca samolotu, że nad Nową Funlandią panuje burza śnieżna, lądo-

wanie jest tam niemożliwe i że wobec tego lecimy wprost do Montrealu w Kanadzie. Po dalszych pięciu godzinach lotu, lecąc na niskim pułapie, już bez masek tlenowych, lądujemy bardzo zręcznie na lotnisku w Montrealu. Po 18 i pół godzinach siedzenia w niezwykłych pozycjach w samolocie wychodzimy nareszcie na stały grunt: na ziemię. Podziwiam wytrzymałość fizyczną generała Sikorskiego — ma on 62 lata, jest o 16 lat starszy ode mnie, a wychodzi z samolotu zupełnie świeży, ma powitalny uśmiech i ożywione zapytania i odpowiedzi dla witających go na lotnisku osób, między innymi naszego ministra spraw zagranicznych Raczyńskiego, konsula Brzezińskiego i pułkownika Ilińskiego, attaché wojskowego w Kanadzie, oraz przedstawicieli władz Kanadyjskich.

Po powitaniach jedziemy do hotelu Ritz-Carlton. Jestem zupełnie wykończony tą podróżą lotniczą, spać mi się chcę okropnie. Generał Sikorski — widząc nasz stan — daje nam wszystkim wolne do jutra rana. Jutro popołudniu konferencja prasowa, a wieczorem odjazd koleją do Washingtonu.

Wieczorem w hotelu telefonuje do mnie pułkownik Kleczyński z zapytaniem, czy może w ważnej sprawie zaraz przyjść do mnie. Jestem trochę zdziwiony, jaka to może być sprawa, że aż niezwłocznie musi mi ją przedstawić, ale proszę go, aby przyszedł. Wciągam na siebie szlafrok, bo już byłem rozebrany.

Pułkownik Kleczyński za chwilę przychodzi; przynosi w ręku jakąś większą paczkę, zawiniętą w gazetę. Bez żadnych wstępów, bez żadnego zdenerwowania zupełnie spokojnym tonem, pułkownik Kleczyński melduje mi, że ten oto przedmiot znalazł w samolocie. Rozwija paczkę z gazety i podaje mi metalową czarno lakierowaną puszkę, o wymiarach mniej więcej 8,5 cali; do górnej części puszki doczepione są druty, jakby do połączenia z prądem elektrycznym. Pierwszy raz widzę podobny przedmiot więc zaskoczony, zdziwiony zapewne, zapytuję go, co to jest i dlaczego dopiero teraz zawiadamia mnie o tym, dlaczego nic nie mówił o tym w czasie naszego lotu. Pułkownik Kleczyński w odpowiedzi podaje mi następujące szczegóły: w mniej więcej czwartej godzinie lotu, poczuł pod sobą jakiś twardy przedmiot i zarazem posłyszał syczenie, jakby ulatniającego się gazu lub powietrza pod ciśnieniem. Sięgnął ręką pod materac i znalazł tę puszkę. Rozerwał druty, które były ze sobą połączone (z baterią) i zastanawiał się, co ma dalej czynić. Zamierzał początkowo otworzyć okno w samolocie i przez nie wyrzucić puszkę, lecz uznał to za ryzykowne z uwagi na duże zmniejszenie szybkości lotu. Postanowił więc czekać. Po jakimś czasie syczenie ustało. Wówczas poszedł do garderoby i tam czekał myśląc, że jeżeli puszka nie ostygnie, wyrzuci ją przez otwór, znajdujący się w ustępie. Po godzinie czasu jednak, kiedy puszka zupełnie ostygła, powrócił na swoje miejsce i postanowił nie zawiadamiać nikogo o tym, aż do czasu przylotu do Montrealu. Pułkownik Kleczyński *przypuszcza*, że *jest to bomba zapalająca*, która była *pod-*

rzucona do samolotu wiozącego generała Sikorskiego na lotnisku w Prestwick w Szkocji i nastawiona na czas — mniej więcej czwartej albo piątej godziny naszego lotu — a więc na moment, kiedy powinniśmy byli być, i rzeczywiście byliśmy, nad samym środkiem Oceanu Atlantyckiego. Pułkownik Kleczyński dodaje przy tym, że, gdyby bomba zapaliła się, nie byłoby sposobu opanowania pożaru, samolot spłonąłby w kilkanaście lub kilkadziesiąt sekund. Pułkownik Kleczyński zna osobiście podobne zapalające aparaty, będące w użyciu lotnictwa brytyjskiego, służące dla niszczenia samolotów własnych na wypadek przymusowego lądowania na terytorium nieprzyjaciela.

Po wysłuchaniu pułkownika Kleczyńskiego przez dłuższą chwilę milczałem pod wrażeniem tej wiadomości; potem usłyszałem pytanie : — ,,co Pan Pułkownik rozkaże dalej uczynić ?" — Odetchnąłem głęboko i po krótkim zastanowieniu nakazałem pułkownikowi Kleczyńskiemu zachowanie całej tej sprawy w absolutnej tajemnicy i niewyjawianie jej nikomu aż do dalszych moich rozkazów. Po przybyciu do Washingtonu zastanowię się nad tą sprawą — powiedziałem pułkownikowi Kleczyńskiemu — a przede wszystkim będę starał dowiedzieć się, co to za rodzaj sprzętu i dlaczego nie zapalił się. Zobowiązałem płk. Kleczyńskiego raz jeszcze do zachowania tajemnicy i na tym sprawę na razie zakończyliśmy. Puszka — a raczej bomba zapalająca pozostała u mnie.

Po odejściu pułkownika Kleczyńskiego zastanawiałem się głęboko nad tym wypadkiem, co to wszystko ma oznaczać? Sabotaż przeciwko generałowi Sikorskiemu? Przygotowany w tak straszliwy sposób, aby zginął bez żadnego śladu, bez świadków, pośrodku Atlantyku, na wysokości 30.000 stóp — czyje to może być dzieło?

Pułkownika Kleczyńskiego przedtem nie znałem zupełnie; pierwszy raz spotkałem go właśnie w Prestwick. Nic o nim nie wiem, z wyjątkiem tego, że ma wysokie odznaczenia bojowe polskie i angielskie już z tej wojny i że jest znanym z dzielności oficerem lotnictwa bombowego. W czasie gdy w Prestwick czekaliśmy kilka dni na odlot do Ameryki pułkownik Kleczyński nie udzielał się, stronił od nas wszystkich, od towarzystwa, i całymi dniami leżał na łóżku w swoim pokoju, w hotelu lotniska. Przy rzadkich spotkaniach mówił nam, że po ranie i ciężkich przygodach na kanale La Manche jest ciągle chory i czuje się bardzo osłabiony.

Przyrządu — bomby zapalającej — który leży przede mną nie znam absolutnie, nie widziałem nigdy. Pułkownik Protasewicz jest saperem, oficerem inżynierii, musi więc znać się na tym dobrze, trzeba się z nim naradzić. Wezwałem telefonicznie pułkownika Protasewicza do siebie; było już bardzo późno (godzina 2 w nocy) więc przyszedł mocno zaspany. Objaśniłem go pokrótce, o co chodzi i podałem mu ów przedmiot. Po obej-

rzeniu przyrządu pułkownik Protasewicz okrzekł, że jest t
bomba czasowa, zapalająca, o wielkie
sile działania i bardzo szybkim efekcie zapa-
lającym. Pułkownik Protasewicz, dzielny żołnierz, któr
nie jedno widział w czasie tej wojny, powtarza: „No, no! al
nas chcieli ładnie urządzić! To jest zamach na generała Sikor
skiego!" — Uradziliśmy po przyjeździe do Washingtonu po
prosić Oddział II Sztabu Generalnego Stanów Zjednoczonyc
o fachową ekspertyzę tej bomby zapalającej. Omówiliśmy spo
soby zachowania największych środków bezpieczeństwa wzglę
dem osoby generała Sikorskiego w czasie pobytu w Ameryc
a zwłaszcza w drodze powrotnej. Zdecydowałem się przed
wszystkim, że w czasie pobytu w Stanach generał Sikorski bę
dzie podróżował wyłącznie koleją, a najchętniej w ogóle byn
wyeliminował wszelkie podróże lotnicze generała Sikorskiego
Wypadek ostatniego lotu jest pierwszym ostrzeżeniem
cudem, bardzo szczęśliwie, ominęliśmy śmiertelne niebezpie
czeństwo, ale jeśli był to naprawdę zamach na życie generał
Sikorskiego — a wszystko wskazuje, że tak jest — to nie uleg
najmniejszej wątpliwości, że będą powtórzenia podobnych za
machów. Najważniejsze jest znalezienie odpowiedzi: czyja t
może być robota?

Odechciało nam się spać z pułkownikiem Protasewiczen
i paląc bez końca papierosy, przesiedzieliśmy prawie do same
go ranka, omawiając raz jeszcze całą naszą podróż samoloten
i starając się rozwiązać potworną zagadkę: kto to zro
bił i dlaczego?

24 *marca* 1942. Washington.

Przez majora Stefana Dobrowolskiego, zastępcę attach
wojskowego w Washingtonie (ma on odpowiednie kontakty
oddałem zapalający przyrząd, znaleziony przez płk. Kleczyńskie
go w samolocie, którym przylecieliśmy do Kanady z Anglii, d
ekspertyzy fachowej tutejszego — U.S.A. — Oddziału II Sztab

28 *marca* 1942 *roku*, Washington.

Otrzymałem pisemny wynik ekspertyzy od G-2 (Oddział I
Sztabu Generalnego U.S.A.) w sprawie zapalającej „świecy"
naszym „Liberatorze" w drodze do Stanów, a także pisemn
zeznanie płk. Kleczyńskiego, o które prosili go przeze mnie of
cerowie amerykańscy z G-2. Ani generał Sikorski ani w ogól
nikt jeszcze o wypadku tym nic nie wie; tajemnica jest zach
wana dobrze. Postanowiłem nie mówić nic generałowi Siko
skiemu. Jak powrócimy do Londynu opowiem całą sprawę g
nerałowi Klimeckiemu. Może do tego czasu wyjaśni się kto i p

co to zrobił. Głowię się nad tym, jak będziemy wracali do Londynu. Czy samolotem, tak, jak było powiedziane Anglikom — czy też okrętem?

Odpis tłumaczenia z angielskiego ekspertyzy G-2 U.S.A.:

,,Przedmiot znaleziony przez ppłk. Kleczyńskiego po zbadaniu laboratoryjnym przez Oddział II Sztabu Generalnego U.S.A. w Washingtonie, D. C. okazał się ,,zapalającą świecą" o wielkiej mocy. Załączony wynik prześwietlenia promieniami ,,X" (co zostało dokonane przed zdemontowaniem) i dołączone części pozwalają na odtworzenie mechanizmu zapalającego. Mały drut, przechodzący poprzez miedzianą tubę, która po zerwaniu zwalnia zastawkę sprężyny, naciskając przez to na zapalnik i powodując zapalenie się świecy. Płomień z zapalnika przechodzi poprzez lont do bocznych tub i warstw prochu, znajdującego się pod materiałem zapalającym. Zerwanie drutu uzyskuje się przez rozbicie szklanej tuby, zawierającej Cu Cl 2. — W tym wypadku szklana tuba nie była rozbita, możliwe, że dodatkowy mechanizm zdemontowany przez płk. Kleczyńskiego, mógłby spowodować w ograniczonym czasie rozbicie szklanej tuby, ponieważ był to rodzaj puszki, przytwierdzonej do górnej części ,,świecy". — Nie było możliwe określenie pochodzenia mechanizmu na podstawie oddzielnych części, lecz niewątpliwie jest to przedmiot masowej produkcji. Nie były brane odciski palców, ponieważ na zewnątrz puszki świecy było ich bardzo dużo, jedne na drugich, natomiast żadnych wewnątrz.

Zeznanie pisemne podpułkownika obs. dypl. Kleczyńskiego: ,,Leżąc na materacu na podłodze samolotu, poczułem silny zapach palącej się gumy. W obawie, że jest to krótkie spięcie w przewodach elektrycznych, zacząłem szukać źródła pod materacem. Gdy wsunąłem rękę pod materac, wyczułem gorący przedmiot i wydobyłem silnie rozgrzaną bombę zapalającą, na której końcu była pokrywa, obwiązana czarną taśmą. Pokrywa była tak rozgrzana, że już się dymiła. Zerwałem drut, który łączył pokrywę z bombą i pobiegłem do tylnej części samolotu (toaleta), aby oddalić się od zbiorników z benzyną, a będąc tam chciałem wyrzucić na zewnątrz bombę; wyrzuciłem do toalety tylko pokrywę. Nie wyrzuciłem bomby ponieważ musiałbym rzucać ją przez drzwi do skoku paraszutowego, przez co niewątpliwie musiałaby się obniżyć szybkość lotu samolotu. Poza tym uświadomiłem sobie, że bomba nie jest już więcej skuteczna, ponieważ rozłączyłem ją z pokrywą, zrywając drut łączący. Małe rozmiary bomby wskazywały, że nie jest ona typu wybuchowego, a w razie gdyby zapaliła się, miałem zawsze możność wy-

rzucenia jej. Z drugiej strony jednak, nie będąc pewien czy dokonane przeze mnie rozłączenie było skuteczne, nie ryzykowałem ani pozostawienia bomby, ani wyrzucenia jej przez okno. Usiadłem przy oknie i czekałem, aż bomba ostygnie; gdy się to stało byłem pewny, że niebezpieczeństwo minęło. O powyższym złożyłem meldunek Zcy Szefa Sztabu Naczelnego Wodza płk. dypl. Leonowi Mitkiewiczowi".

(Oryginały angielskie obu tych dokumentów są podane w przypisku Nr. 1)

Zeznanie ppłk. Kleczyńskiego nie jest całkowicie identyczne z tym, co mi mówił w Montrealu, zwłaszcza sprawa pokrywy. Nie poruszam na razie tej sprawy, aż do powrotu do Londynu. Jedno tylko muszę bezwarunkowo zrobić jeżeli wracamy samolotem do Anglii, mianowicie przez tegoż podpułkownika Kleczyńskiego dopilnować bezpieczeństwa generała Sikorskiego w drodze powrotnej samolotem do Londynu. Wszystko zdaje się wskazywać na to, że miał miejsce zamach na generała Sikorskiego i cudem prawdziwym uniknęliśmy śmierci w płomieniach samolotu nad samym środkiem Atlantyckiego Oceanu. Ekspertyza amerykańska przezornie i nader ostrożnie nie podaje pochodzenia ,,świecy zapalającej". Według zdania naszych tutejszych fachowców (z Oddziału II Sztabu) jest to produkt pochodzenia brytyjskiego, używany w lotnictwie brytyjskim.

30 *marca* 1942 *roku.* (W pociągu New York — Ottawa)

W południe w hotelu Mayflower w Washingtonie, generał Croner podejmował mnie w specjalnym apartamencie pożegnalnym śniadaniem; obecnych było sześciu starszych oficerów G-2, pułkowników; w większości byli to dawni attachés amerykańscy w Europie, w tej liczbie dwóch byłych attachés wojskowych z Moskwy (płk. Iwan Eaton). Generał Croner bardzo mile przemówił do mnie i żegnając mnie wypowiedział ze specjalną intonacją słowa: ,,God bless you!" Generał Croner z pewnością wie i zna wyniki ekspertyzy G-2 i nasze przejścia w drodze do Stanów Zjednoczonych. Właśnie o to mi najbardziej chodziło, ażeby Sztab Generalny U.S.A. wiedział o zamachu na Polskiego Naczelnego Wodza w drodze z Anglii do Ameryki.

Później, w drodze pociągiem, korzystając ze sposobności, w poufnej w cztery oczy prowadzonej rozmowie, opowiadam pokrótce księdzu prałatowi Z. Kaczyńskiemu o zamachu na generała Sikorskiego. Ks. Kaczyński przyjmuje tę wiadomość z rzetelnym przerażeniem. Żegna się znakiem Krzyża Świętego. Uważam, że musiałem go, jako członka Rządu Polskiego, poinformować o wszystkim, aby w razie czego, Rząd Polski wiedział o tym fakcie. Ks. prałat Kaczyński jest wice-ministrem w Ministerstwie Informacji i pozostaje jeszcze jakiś czas w

Stanach. Ks. Kaczyński dodaje od siebie parę szczegółów co do zachowania się płk. Kleczyńskiego w czasie podróży samolotem; zwróciła jego uwagę duża nerwowość płk. Kleczyńskiego, ale przypuszczał, że Kleczyński rozchorował się; ks. Kaczyński nie widział momentu wyjmowania „świecy" przez Kaczyńskiego, ale w y d a w a ł o mu się, że c z u ł podejrzany zapach, j a k b y p a l ą c e j s i ę g u m y.

1 *kwietnia* 1942 *roku*. Montreal. Hotel Windsor.

Lecimy samolotem do Londynu, tak jak było pierwotnie zamiarem gen. Sikorskiego. Sądzę, że możemy zaryzykować. Wydaję polecenia ppłk. Protasewiczowi i ppłk. Kleczyńskiemu udania się wspólnie do Dowódcy Lotniczego Okręgu (w Montrealu) celem poufnego zawiadomienia go o naszym wypadku w drodze z Anglii i zażądania w moim imieniu zastosowania wszystkich najbardziej drastycznych środków ostrożności i ochronnych na czas powrotnej podróży generała Sikorskiego. Pułkownik Kleczyński otrzymuje ode mnie ponadto rozkaz osobistego zrewidowania samolotu przed lotem i kontroli wszystkich przyrządów. Pułkownik Protasewicz ma omówić sprawę warty przy samolocie przed startem w Montrealu i w czasie prawdopodobnego zatrzymania się w Nowej Funlandii (Gander). Zastrzegam się kategorycznie przed tym, aby oficerowie brytyjscy i kanadyjscy o cokolwiek zapytywali generała Sikorskiego — mają pytać się tylko mnie; generał Sikorski nie jest wtajemniczony w tę sprawę. Płk. Protasewicz ma oprócz tego doręczyć poufnie Dowódcy Okręgu Lotniczego w Montrealu wyniki ekspertyzy G-2 i zeznania ppłk. Kleczyńskiego.

3 *kwietnia* 1942 *roku*. Lotnisko Gander. Nowa Funlandia.

Dopiero dzisiaj po południu, o godzinie 15-ej ,przylecieliśmy do Gander. Po zaalarmowaniu w Montrealu kanadyjskich władz wojskowych wiadomością o „świecy zapalającej" w naszym samolocie w drodze z Anglii, uczynił się wielki ruch. Cały dzień 2 kwietnia 1942 roku spędziłem na rozmowach z przedstawicielami brytyjskich i kanadyjskich władz wojskowych. Doraźny skutek polega na opóźnieniu odlotu o jeden dzień, ale również na całkowitym zapewnieniu bezpieczeństwa, w granicach ludzkich możliwości, na powrotną drogę. Wszystko stało się zgodnie z moimi żądaniami. Samolot generała Sikorskiego został zrewidowany z czynnym udziałem płk. Kleczyńskiego, zostały sprawdzone przyrządy, samolot zaplombowany, wystawiono warty. Samolot będzie oddany załodze przez specjalnego oficera przed samym startem. Podróż mamy odbyć tylko w naszym, polskim, zespole w towarzystwie załogi i specjalnie wyznaczonego starszego oficera lotnictwa kanadyjskiego.

Pułkownik Kleczyński melduje mi wykonanie rozkazu o rewizji ,,Liberatora'' i żegnając mnie wręcza mały, miniaturowy, obrazek Matki Boskiej Częstochowskiej w brązie, mówiąc z ogromnym wzruszeniem : ,,Niech opieka Matki Bożej będzie zawsze z Panem !''

Start z Montrealu nastąpił o godzinie 10-ej dnia 3 kwietnia 1942 roku. W Gander lądujemy o godzinie 14.45. Samolot nasz natychmiast obstawiają wartami. Otrzymujemy specjalne przepustki na prawo wyjścia i poruszania się na terenie lotniska. Do naszego samolotu mamy prawo powrócić tylko w towarzystwie specjalnie do nas przydzielonego oficera. Są to skutki naszych montrealskich rozmów. Generał Sikorski jest trochę zdziwiony tymi niebywałymi obostrzeniami; tłumaczę mu, i reszcie towarzystwa, że prawdopodobnie wyszły nowe przepisy o zachowaniu bezpieczeństwa lotów.

6 kwietnia 1942 roku. Gask. Szkocja.

Przelot w powrotnej drodze byłby zupełnie pomyślny, gdyby nie kłopoty z maskami tlenowymi. W drugiej połowie lotu, w 6 albo 7 godzinie, maski zaczęły odmawiać posłuszeństwa pozamarzały na nic. Nie było zapasu masek na zmianę. W ósmej godzinie lotu generał Sikorski ciężko omdlał z powodu braku dopływu tlenu. Zaalarmowany pilot sprowadził samolot na 10.000 stóp i omdlenie generała Sikorskiego ustąpiło szczęśliwie. Wszyscy zresztą doznaliśmy znacznej ulgi. Po 10 godzinach lotu szczęśliwie lądujemy w Prestwick. Cała załoga ,,Liberatora'' i towarzyszący nad od Montrealu pułkownik lotnictwa kanadyjskiego, który wiezie do Londynu dokumenty dotyczące bomby zapalającej i wyniki wstępnego śledztwa w Kanadzie, wyrażają manifestacyjnie wielką radość że lot został zakończony pomyślnie. Generał Sikorski przyjmuje to jako należne mu poniekąd z urzędu; ma on dla każdego z nich słowo osobistego podziękowania i uścisk dłoni, szczególniej dla kapitana Stuarta, dowódcy samolotu.

Dopiero w Gasku, w południe, mamy święcone według pełnej tradycji polskiej. Na święta Wielkiejnocy przyjechały z Londynu pani Helena Sikorska i pani Zofia Leśniowska, córka pp. Władysławostwa Sikorskich. Obecność pań nadaje charakter rodzinny spóźnionej o jeden dzień ceremonii święconego. Raz jeszcze składamy sobie życzenia. Są one przy każdej do rocznej uroczystości poza Polską niezmienne i te same : ob na przyszły rok święcone już było w domu, u siebie, w Polsce Generał Sikorski opowiada o pobycie w Stanach, o lotach prze Atlantyk w obie strony, o komicznych i zarazem przykryc przypadkach choroby powietrznej ministra R. i radcy B. w dro dze powrotnej, które zniszczyły doszczętnie nowy płaszcz ,,Bu berry'' płk. Protasewicza. Nikt wszakże z obecnych, poza mn i płk. Protasewiczem, nic nie wie jakie poważne niebezpiecze

stwo przeżyliśmy. Przy stole, przy śniadaniu, w obecności żony i córki generała Sikorskiego mówię umyślnie, ze specjalnym naciskiem, że jestem zdecydowanie przeciwny wszelkim lotniczym podróżom generała Sikorskiego; dowodzę, że zawierają one za dużo ryzyka, a generałowi Sikorskiemu w imię interesów Polski i dla Jej dobra nie wolno narażać swego życia. Generał Sikorski przygląda mi się przez dłuższą chwilę z dużą uwagą i odpowiada, że jest p r z e k o n a n y, iż wcześniej, czy później, c z e k a g o ś m i e r ć w jednym z lotów, chciałby tylko, aby nie nastąpiło to, zanim n i e z a k o ń c z y s w o j e j p r a c y jaką on prowadzi w czasie tej wojny, zanim n i e p o w r ó c i z n a m i w s z y s t k i m i d o W o l n e j P o l s k i.

Cały stół, wszyscy zebrani — panie, generał Klimecki, pułkownik Borkowski, dr Retinger, rotmistrz de Virion — słuchają z dużym zaciekawieniem tego wywodu generała Sikorskiego.

21 *maja* 1942 *roku*. Londyn. Hotel Rubens.

Zaraz po powrocie do Londynu zakomunikowałem generałowi Klimeckiemu, Szefowi Sztabu Naczelnego Wodza, bardzo szczegółowo nasz wypadek w samolocie ze „świecą zapalającą". Przyjęte to było nieco sceptycznie i jakby z pewnym niedowierzaniem. Mniejsza z tym. Prosiłem gen. Klimeckiego, aby na razie, do zakończenia śledztwa, nic nie mówił o tym generałowi Sikorskiemu, bo, pomimo wszystko, rozgada on to po całym świecie.

Dzisiaj Brytyjska Intelligence Service przystąpiła do dochodzeń w sprawie zamachu na generała Sikorskiego w czasie jego lotu do Ameryki. W związku z tym byli u mnie w Sztabie N. W. dwaj gentelmeni z I. S. celem badania mnie i płk. Protasewicza. Z zachowania się ich i ze stawianych mnie i Protasewiczowi pytań odniosłem wrażenie, że się bardzo podejrzliwie i nieufnie odnoszą do zeznań pułkownika Kleczyńskiego. Od pułkownika Kleczyńskiego nadszedł właśnie pisemny raport, w którym podaje, że znaleziona przez niego w „Liberatorze" zapalająca bomba jest pochodzenia brytyjskiego i produkowana jest masowo w Wielkiej Brytanii.



Pułkownik Kleczyński nie długo był attaché lotniczym w Washingtonie. W końcu roku 1942 został odwołany i przeznaczony na wykładowcę taktyki lotnictwa w naszej Wyższej Szkole Wojennej w Szkocji. Tam, w roku 1943 albo 1944 zginął w wypadku samochodowym. Tak się złożyło, że nigdy już więcej nie widziałem pułkownika Kleczyńskiego od czasu pożegnania w Montrealu w kwietniu 1942 roku. W czerwcu 1942 ro-

ku byłem przeniesiony ze Sztabu N. W. do 1 dywizji pancernej generała Maczka jako zastępca Dowódcy Dywizji, a w marcu 1943 roku generał Sikorski wysłał mnie do Stanów Zjednoczonych Ameryki. Po odejściu ze Sztabu N. W. więcej nic nigdy nie słyszałem o wynikach dochodzenia prowadzonego przez władze brytyjskie, w związku z zamachem na generała Sikorskiego w czasie jego podróży samolotem z Anglii do Ameryki w marcu 1942.

Leon MITKIEWICZ

1) Ekspertyza G-2 : ,,The object found by Wing Commodore B. Kleczyński after its laboratory examination by G-2 in Washington, D.C., was found to be an ,,incendiary candle" of powerful capacity. The enclosed X-rays (taken before dismantlement) and the enclosed parts allow to reconstrue the inflammatory mechanism. The little wire passing through the coper tube when broken releases the valve spring pushing this at the ignitions. The fire from the ignition passes through the wick to the side tubes to layers of pocked powder underneath the incendiary material. Breaking the wire caused by smashing the glass tube which contains Cu VI 2. In the case the glass tube was not smashed, probably the additional mechanism, disconneted by Wing Commodore Kleczyński, could produce in a limited period of time the smashing of the tube, as it was some sort of box which was attached to the upper part of the ,,candle". It was no possible to so specify the origin of the mechanism from the different parts, but it is an item o mass production. No fingerprints were taken, as on the outside there were too many, one blurring other, and any of them inside".

Zeznania ppłk. obs. dypl. B. Kleczyńskiego : ,,Lying on mattresse on the floor I smelled a strong odor of burning rubber. In fear that there was a short-circuit in the electrical installations I started to search for the fire underneath the mattresses, As I slipped my hand underneath on o mattresses I felt great heat and pulled out a greatly heated incendiary bomb at the end of which there was a cap wound with a black tape. The cap was so hot that tape was already smoking. I broke the wire which connected the cap with the bomb and ran to the tail compartment to get away from the gasoline tanks of aircraft and there I threw the cap into the toilet. I did not throw the bomb out of the airplane as I would have had to throw out through the parachute door, which no doubt would lessen the spred of the airplane. Besides I realised that the bomb was no longer effective since I disconnected it with the cap. The small proportion of the bomb showed that it was not explosive and in case of fire I could always throw it out. On the other hand not being sure whether or not the disconnection was effective, therefore, I could not either leave the bomb or get away from the window. I sat by the window for one hour; as the bomb cooled off it assured me that all danger had passed. I reported this to Deputy Chrief of the Polish General Staff Colonel L. Mitkiewicz in Montreal Canada immediately after our arrival there".

Nowa powieść francuska

Powojenna powieść francuska nie wybiega na ogół poza dobre fabrykaty, wyrabiane przez pisarzy posiadających dużą kulturę i świetnie znających rzemiosło. Nie pojawił się żaden powieściopisarz na miarę nie tylko Prousta, ale choćby Gide'a, Martin du Garda lub Jules Romaina. Sartre miał mniej do powiedzenia w prozie, niż w dramacie; długi szereg nagród literackich przedstawił publiczności autorów niewątpliwie utalentowanych, ale stojących na przeciętnym poziomie, a najlepsza bodaj pozycja — to ,,Mandaryni'' Simone de Beauvoir, powieść źle skompowana i źle napisana, ale poruszająca problemy aktualne i blisko obchodzące wielu pisarzy. Nagroda Nobla, przyznana Albertowi Camus jest nie tyle ukoronowaniem dzieła literackiego, (chociaż *l'Etranger* a zwłaszcza *Upadek* są niewątpliwie utworami w swoim rodzaju doskonałymi) — ile uwieńczeniem walorów moralnych, które obecnie reprezentuje ten pisarz. Wpływ jego jest ogromny, ale — podobnie jak było z André Gidem — całokształt jego twórczości prawdopodobnie nie wytrzyma próby czasu. Lektura francuskiej produkcji powieściowej z ostatnich lat wyraźnie świadczy, że pewna żyła kruszconośna została wyczerpana; analiza psychologiczna — przy pomocy obowiązującego we Francji od wielu lat stylu pisarskiego — nie potrafiła odnowić swych metod i odkryć nowego człowieka. Dlatego tak duże powodzenie mają przekłady z literatur obcych, a zwłaszcza — powieści amerykańskie.

Nic więc dziwnego, że pojawiło się ostatnie wiele prób znalezienia nowych form wyrazu. Wprawdzie zazwyczaj nie wyszły one poza fazę eksperymentu, ale mimo to zasługują na baczną uwagę. Idą one w różnych kierunkach; trudno byłoby więc mówić o jakiejś jednolitej linii. Można jednak zauważyć tendencję do stworzenia nowej konwencji naturalistycznej, (a raczej pseudonaturalistycznej). Autor stara się często ukazać główną osobę, ,,bohatera'' powieści, poprzez natłoczenie różnych, drobnych,

pozornie mało znaczących szczegółów. Waga przywiązywana do tej drobiazgowej opisowości, pozwala na narzucenie wstydliwego płaszcza na stronę psychologiczną, która nie tyle jest wyrażana lub opisywana, ale rejestrowana przez bacznego obserwatora, operującego z pełną, naukową obiektywnością. Aby to tym bardziej podkreślić ,,bohater'' przybiera często postać, jak najbardziej przeciętnego przedstawiciela małomieszczaństwa, jest buchalterem, komiwojażerem lub handlowcem, ale wydarzenia, które wdzierają się w jego życie należą do sfery faktów zatrącających o kronikę policyjną. Nieco rzadziej zaczerpnięte są one z deformacji psychologicznej, widzianej poprzez kalectwo. (Od czasów Faulknera motyw kalectwa lub dziedzicznego obciążenia psychopatologicznego jest coraz częściej spotykany w powieści i w dramacie, występuje on m.in. w *Końcówce* Becketta i w powieści *Molloy* tegoż autora, oraz u Claude Simona).

Równocześnie, nad niektórymi z tych powieści unosi się. wbrew pozorom, atmosfera przesiąknięta romantyzmem. Mają one w sobie coś z powieści naturalistycznej, ale często przypominają powieść detektywną. Czasem odczuwa się jakieś pokrewieństwo duchowe z *Le Grand Meaulnes* Alaina Fournier. Na wstępie *L'emploi du temps* Butora figuruje plan miasta Bleston i w wątek powieści wpleciony jest motyw zbrodni, który po bardzo drobiazgowych opisach i rozważaniach, po kierowaniu podejrzeń w fałszywym kierunku — okazuje się nierealny. W *Portrecie nieznajomego* Nathalie Sarraute równie nieuzasadnione okazują się przypuszczenia amatora-detektywa, szpiegującego starszego człowieka i jego córkę. Mimo ogromnie drobiazgowego opisywania wszystkich jego czynów i myśli, niezbyt dobrze wiemy o co chodzi. W przedmowie do tej książki Sartre słusznie nazywa ją ,,antypowieścią'', bo ,,chodzi tu o podanie w wątpliwość powieści przez nią samą, o zniszczenie jej przed naszymi oczyma w czasie, w którym zdaje się ona budować, o napisanie powieści o powieści, która nie powstaje, która nie może powstać stworzenie fikcji, która byłaby dla wielkich dzieł Dostojewskiego i Mereditha tym, czym było dla obrazów Rembrandta i Rubensa płótno Miro noszące tytuł *Zamordowanie malarstwa''*. To określenie Sartre'a, jeśli chodzi o *Portret nieznajomego* jest niewątpliwie słuszne, natomiast bardziej wątpliwe wydaje się twierdzenie, że tę antypowieść czyta się jak powieść detektywną : od początku zdajemy sobie sprawę, że mamy do czynienia z fikcją, zbudowaną z papieru, która nie ma nic wspólnego z prawdziwym życiem.

W *La modification* Butora znajdujemy podobną drobiazgowość, jak w poprzedniej powieści tegoż autora. Akcja powieści toczy się w pociągu jadącym do Rzymu, dokąd udaje się Delmont, kierownik paryskiego biura jednej z włoskich firm maszyn do pisania. W momencie gdy w Paryżu wsiada on do pociągu zdecydowany jest zerwać z żoną, aby rozpocząć nowe życie ze sprowadzoną z Rzymu kochanką. Przed przyjazdem do ,,wiecznego miasta'' Delmont zmienia swój zamiar, gdyż zdaje

sobie sprawę z tego, że Cecile złączona jest dla niego nierozerwalnie z Rzymem i przeniesiona do Paryża niewiele będzie się różnić od żony, którą pragnie porzucić. Powieść napisana jest w całości w drugiej osobie, jakby autor zwracał się bezpośrednio do Delmonta prowadząc z nim rozmowę.

W nieco odmiennym tonie utrzymane są powieści Claude Simona i Alaina Robbe-Grillet. *Le Vent* (*Wiatr*) Claude Simona cechuje również skłonność do pozornej drobiazgowości, ale równocześnie jest w tej powieści jakaś rzadko spotykana siła i tchnienie romantyczne. Historia miłości do zwykłej służącej, zatrudnionej w trzeciorzędnym hotelu, całkowicie pochłaniająca będącego już w dojrzałym wieku Montèsa, jest doskonale napisana i wykracza daleko poza to banalne streszczenie. Montès jest niewątpliwie człowiekiem o słabej inteligencji, ale budzi sympatię, i tragiczne powikłania do których prowadzi go to uczucie — bynajmniej nie wydają się sztuczne. Również i ta powieść, której realizm można by określić jako romantyczny, zawiera motyw morderstwa, ale wątek kryminalny różni się całkowicie od elementów detektywnych Butora czy Natalii Sarraute, gdzie od razu zdajemy sobie sprawę z ich fikcyjności, mimo naturalistycznej drobiazgowości tła, mającej na celu wprowadzenie w błąd czytelnika. Montès jest postacią nierealną; człowiek normalnie myślący niewątpliwie nie postępowałby w ten sposób, ale mógłby on istnieć w życiu, dlatego bynajmniej nas nie razi i nie wydaje się sztuczny. Drobiazgową rozwlekłość niektórych ustępów równoważy niezwykła plastyczność opisów, poza którą wyczuwa się kraj realnie istniejący. Styl Claude Simona nosi piętno oryginalności, dlatego nie rażą zdania, których długość przypomina Prousta.

La jalousie Alaina Robbe-Grillet jest eksperymentem utrzymanym w zupełnie innym stylu. Bohaterka powieści, której nazwiska nie znamy, określona przez autora skrótem ,,A...'' siedząc z Franckiem na tarasie domu położonego w jakiejś kolonii francuskiej w Afryce, powraca myślą do poprzedniego dnia, gdy wyjechała z nim do portu. Dowiadujemy się następnie, że na skutek popsucia się samochodu nie wrócili w normalnym terminie i spędzili noc w drodze, ale autor nie daje nam żadnych bliższych informacji i nie wiemy czy motor istotnie się zepsuł czy też był to tylko pretekst. Do końca powieści nie wiemy również co zaszło między Franckiem i ,,A...'', mamy tylko wrażenie, że w czasie tej rozmowy na tarasie, (a może podczas jazdy do portu), nastąpiła jakaś zmiana w ich wzajemnym stosunku. Nie wiemy wreszcie, czy tytuł *La jalousie* należałoby związać z zazdrością czy też — co wydaje się bardziej prawdopodobne — z przesunięciem się promieni słońca w okiennicy.

Te wszystkie książki posiadają raczej charakter eksperymentu niż trwałego osiągnięcia. Butor, a zwłaszcza Nathalie Sarraute, mają pewną manierę, niewątpliwie nie pozbawioną oryginalności, ale nie zawierającą elementów nadających się, do rozwinięcia w przyszłości. Powieści te opierają się na specjalnej

konwencji, mającej pozory nie tyle realizmu, ile naturalizmu, al poniważ zdajemy sobie sprawę z jej sztuczności, ani przez chwilę nie zapominamy, że jesteśmy na przedstawieniu, że mamy do czynienia z aktorami, a nie z rzeczywistymi ludźmi.

Ta konwencja występuje w nieco odmiennej formie u Robbe-Grilleta, gdzie posiada pewien odcień poetyczności, a zwłaszcza u Claude Simona, gdzie często traci nawet charakter sztucznej konwencji, gdyż ukazane w niej osoby wydają się bardziej prawdziwe, nie trudno nawet odgadnąć, że w pewnym sensie jest to *roman à clef,* powieść z kluczem, przedstawiająca rzeczywiste zdarzenia i ludzi realnie istniejących. Równoczesne pojawienie się kilku powieści eksperymentalnych świadczy, że wielu pisarzy odczuwa potrzebę wyjścia poza banalne, zgrane już doszczętnie eksploatowanie stanów psychicznych, związanych duchowo z epoką minioną i szuka nowych dróg. Wątpliwe jest, czy te eksperymenty formy zawierają trwałe wartości. Przewaga elementów destrukcyjnych w antypowieści jest zbyt przygniatająca, by można było myśleć o próbie syntezy. Wreszcie, co najważniejsze, nie wydaje się, by te eksperymenty wyszły poza form by dotarły już do nowego człowieka.

Jan BRZĘKOWSKI

Marek Hłasko a « Trybuna Ludu »

Do Redaktora „Kultury"

Szanowny Panie!

Zwracam się do Pana, jako do redaktora „Kultury" i Wydawcy mojej książki „Cmentarze" i „Następny", z prośbą o udzielenie mi kilku szpalt.

Jak Pan wie, książka moja wydana przez Pana, spotkała się z gwałtownym atakiem „Trybuny Ludu". Nie wchodząc w polemikę z oceną artystyczną książki, pragnę jednak zaznaczyć, iż rzeczony atak nosi niedwuznaczny charakter donosu policyjnego — co sugeruje sam tytuł „Primadonna jednego tygodnia" — jak również pragnę podkreślić, że natychmiast po przeczytaniu „Trybuny Ludu" napisałem w tej sprawie list otwarty do redakcji, który jednak do dzisiejszego dnia nie został opublikowany. Ponieważ w donosie policyjnym, który spowoduje prawdopodobnie moją śmierć cywilną w Polsce, autor nazywa mnie zdrajcą i przemytnikiem broni przeciwko komunizmowi — muszę starać się bronić za pośrednictwem pisma wydawanego przez Pana i liczyć na to, że choćby w ten sposób moi czytelnicy w Polsce będą mogli się dowiedzieć, co sądzę o publikowaniu w „Trybunie Ludu" donosu policyjnego. Używam tego terminu świadomie ponieważ artykuł ten nie zasługuje na inną nazwę; używam tego terminu świadomie, ponieważ zdaję sobie sprawę, że artykuł ten pozostanie hańbą redakcji „Trybuny Ludu"; używam tego terminu świadomie, bez względu na to przez kogo ten artykuł jest inspirowany i kto kryje się pod pseudonimem „SKIZ". Nie mam zbyt wysokiego pojęcia o własnej osobie, pragnę jednak podkreślić, że książkę w której starałem się porachować ze złym czasem, miałem jednak odwagę podpisać własnym nazwiskiem. Nie wydaje mi się rzeczą godną uznania, aby wyrok śmierci cywilnej na pisarza, ferować pod pseudonimem. Trudno mi bowiem uwierzyć, aby donos policyjny podpisany przez SKIZA był wyrazem poglądów całej redakcji.

Zainteresuje Pana może również fakt, iż to samo opowiadanie „Cmentarze", dzięki któremu zarobiłem na epitet zdrajcy i przemytnika broni przeciwko komunizmowi — zostało zakupione — w grudniu 1956 r. — na odcinek przez redakcję „Trybuny". Jak więc Pan widzi, kariera pisarza w totalizmie jest rzeczą niebezpieczną. Zbyt szybko człowiek staje się ze współpracownika organu partii — zdrajcą i nikczemnikiem, którego

piętnuje anonimowy donosiciel, i któremu redakcja nie daje szansy obrony. Proszę Pana więc, aby wydrukował Pan mój list do „Trybuny Ludu".

Marek HŁASKO

PRIMADONNA JEDNEGO TYGODNIA ?

Najpierw suche stwierdzenie: na międzynarodowym rynku literatury antykomunistycznej pojawiło się nowe nazwisko — Marka Hłaski. Pupil znacznej części naszej zdezorientowanej krytyki, laureat Nagrody Wydawców, opublikował w Paryżu, u emigracyjnego nakładcy książkę złożoną z dwu opowiadań: „Cmentarze" i „Następny do raju". Szum, jaki w związku z tym zaczynają podnosić pisma i rozgłośnie zachodnie, każe przypuszczać, że będziemy świadkami zwykłego w takich wypadkach spektaklu, z huczną reklamą beniaminka w całej prasie kapitalistycznej i zgiełkliwą radością wszystkich wrogów komunizmu od Bonn do Nowego Orleanu. Hłasko wyciągnął „wielki los": ma szanse stać się na Zachodzie primadonną jednego politycznego tygodnia.

Od dłuższego już czasu rozważni czytelnicy Hłaski zwracali uwagę na fałszywy kierunek jego rozwoju. Nagroda Wydawców spotkała się z bardzo niejednolitym przyjęciem. Było wielu poważnych przeciwników wieńczenia tak dostojnym laurem debiutanta, którego wprawdzie pierwsza książka przynosiła jeszcze protest przeciw bezduszności w stosunkach między ludźmi, złu i obłudzie, w obronie czystych uczuć ludzkich — ale w dalszej praktyce pisarskiej protest ten przeradzał się w manifestację postawy nihilistycznej w stosunku do *wszelkich wartości*. Epatowanie brutalności szczegółów, silenie się na opisy stanów patologicznych, lakiernictwo „na odwrót", pozerska imitacja „czarnej" literatury Zachodu — to była widoczna już w roku 1957 aktualna rzeczywistość pisarstwa Hłaski, której jeszcze w styczniu 58 nie chcieli widzieć niektórzy krytycy i jurorzy Nagrody Wydawców. A jeszcze w marcu br. *dokładnie* w tym samym dniu, kiedy w Paryżu schodziły z maszyny ostatnie egzemplarze „Cmentarzy", w Warszawie ukazał się numer „Nowej Kultury", w którym pisarze i publicyści tego tygodnika rozpływali się nad słusznością uwieńczenia Hłaski. Żałosne widowisko!

...Szli krzycząc: talent! talent! Olśnieni talentem zaciskali mocno powieki, nie chcieli dostrzegać postępującej degrengolady ideowej pisarza. Nawoływali do pozostawienia go samego sobie — niech dojrzewa w ciszy! niech krystalizuje swe „prawdy wewnętrzne"! „*Nikt z nas nie ma danych przypuszczać* — pisał w lutym jeden z bezkrytycznych apolegetów „Wielkiego Marka" — *że wie lepiej niż Hłasko, jak on sam ma żyć i pisać. Przezorniej byłoby nie udzielać mu żadnych dobrych rad i jeszcze przezorniej nie rzucać mu żadnych niepotrzebnych kłód pod nogi. T r z y m a j s i ę, M a r e k!*". Okrzyk ten powtórzyli następnie autorzy Kroniki Filmowej.

Dziś chyba i Henryk Bereza widzi już do czego doprowadziła ta „przezorność". Jeśli był naprawdę przyjacielem Hłaski i wielbicielem jego talentu, powinien był wołać: „R a t u j s i ę, M a r e k!" Nie wołał. Przeszkadzał innym wołać. Jakie tego skutki?

Mówi o tym nowa książka Hłaski. Opowiadanie „Następny do raju" czytelnik polski zna z lektury w jednym z popularnych tygodników, gdzie nosiło ono wymowny tytuł „Głupcy wierzą w poranek" (domyślne: t y l k o głupcy...). Artur Sandauer nazwał to opowiadanie „*pisanym lewą nogą i obliczonym na najbardziej brukowy efekt*", „*groteskowym amalgamatem*

wieszczych pretensyj z naśladownictwem zachodnich bestsellerów". Utwór, powstający zdaje się z odcinka na odcinek, zawiera moc niechlujności kompozycyjnych i stylistycznych; autor zapominał w następnym tygodniu, na czym skończył w poprzednim, powoływał do życia uśmiercone już postacie... W wydaniu książkowym był czas usunąć te niekonsekwencje, wygładzić całość. Gdzie tam, wszystko zostało bez zmiany! Czy tak bardzo śpieszyło się Hłasce po nowe laury z rąk nowych mecenasów?

Ale nie w tych szczegółach rzecz, lecz w wymowie, w „filozofii" „Następnego do raju". Hurrapesymizm znany już z „Ósmego dnia tygodnia", łamiący wszelkie prawdopodobieństwa akcji, naginający ją do powziętych z góry, modnie „czarnych" założeń osiąga tutaj już wyraźne ostrze i sens polityczny, który w pełni ujawni się i rozwinie w „Cmentarzach". Najkrócej mówiąc, polega on tu na zaprzeczeniu humanistycznego sensu socjalizmu i możliwości jego realizacji; na propagowaniu niewiary w samego człowieka, w jego zdolności, siłę i wartości moralne.

Lecz dopiero „Cmentarze" opowieść z gruntu polityczna, ukazują aktualny punkt d o j ś c i a Hłaski. Dopiero w „Cmentarzach" czyta się wpływ nie Hemingwaya, patrona wielu opowiadań z „Pierwszego kroku w chmurach", nie Dostojewskiego, ojca „Pętli" nawet nie Arnauda — jawnym naśladownictwem jego „Ceny strachu" jest „Następny do raju" — ale wprost i bezpośrednio s a m e g o Orwella, klasyka i mistrza współczesnego paszkwilu antykomunistycznego. Orwell na każdym kroku, na każdej karcie! Wymowna jest ta zmiana patronów — na coraz podrzędniejszych, lecz za to coraz „celniejszych" politycznie.

Nie będę tu referował treści Hłaskowego paszkwilu. Wystarczy, jeśli podam scenerię utworu i morały autora. Rzecz dzieje się w Warszawie. Ale Warszawa to szczególna: Warszawa zarzyganych pijaków w rynsztokach, prostytutek, wabiących z bram przechodniów, nędznych, zastraszonych ludzi przemykających się między patrolami wojska i milicji, kłamliwych plakatów na parkanach, Warszawa ponurego bezuśmiechu i błota, błota, lepkiego, wsysającego błota, oświetlona jednym krwawym neonem „Sztandaru Młodych" — wykrzyknikiem beznadziejności i grozy. Tak widzi Hłasko swoje miasto.

A Polska? Polska to strach podłość, oszustwo, terror, nienawiść i obłuda, rozpacz i pijaństwo, ruiny domów i ludzi, pustynie uczuć, c m e n t a r z e zaufania, *„nadziei, wszystkich słów, wszystkich pojęć, wszystkich marzeń o wyzwoleniu człowieka..."* Tak widzi Hłasko swój kraj i naród. To już jest paszkwil, nie tylko na ustrój, lecz na społeczeństwo.

Co zostaje ludziom? Wódka.

A myśl? jasny promień marzenia? krzepiąca moc idei?... Nie łudźcie się, naiwni! Idea jest przekleństwem, lecz *„ludzie nie obejdą się bez idei. Nigdy. Łatwo byłoby zdychać, gdyby to był już ostatni wielki mit ludzkości... ŻEBY LUDZIE JUŻ NIGDY NIE UWIERZYLI W ŻADNE SŁOŃCE"!*

Nie ma już więcej słów. Nie mówmy o czarnym lakierze, o czarnych okularach, skoro wszystko zostało do dna powiedziane. I niech mi nikt nie przypomina, że akcja „Cmentarzy" toczy się w roku 1952, bo Hłasko pisze je w roku 1957 z pasją *najwspółcześniejszą*, a w roku 1958 sprzedaje je — poza krajem w ręce międzynarodowych handlarzy bronią przeciw komunizmowi. „Trzymaj się, Marek!" — „Nieźle się trzymam": to fragment nieudzielonego wywiadu Marka Hłaski.

Talent?... Talent nie wystarcza. Potrzebne są jeszcze — rozum i charakter A tych zabrakło.

Trybuna Ludu, nr. 95/97, 5-6-7 kwietnia 1958.

SKIZ

CHWILECZKĘ, GRABARZE...

Nie leży to w dobrych obyczajach pisarskich — bronić się samemu przed zarzutami i napaściami krytyki. Niżej podpisany nigdy nie próbował walki tym systemem; tym razem jednak ze względu na powagę zarzutów, na powagę i znaczenie pisma, które te zarzuty przeciw mnie wytoczyło, oraz ze względu na głęboką pewność, że nikt nie podniesie ręki w mojej obronie — proszę, w imię sprawiedliwości i szczerości, aby udzielono mi kilku szpalt „Trybuny".

Nie będę się bronił przed zarzutami natury artystycznej — każdemu wolno oceniać książkę, tak jak to uważa za słuszne i właściwe. Nie powinien pisarz bronić swojej książki : jeśli jest coś warta obroni się sama. Dla mnie ważny jest jedynie zarzut fałszowania rzeczywistości. Od początku mojej pracy, od chwili kiedy pierwsze podpisane przeze mnie opowiadanie ujrzało światło dzienne — sprawa mojego pisarstwa została zafałszowana i zmitologizowana. Nazywano mnie reprezentantem młodego pokolenia; nazywano mnie cynikiem i deprawatorem; nazywano mnie moralistą i „rozczarowanym Zetempowcem" — w końcu doczekałem się tego, że przebywając w Paryżu przeczytałem, że w wojewódzkim mieście, w drugiej połowie wieku XX, w piętnastym roku Polski Ludowej, ułożono na rynku stos z książek, które niektórym ludziom, ludziom mającym wpływ na życie innych obywateli, wydały się — jakiegoż tu użyć określenia? — i podpalono ten stos. Nie będę pisał o tym jaka złowroga analogia nasuwa się w tym miejscu; ale każdy i tak wie co w tym wypadku można pomyśleć i jaki przykład przywołuje ludzka pamięć i wyobraźnia. Nie wiem kto pierwszy rzucił zapałkę i nie znam twarzy tych, którzy tańczyli wokół tego stosu — ale każdy kto ma choć odrobinę wyobraźni może domyśleć się tego, co wtedy czułem i myślałem. To nie moją książkę spalono w tym mieście. To spalono resztę mojej wiary i miłości do człowieka. To spalono resztkę — niewielką zresztą, co przyznaję szczerze — mojego zaufania do godności i rozumu ludzkiego i — na miłość Boską — każdy wie przecież, że nie chodzi tu o książkę dwudziestokilkuletniego debiutanta nazwiskiem Marek Hłasko.

O tym że istnieje „hłaskoizm" w literaturze — dowiedziałem się z gazet. O tym, że istnieją „hłaskoidzi" — dowiedziałem się z gazet. Nie ja ukułem ten termin. Obojętne jak nazywają rozczarowanych, to nie zmienia faktu. Mogą pisać lepiej czy gorzej ode mnie, mogą być bardziej podobni, czy podobni mniej — faktem jest, że oni istnieją, i faktem jest, że bez względu na to czy ich książki będą się ukazywać czy nie — oni będą istnieć. Ja osobiście sam nie wierzę w przyszłość tego typu literatury, ale jestem przekonany o aktualnej jej konieczności. Nie wierzę w cynizm. Cynizm jest niemożliwą do przyjęcia i stosowania postawą i nigdy nie byłem cynikiem, mało —

gardzę cynizmem tak jak niczym może; mało, cynizm mnie śmieszy, a to jest najgorsze. Ale wierzę w bunt, wierzę w bunt jako punkt wyjścia do znalezienia sobie w miejsca w życiu i społeczeństwie. Wierzę w bunt jako w najwyższą wartość młodości. Wierzę w bunt, jako w najwyższą formę miłości do życia młodych. Wierzę w bunt jako w najwyższą formę nienawiści do terroru, ucisku i niesprawiedliwości i wierzę również w to, że nie ma buntu bez celu, chociaż w interesie świata, który kocha swoich buntowników, leży to aby ich zabić. A bunt nie może być sprawiedliwy, tak jak nie jest sprawiedliwy świat, w którym rodzi się bunt. „Hłaskoizm" dla sprawy pokolenia — jakże to śmieszny i żałosny termin. I kto to bierze poważnie? Pokolenie? Ja sam?

Czy trzeba pisać przeciwko czemu zrodził się bunt pokolenia? Czy trzeba pisać przeciwko czemu zbuntowali się dwudziestoletni? Uczynili to przywódcy naszego kraju i naszego bloku i odsłonięto przed światem kurtynę, za którą ukazał się obraz zupełnie niewesoły. Tak uczynili przywódcy, ale literaturze trzeba lat, aby uporać się z tą sprawą, aby uczynić z nią wszystko co leży w możliwościach literatury — aby ją oskarżyć i uwznioślić, aby ją ośmieszyć i uszlachetnić, — a nie jest to sprawa jednego roku i jednego referatu.

Krytyka polska jest krytyką morderczą: każdy kto pisze o jednej sprawie trochę dłużej niż sprawia to przyjemność kilkunastu snobom — jest uważany za pogrzebanego. A mnie się wydaje, że nie napisałem jeszcze nic z tego co pragnąłbym napisać, że wszystko to nie oddało ani w jednej setnej mojej nienawiści do istniejącego porządku rzeczy, że ciągle mówiłem za cicho i że życie, którego byłem świadkiem przez tyle lat — było o wiele straszniejsze i o wiele bardziej ponure niż wszystko co napisałem. I niech będą przeklęci ci, którzy o tym milczą. To nie ja wymyśliłem Warszawę, tę Warszawę, która przez wiele lat była miastem bez uśmiechu; to nie ja wymyśliłem Warszawę, w której ludzie trzęśli się ze strachu; to nie ja wymyśliłem Warszawę, w której najwyższym dobrem biedaków była butelka wódki; to nie ja wymyśliłem Warszawę, w której dziewczyna była tańsza od butelki wódki — to ta Warszawa wymyśliła mnie. Kto i jakim prawem każe mi o tym milczeć? Dla mnie moja młodość — ta pierwsza, pełna romantycznych wzlotów i upadków — będzie zawsze pustynią bez litości. Pustynią pełną rozpaczy i wściekłości, w której każdy przyjazny gest mógł stać się gestem samozniszczenia. I dla mnie zawsze Warszawa, miasto mojej młodości, młodości którą przeżyłem samotnie, wilczo, niekochany i niekochający, młodości której najwyższym dobrem była butelka wódki i zapomnienie i jakaś przypadkowa dziwka, której twarzy nie pamiętałem już po pięciu minutach — będzie miastem bez uśmiechu, miastem którego ulicą idzie pijany i nieszczęśliwy, miastem w którym oszukany człowiek bezrozumnie dąży do śmierci. Apostołom nowoczesności niewygodnie o tym myśleć. O ileż efektowniejszy jest Beckett i jego

włóczędzy, wygłaszający błyskotliwe monologi o bycie i niebycie. O ileż efektowniejszy jest i Jonesco i Gombrowicz i bohaterowie „Mandarynów" i mętny Fellini wraz z swoją całą sentymentalną filozofią zaufania — o ileż to wszystko efektowniejsze od faceta który narażając się na długoterminowe więzienie kradnie z budowy parę cegieł, aby kupić za nie butelkę wódki. Lepiej o tej Warszawie nie myśleć i lepiej traktować groteskowo katastroficzną sztukę Zachodu — sztukę zresztą znakomitą, lecz wyrastającą z innych doświadczeń — jako klucz do poznania rzeczywistości. Każdy kto w tym przeszkadza jest niepotrzebny. Trzeba go opluć, zdyskryminować i pogrzebać. Można go również — jak to się dzieje w moim przypadku — oskarżyć o zdradę i zaprezentować jako zdrajcę.

To ciężki zarzut. Parę lat temu było to równoznaczne z wyrokiem śmierci. Nie mam nic na swoje usprawiedliwienie, nic poza tym, że boję się ideologii wyradzającej się w totalizm i że na 25 lat swojego życia — przez pięć lat byłem w niewoli niemieckiej, a przez wiele następnych lat, w okresie nad którym historia przejdzie do porządku dziennego jako nad okresem „wypaczeń i błędów stalinowskich", a który w języku ludzi żyjących nie został jeszcze nazwany w sposób odpowiadający sercu i rozumowi. Jeśli żyło się w takim okresie — tylko pamięć może stanowić odpowiednią broń, a człowiek, który nie chce sądzić — jest osądzony. Każdy ma prawo do omyłki w osądzie spraw, ale nikt nie ma prawa do milczenia gdyż najwyższą formą zdrady wobec życia jest milczenie i niepamięć. Posępny ton w artykule „Skiza" — ratuj się Marek! — odsądzający mnie od sumienia i charakteru, nie może zmienić mojego punktu widzenia na sprawy, które opisałem w „Cmentarzach" i triumfalne stwierdzenie, że Orwell woła z każdej strony mojej książki nie może mi przynieść ujmy i to nie dlatego, abym uważał Orwella za nauczyciela życia, ale dlatego że stworzył on wizję świata przed którą pragnę się obronić. I nie ma to nic wspólnego z handlem bronią przeciwko komunizmowi, i od sprawiedliwości świata i życia, od tej sprawiedliwości, o której zwątpiłem i o której wątpię — zależy abym się pomylił. „Skiz" powinien wiedzieć, że pisząc o mnie jako o przemytniku broni przeciwko komunizmowi — wydaje na mnie wyrok śmierci cywilnej w Polsce. Niech sięgnie pamięcią wstecz i niech rozważy w swoim sumieniu czy oskarżony winien jest śmierci. Pisarz bez ojczyzny jest niczym i nie widzę takiej możliwości, takiego zarzutu i takiej konsekwencji, która mogłaby oderwać mnie od mojej ziemi i od mojej strony. Ale obowiązkiem moim jest pamiętać o tym, że zmartwychwstanie jest tylko terminem ale nigdy nie staje się faktem.

Obowiązkiem moim jest podanie kilku wiadomości natury technicznej. Nie popełniłem wobec polskiej literatury żadnej nielojalności i „Cmentarze" i „Następny..." były złożone w polskich wydawnictwach. Wydawcy jednak nie mogli się zdecydować na ich wydanie. W imię czego? Czy przypuszczali iż nie

ma ludzi, którzy mogliby wystąpić przeciwko tej książce uzbrojeni w inne oręże poza milczeniem? Czekałem długi rok, ale wolę ponosić wszelkie konsekwencje wynikające z opublikowania niż konsekwencje wynikające z milczenia — gdyż przed nimi człowiek piszący nie jest w stanie znaleźć obrony.

Niech mi będzie darowany patos tych kilku stronic, ale tu chodzi o coś więcej niż o nieprzychylną recenzję. Tak jak „Skiz" zaczął swój artykuł suchym stwierdzeniem, że na rynku literatury antykomunistycznej pojawiło się jeszcze jedno nazwisko, tak i ja swój skończę równie suchym stwierdzeniem, że przekleństwo zwane również życiem jest człowiekowi dane tylko raz i że wtedy umiera się naprawdę jeśli człowiek staje wobec nieprawości, smutku i rozpaczy i jeśli patrzy na to żyjącymi oczami, a jego serce bije z sercami innych — i mimo to zachowuje milczenie. Zacząłem pisać swoje opowiadanie jeszcze wtedy, kiedy nic nie wskazywało, że będę mógł myśleć inaczej i nie rozumiem zarzutu, że „pisane jest z pasją współczesną". Jeśli tak — to dziękuję za ten jedyny komplement.

Paryż, 9 kwietnia 1958.

Marek HŁASKO

Zapowiedzi wydawnicze

BIBLIOTEKA "KULTURY"

CZESŁAW MIŁOSZ

KONTYNENTY

(*ZBIÓR ARTYKUŁÓW O PISARZACH RÓŻNYCH KRAJÓW, NOTY, WIERSZE, PRZEKŁADY POETYCKIE*)

◆

JAN KOWALIK

KULTURA

(*BIBLIOGRAFICZNA ANALIZA* 10 *LAT* 1947-1957)

oraz

POLSKA W BIBLIOGRAFII NIEMIECKIEJ

1954-1956

ORAZ UZUPEŁNIENIA DO OKRESU 1945-1953

◆

PAWEŁ ZAREMBA

HISTORIA POLSKI

(*DO ROKU* 1957)

◆

HOWARD FAST

KRÓL JEST NAGI

W tłumaczeniu Juliusza Mieroszewskiego

◆

JAMES BURNHAM

EPOKA MENADŻERÓW

(Tytuł prowizoryczny)

Książki

Stróże braci swoich

I

Józef L. LICHTEN

Książka „THEIR BROTHERS' KEEPERS" (1) przyszła w porę, w samą porę. Ukazała się w momencie, kiedy obie „strony" znowu zrozumieć się nie potrafiły i znowu zaczęły okopywać się na swych dawnych pozycjach. Widocznie zmieniona sytuacja polityczno-społeczna i wspólnie przeżyta katastrofa nie potrafiły dostatecznie silnie wstrząsnąć naszymi przesądami, nieufnością i tendencją do szukania kozła ofiarnego (Amerykanie doskonale określają podobne sytuacje terminem „scapegoat"). A może ostatnie dwa dziesięciolecia przyniosły ze sobą nowe oskarżenia i nowe przesądy, nową nieufność i nowe wzajemne oskarżenia? Oczywiście mamy tu na myśli sprawę stosunków polsko-żydowskich i dyskusje na ten temat na łamach prasy polskiej, a przede wszystkim — odważną ankietę *Kultury* o problemie antysemityzmu (2). Prawdopodobnie w rok dopiero od jej rezultatów, retrospektywnie, zdolni jesteśmy ocenić w pełni jej wstrząsające, a miejscami przerażające rezultaty.

Już sam fakt, że przy omawianiu spraw polsko-żydowskich, pisze się o stronach, dowodzi, że znaleźliśmy się, czy też nigdy wyjść nie potrafiliśmy z ślepego zaułka tragicznych nieporozumień. Polacy i Żydzi. Jacy Żydzi? Żydzi polscy, związani z życiem Polski poprzez stulecia, jak żadna inna grupa narodowościowa.

I oto o nich właśnie, o Żydach polskich pisze się, że są antypolscy (3), że „byli niestety niepożądanymi gośćmi" (4). Prawdopodobnie jedynym

(1) Philip Friedman, „THEIR BROTHERS' KEEPERS", Crown Publishers, New York, 1957.
(2) *Kultura*, Nr 1/111 — 2/112, 1957, str. 56 — 79.
(3) *Kultura*, Nr 1/111 — 1/112, 1957, str. 62.
(4) *Kultura* Nr 1/111 — 2/112, 1957, str. 67.

rozwiązaniem w wytworzonej sytuacji jest starać się zapomnieć o „rodakach", którzy niczego się nie nauczyli i niczego nie zapomnieli.

Do ludzi myślących inaczej skierowany jest rozdział książki „THEIR BROTHERS' KEEPERS", zatytułowany „FOR YOUR FREEDOM AS WELL AS OURS" (ZA WASZĄ I NASZĄ WOLNOŚĆ) i o nich myślał autor, kiedy pisał w konkluzji: „Dokumenty, choć niestety niekompletne, mówią o czynach kobiet i mężczyzn, którzy potrafili bohatersko powiedzieć: Nie. Dlaczego ludzi tych uważamy za bohaterów? Czy dlatego, że byli po prostu odważni? Odważnych ludzi znaleźć można także w szeregach oprawców. Czy dlatego, że głęboko wierzyli w prawdę i sprawiedliwość, które przemienili w czyn? Czy byli to idealiści, ludzie wierzący, humaniści? Tak, w istocie reprezentowali oni wszystkie te wartości — i jeszcze więcej. Nasze pokolenie winno wspominać ich z głęboką wdzięcznością, na którą tak bardzo zasługują" (przekład recenzenta). I dlatego uważamy, że „THEIR BROTHERS' KEEPERS" przyszła w porę, aby jeszcze raz przypomnieć wspólne przeżycia i wspólne cierpienia, aby oddać hołd tym wszystkim (Polakom), którzy ratowali braci swoich (Żydów), nie bacząc na to, że w innej świątyni modlą się do tego samego Boga, aby utrzymać w nas, którzyśmy przy życiu zostali, promyk nadziei w człowieka, w współ-obywatela i współ-Polaka. Nie możemy pominąć, może nieskromnie, dodatkowej okoliczności, że autorem książki jest znany historyk żydowski, że w przygotowaniu i wydaniu jej dopomogła największa i najstarsza organizacja Żydów amerykańskich.

Rozdział książki, poświęcony Polsce i polskim wysiłkom w ratowaniu Żydów opiera się na szeregu pamiętników z tego okresu, a przede wszystkim — na dzienniku Emanuela Ringelbluma, słynnego już dzisiaj archiwisty ghetta warszawskiego, który przed śmiercią z rąk oprawców, pamiętał, aby przechować zebrane materiały dla tych, którzy przy życiu pozostaną. Księża, siostry zakonne, lekarze, rzemieślnicy, właściciele dóbr i chłopi, w ramach swych możliwości, a często ponad te możliwości, angażowali się w akcję ratunkową. Wystarczy przytoczyć tu tylko jeden epizod — o „Józefku", handlarzu trzodą we Lwowie, który przechowywał trzydziestu pięciu Żydów i powieszony został za to przez Niemców na jednym z placów miasta. Wisiał „Józefek" na tym placu przez szereg dni, aby odstraszyć innych od udziału w akcji pomocy. Specjalnie interesujące, a nawet wzruszające są losy szeregu tych, którzy przed wojną należeli do obozu antysemickiego. Nazwisko Jana Mosdorfa, przywódcy ruchu antyżydowskiego znane było szeroko w przedwojennej Polsce, szczególnie wśród akademickiej młodzieży; ten sam Jan Mosdorf, zesłany przez Niemców do obozu w Birkenau, zmienił się całkowicie; często z narażeniem życia przemycał listy do Żydów, a w obozie dzielił się własną kromką chleba czy łachmanem z żydowskimi współwięźniami.

Cieszyć się należy, że wreszcie zebrany został w jedną całość ogromny materiał dokumentacyjny, ujęty w przejrzystą formę literacką. Książka Dr. Friedmana wykracza jednak daleko poza Polskę, obejmuje całą okupowaną Europę i w dużej mierze wyjaśnia w jakich okolicznościach uratował się milion Żydów z rąk hitlerowskich. Okoliczności te były najzupełniej różne w różnych krajach. Musimy poprzestać na kilku zaledwie przykładach. Kiedy w lutym 1941 roku Niemcy dwukrotnie zarządzili „łapankę" Żydów

na ulicach Amsterdamu, 2200 robotników holenderskich wyszło na strajk, który sparaliżował ośrodki przemysłowe i środki komunikacyjne. W tym wypadku masowa, zorganizowana akcja przeciwstawiła się okupantowi. Na Węgrzech znowu, jeden tylko człowiek potrafił ocalić tysiące; był nim Raoul Wallenberg, dyplomata szwedzki — bohater Budapesztu, później zamęczony przez Sowiety w syberyjskim „łagrze".

Wszędzie, od Francji do Polski, od Norwegii do Grecji, duchowni wszystkich wyznań wysuwają się na plan pierwszy w akcji ratunkowej. Szczególnie imponująca jest lista duchowieństwa katolickiego w Zachodniej Europie, które odegrało jedną z najwybitniejszych ról w ratowaniu prześladowanych. Na czoło wysuwa się postać Arcybiskupa Jules Gérard Saliège, który w słynnym swym liście pasterskim wołał: „Moralność chrześcijańska daje nam prawa i nakłada na nas obowiązki. Te obowiązki i prawa pochodzą od Boga. Pewni ludzie odważają się je łamać. Ale żaden śmiertelnik nie jest w mocy zawiesić ich działania... Żydzi są naszymi braćmi. Należą do ludzkości. Niechaj żaden Chrześcijanin nie odważy się o tym zapomnieć... Francja nie jest odpowiedzialna za te okrucieństwa". Działalność Ojca Marie-Benoit, który najbardziej sobie ceni przydomek „Ojciec Żydów", stanowi jeden z najlepszych epizodów książki. Wypada wspomnieć również dostojnego Metropolitę Andrzeja Szeptyckiego i jego działalność ratunkową; Dr Friedman zebrał szereg niezmiernie ciekawych informacji o ostatnich latach życia Metropolity.

Pierwszy rozdział książki zatytułowany jest „Serce Kobiety". Niepodobieństwem jest bez przytoczenia niezliczonych faktów bohaterstwa kobiet różnych krajów, różnego wieku, zawodu czy klasy społecznej oddać wzruszenie, które ogarnia przy czytaniu tego rozdziału. Chciałoby się tylko powtórzyć za księdzem Johnem O'Brien, który napisał przedmowę do *Their Brothers' Keepers*: „praca Dr Friedmana wykazuje, że dziewiętnaście wieków Chrystusowego nauczania nie pozostały bez rezultatów".

Oczywiście książka nie wyczerpuje tematu; wielu zdarzeń i wielu ludzi zasługujących na wzmiankę choćby, zostało pominiętych; wina to jednak raczej wydawcy, który utrzymać chciał książkę w określonych rozmiarach, aniżeli autora. Niezwykle dokładne i źródłowe „Przypisy" częściowo lukę wypełniają. *Their Brothers'Keepers* ukazać się ma wkrótce w Izraelu, w przekładzie hebrajskim, w rozmiarach dużo większych; rozszerzony będzie również rozdział o Polsce.

W ankiecie *Kultury* zarzucano Żydom, że wynoszą czy wynosili sprawy wewnętrzne na arenę międzynarodową. Stare to już i pleśnią pokryte hasło antysemickie („pociągnięcie za pejsy Żyda w Grójcu opisywane było nazajutrz przez międzynarodową prasę jako „polski pogrom") (5). Doskonała książka Dr Friedmana nie była pomyślana jako odpowiedź domorosłym antysemitom. Wynosi ona sprawy wewnętrzne Polski na forum międzynarodowe. Mówi o tym, jak Polacy rozumieli swe obowiązki polskie i ludzkie. Pragniemy gorąco aby poszła w świat, głosząc prawdę o ludziach dobrej woli, którzy bohaterskim czynem dowiedli, że są „Stróżami swych braci".

---

(5) *Kultura*, Nr 1/111 — 2/112, 1957, str. 58.

II

Maria CZAPSKA

I rzekł Bóg: Cóżeś uczynił? Głos krwi brata twego woła do mnie z ziemi (Genezis 4. 10).

Czas podsumować fakty czynnej postawy społeczeństwa polskiego w obronie Żydów — pisała dwanaście lat temu prof. Stefania Skwarczyńska. „Słowo o prawdzie staje się obowiązkiem. Ale czyim? Myślę, że nie tych, którzy wtedy, w każdej chwili dawali swoje życie za brata swego, ale że jest to obowiązkiem tego brata".

Dołączyłam wtedy swój głos do tego wezwania.

„Jeżeli milczą ci, którzy powinniby mówić, niech mówią ci, którzy powinniby milczeć" pisałam, i podałam szereg faktów z którymi się zetknęłam, wymieniłam szereg osób i organizacji, zgromadzeń zakonnych i in. zajmujących się w tamtych latach stale lub dorywczo akcją ratowniczą.

I oto ostatnio trafiła do rąk moich praca Filipa Friedmana pt. *Their Brothers' Keepers* wydana w 1957 r. w New Yorku (1), a pisana w duchu tego braterstwa, do którego apelowałyśmy, p. Skwarczyńska w Kraju a ja na emigracji.

Przygotowując bibliografię dotyczącą katastrofy europejskiego żydostwa, bibliografię obejmującą już dzisiaj około sześćdziesięciu tysięcy pozycji, był Friedman najbardziej powołany do napisania tej książki, na którą złożyła się tylko drobna część nagromadzonego w licznych archiwach materiału do sprawy żydowskiej.

Z krajów podbitych przez Hitlera uchowało się z górą dwa miliony Żydów. Wielu z nich uratowało się emigrując zawczasu, lub uciekając. „Około miliona jednak — pisze Friedman — przetrwało wojnę dosłownie w tyglu hitlerowskiego piekła... Jakim sposobem ten milion się uchował, stanowi treść niniejszej książki".

Autor wykorzystał pamiętniki i wspomnienia, drukowane i nie drukowane opracowania i zeznania, które z kolei stanowią tylko drobny procent tego, co się zachowało z pism kilku milionów ludzi skazanych na zagładę w ghettach, obozach, więzieniach, podziemnych bunkrach i innych kryjówkach (2). Ogromna większość tych świadectw naszej epoki zginęła wraz z ludźmi, ich domami i ruchomościami.

Zamierzeniem Friedmana było objąć wszystkie państwa, które się dostały pod okupację hitlerowską, dać pojęcie o metodach terroru w każdym z osobna, scharakteryzować rodzaj oporu i etapy akcji ratowniczej zależnie od warunków danego kraju i czasu obejmowania władzy przez Niemców.

Jego troska o bezstronność sądu, o wybór najbardziej znamiennych przykładów, o źródłowość liczbowych zestawień, uderza na każdej stronicy tej pracy. Spotykamy tu stałą konfrontację zbrodni i ludzkiej solidarności, nie

(1) Crown Publishers. Inc. N.Y. 1957. 224 str. 4 nl.

(2) Zob. M. Borwicz: *Ecrits des Condamnés à Mort sous l'Occupation Allemande* (1939-1945). Presse Univ. de France, Paris 1954.

nawiści i miłosierdzia Autor nie przemilcza spraw najbardziej hańbiących jak np. rozprawianie się z Żydami niektórych polskich partyzantek leśnych, ani sprawy pomocniczych oddziałów tzw. *Hilfspolizei*, złożonych z Ukraińców i Litwinów, używanych do masowych mordów żydowskich w Europie Wschodniej, ani tzw. „granatowych", policji polskiej używanej do strzeżenia skazanego na zagładę ghetta warszawskiego, ani zemsty antysemitów polskich przeciwko tym, co Żydów przechowywali. Nic nie jest pominięte z tego co należy do całości obrazu, ale rozwinięta jest jedynie akcja ratownicza, pokazane światło w ciemnościach, które odsłania oblicze człowieka, stworzonego na podobieństwo Boże.

Wspominając akcję Klimatisa, twórcy katowskich oddziałów litewskich użytych do wymordowania 150.000 Żydów bałtyckich i do innych podobnych zbrodni w Lidzie, Mińsku, Słonimie, Lublinie i ghecie warszawskim, kładzie Friedman od razu na drugą szalę szereg Litwinów i obywateli litewskich, przeważnie mieszkańców Wilna, którzy Żydów ukrywali i wszelkimi sposobami od śmierci zabezpieczali. Są tu przytoczone nazwiska profesorów i studentów, księży i zakonnic, pośród których wyróżnia się jasna postać bibliotekarki Uniw. Wileńskiego Anny Simaite, niestrudzonej ratowniczki dzieci z ghetta wileńskiego, a także skromna para małżeńska chłopów podwileńskich, Tadeusza i Barbary, których leśna chata była przystanią dla tropionych zbiegów. Ukrywali oni i z trudem utrzymywali swoich „gości", nie żądając od nich żadnej zapłaty.

„Chcemy jedynie dowieść, że nie wszyscy Litwini są Klimatisami" — mówili.

W rozdziale dotyczącym Ukrainy wdzięczne wspomnienie poświęca autor niezachwianej w bohaterstwie postawie Metropolity Szeptyckiego. Jednemu z Żydów, nazwiskiem I. Lewin, ukrywającemu się na Zamku św. Jura we Lwowie, jako pracownik biblioteczny, oświadczył któregoś dnia Metropolita :

„Chciałbym abyś pozostał dobrym Żydem, nie ratuję cię dla ciebie samego, ale dla narodu żydowskiego, nie czekam żadnej nagrody, ani się nie spodziewam abyś przyjął moją wiarę".

Nie wszyscy podwładni Metropolity podzielali jego pogląd — dodaje Friedman. Ze względów bezpieczeństwa, czy też na skutek misjonarskiej gorliwości wszystkie ukryte po klasztorach dzieci żydowskie zostały z końcem 1942 r. ochrzczone. Po wojnie tylko znikomą ich liczbę i tylko te, których rodzice lub krewni przeżyli katastrofę, zwrócono ich rodzinom.

Zagadnienie tych dzieci żydowskich, ochrzczonych, w ogromnej większości osieroconych i włączonych do narodu swoich opiekunów, to problem wyjątkowo trudny, zazębiony o najświętsze uczucia religijne, narodowe, rodzicielskie, który wymagałby specjalnego omówienia.

Czy pierwszeństwo powinno mieć dobro dziecka w wypadkach, w których nie zna swego pochodzenia i znalazło szczęście w rodzinie zastępczej, czy prawa narodu, który poniósł tak straszny ubytek ?

Jak prawnie i etycznie rozstrzygnąć konflikt pomiędzy rewindykującymi dziecko (rodziną lub państwem Izraela), a wolą dziecka już świadomego, pozostania w kraju, tradycjach i religii, w których wzrosło ?

Po głośnym procesie rewindykacyjnym chłopców Finaly we Francji, szereg innych spraw tego rodzaju pozostaje dotychczas w zawieszeniu.

W odezwie do Polaków i chrześcijan, ogłoszonej w pierwszych dniach powstania warszawskiego ghetta, Żydzi podjęli dawne powstańcze hasło polskie: ,,Za naszą i waszą Wolność!" Tego hasła użył Friedmann jako tytułu dla rozdziału poświęconego Polsce.

,,Za naszą i waszą wolność, za naszą i waszą godność — głosiła odezwa. — Zemścimy Oświęcim, Treblinkę, Bełżec, Majdanek. Niech żyje wolność, śmierć katom!"

Ale powstańcza odezwa nie wywołała spodziewanego przez Żydów efektu; Armia Krajowa przeznaczyła tylko szczupłe przydziały broni na tę beznadziejną rozprawę i równie znikoma była pomoc PPR-u.

Ogół sterroryzowanego społeczeństwa pozostał obojętny wobec tego dramatu, który się rozegrał na naszych oczach i którego rozmiar przekraczał wyobraźnię wielu z nas.

Pośród ludzi ratujących Żydów wymienia Friedman w pierwszym rzędzie duchowieństwo katolickie: Andrzej Gdowski, ksiądz z Ostrej Bramy, który jedną z dobrze zakamuflowanych kaplic swego kościoła, przeznaczył na dom modlitwy dla Żydów; ks. Urbanowicz z Brześcia nad Bugiem, rozstrzelany za pomoc im okazywaną, kanonik Archutowski z Warszawy zamęczony dla tych samych powodów w Majdanku, dziekan katedry grodzieńskiej i przełożony grodzieńskich Franciszkanów — obaj rozstrzelani w Łomży, proboszczowie z okolic Treblinki przechowujący Żydów zbiegłych z transportów śmierci. Dalej wymienia Friedman Niepokalanki z Szymanowa, Urszulanki z ul. Gęstej w Warszawie, Franciszkanki z Lasek pod Warszawą, seminaria, ochronki, schroniska, bursy, które przygarniały i ukrywały chłopców, kobiety i dzieci żydowskie, zaznaczając niejednokrotnie, że ujawnienie choćby jednego przechowywanego dziecka żydowskiego zagrażało życiu wszystkich członków danego zgromadzenia czy instytucji, wymienia znanych działaczy endeckich jak Mosdorfa i Stanisława Piaseckiego zmarłych w Oświęcimiu za pomoc okazaną Żydom, a także Aleksandra Witaszewicza zamordowanego przez bojówkę antyżydowską; wymienia czynne w organizacji konspiracyjnej: Wandę Filipowicz, Czesławę Wojeńską, ziemian: J. Wł. Grabskiego, Stefana Humnickiego, lwowiaków, jak księgarza Maślaka, orientalistę profesora Zadereckiego, socjalistów Pluskowskiego, Cyrankiewicza, St. Dubois.

Wiadomo, że wymienieni przez Friedmana ludzie to cząstka tych, którzy wtedy Żydów ratowali, że to ci dla których poczynań znalazł się świadek, bo nikt o tym sprawozdań nie pisał, a w bardzo wielu wypadkach zginęli tak ratujący, jak ratowani nie zostawiając śladu po sobie, ale wiadomo również, że ta akcja była tylko kroplą w morzu zbrodni niemieckiej, bezsilności i obojętności polskiej na los Żydów, kropla, która jednak, dzięki Friedmanowi, nie zaginęła.

Tło wypadków, nastroje tamtych lat, dramat ghetta warszawskiego, tropienie Żydów po lasach, gruzach zburzonych miast i po cmentarzach, poznaliśmy w całej ich grozie dopiero z opowiadań A. Rudnickiego i z niezapomnianych w swojej plastyce obrazów z książek Leopolda Buczkowskiego.

Praca Friedmana jest udokumentowanym dopełnieniem narracji tych i wielu innych pisarzy.

,,W ówczesnych nieprawdopodobnie groźnych okolicznościach — powiada Friedman — wszelka pomoc okazywana Żydom była niemniej jak

aktem heroizmu... cudem poświęcenia i miłosierdzia; chłop, kupiec, duchowny lub inteligent sięgali wtedy wyżyn dostępnych jedynie świętym". (str. 133).

Jeden z rozdziałów poświęcony jest Raulowi Wallenbergowi, attaché ambasady szwedzkiej w Budapeszcie, bohaterskiemu i pomysłowemu obrońcy Żydów węgierskich (przezwano go „współczesnym Mojżeszem"). Po zajęciu jednak Budapesztu przez Czerwoną Armię, Wallenberg zaginął, wpadł jak kamień w wodę i dopiero po niezliczonych, długotrwałych staraniach, po petycjach opatrzonych w tysiące podpisów prasa sowiecka doniosła w r. 1957, że Wallenberg umarł (rzekomo) na atak serca w 1947 r., w więzieniu na Łubiance. O planowanym ratunku miliona Żydów węgierskich podjętym przez Joela Branda, Friedman nie wspomina (3).

Inny rozdział przedstawia historię dr. Kerstena, Estończyka, lekarza Himmlera, któremu udało się uratować dwa tysiące Żydów fińskich.

We wszystkich krajach naczelną rolę w akcji ratowniczej przypisuje Friedman przedstawicielom różnych wyznań chrześcijańskich. W rozdziale poświęconym Niemcom napotykamy piękne postacie dostojników kościoła katolickiego, jak nieustraszony starzec, kardynał Clemens v. Gallen, (jego listy pasterskie krążyły w Polsce w tajnych odpisach), jak kardynał Michael Faulhaber, obrońca Żydów, jak kardynał v. Preysing, albo kanonik katedry św. Jadwigi w Berlinie, Bernhard Lichtenberg, pastorowie Niemöller, Dietrich Bonhoeffer i szereg duchownych katolickich i protestanckich, skazanych za swoje przekonania na śmierć lub długoletnią udrękę w obozie w Dachau, kończącą się przeważnie też śmiercią.

Udział w akcji pomocy drugiej grupy, „wyznawców", komunistów, zdaje się wedle zachowanych danych, raczej szczupły. Pakt Stalin-Hitler związał ich początkowo z poczynaniami oprawców, a po ofensywie Hitlera na Rosję, komuniści byli omal równie zagrożeni jak Żydzi. Ich masowy jednak udział we francuskim ruchu oporu i działalność Armii Ludowej w Polsce miała niejednokrotnie na celu niesienie pomocy Żydom. Książka Friedmana jednak o tym milczy.

Spis bibliograficznych skrótów, obszerne przypisy do każdego rozdziału dotyczące wymienionych osób i wypadków, wreszcie indeks nazwisk, dopełniają książki.

Wydanie pracy Friedmana w Polsce i po polsku, lub chociażby rozszerzonego rozdziału dotyczącego Polski, ilustrowanego, o ile możności, podobiznami ofiar i obrońców, jak to np. zrobiła w swoim dwutomowym wydawnictwie o niemieckim ruchu oporu, Annadora Leber (4) — mogłoby służyć jako lekarstwo na niewytrzebiony antysemityzm polski, pleniący się na ciemnocie i fanatyzmach, narodowym i religijnym.

Przypomnienie szeregu ludzi, naszych współczesnych, niejednokrotnie znajomych, którzy całymi latami, albo tylko dorywczo, patrzyli śmierci w oczy aby ratować przed nią bliźnich swoich, mówi więcej, wzrusza głębiej sumienia od potępiających antysemityzm artykułów, uczonych rozpraw, albo letniego ducha kazań.

(3) Zob. *Kultura* Nr 117/118, 1957 r.
(4) „Das Gewissen steht auf". „Das Gewissen entscheidet". Mosaik Verlag, Berlin 1956-1957.

Żydowskie źródła chrześcijaństwa

Nowe wydawnictwo amerykańskie *The Bridge* ma już za sobą dwa potężne roczniki, po 350 stron każdy, formatu wielkiej ósemki. Zadaniem pisma, wynikającym zarówno z tytułu jak i z podtytułu (*A Yearbook of Judaeo-Christian Studies*) ma być — jak pisze w przedmowie redaktor O. John M. Oesterreicher — zbudowanie mostu łączącego oba brzegi, żydowski i chrześcijański, przedstawiając jednak zdecydowanie katolicki punkt widzenia. Na obiekcje ze strony krytyków żydowskich, którzy pytali czy może być mowa o dialogu tam, gdzie jedna ze stron nie może przemawiać bezpośrednio, redaktor odpowiada przypominając, że tradycja ta datuje się z samych początków chrześcijaństwa, gdy św. Justyn napisał swój *Dialog z Tryfonem* i wyjaśnia, że ,,sumienie, to jest miłość jaką mamy do Chrystusa, nie pozwala nam na otwarcie naszych łamów dyspucie na temat zasadniczych prawd naszej wiary''.

Takie wydawnictwo, przypominające jak dalece chrześcijaństwo jest religią żydowską, było od dawna niezbędne, zgodnie ze słowami Piusa XI: ,,Abraham zwie się nasz ojciec, duchowo jesteśmy Semitami''. Niemożliwością byłoby wyliczać wszystkie uczone studia zawarte w tych dwu pięknie wydanych tomach. Wachlarz ich jest zresztą szeroki: od bardziej teologicznych prac poświęconych Słowu Bożemu, losom Izraela lub Abrahamowi (to ostatnie pióra R. Maritain), poprzez bardziej historyczne, jak studium Ewangelii św. Mateusza, jako opartej na tradycji Izraela oraz studium ,,esseńskiej'' gminy w Qumran, poprzez studium Ukrzyżowania w malarstwie Chagalla oraz neoplatonizmu i chrześcijaństwa u Michała Anioła, poprzez ,,Enigmę Simone Weil'' aż po tak świeckie tematy, jak osławione ,,Protokóły Mędrców Syonu'' (fałszerstwo dokonane przez rosyjskiego czynownika w 1905), aferę Dreyfusa i niedawną jej karykaturę — ,,aferę'' Finaly we Francji.

Wszyscy autorzy odkrywają z namiętną pasją związki łączące chrześcijan z Żydami. W studium o Chagallu na przykład, I. i C. Süssman przypominają, jak wiele ten paryski malarz, urodzony w Witebsku, zawdzięcza chasydom ,,tak bardzo podobnym do pierwszych franciszkanów''. Inny autor, ksiądz, zakonnik i prezydent *American Catholic Philosophical Association*, kończy swe krytyczne omówienie książki rabina J.B. Agusa słowami: ,,Lecz życzliwość (*affection*) jaką żywię dlań, jako dla Żyda, i szacunek, jaki winien mu jestem, jako rabinowi, sprawiają, że pragnę, abym nie miał racji''.

Jeżeli dla kogoś okazuje się mniej tolerancji w tym piśmie, to dla zakutych antysemitów i dla postępowych półinteligentów, jak np. w cudnej recenzji z książki niejakiego Beatty'ego, byłego oficera wywiadu, który po pójściu na emeryturę odkrył, że wszystkiemu winni są... nie Żydzi,

broń Boże, jesteśmy przecież w Roku Pańskim 1957, ale... Chazarzy, szczep azjatycki nawrócony na judaizm w IX wieku (i na skutek tego nie do odróżnienia od Żydów; Chazarem jest ten, kto nie podoba się p. Beatty'emu).

Znakomite studium O. Oesterreichera, poświęcone gminie żydowskiej w Qumran (poznanej dzięki odkrytym nad Morzem Martwym rękopisom), pokazuje również ile wart jest obiektywizm niektórych „postępowych" uczonych, którzy chcieli wykorzystać tę okazję, aby zidentyfikować Jezusa z historycznym Nauczycielem Sprawiedliwości, który założył tę gminę. Najpiękniejsza jest tu cytata z E. Wilsona, który oświadczył w „New Yorkerze", że nadszedł już czas, aby zerwać z „przestarzałymi przesądami" i by zacząć uważać powstanie chrześcijaństwa za „zwykły epizod historii". Wilson jest autorem książki *The Scrolls from the Dead Sea*, w której podkreśla ciągle, że uczeni żydowscy i chrześcijańscy są uprzedzeni, jako, że są „zaangażowani religijnie" i że tylko człowiek „niezaangażowany religijnie" (to jest sam autor) może obiektywnie ocenić i zrozumieć znaczenie tych manuskryptów. Tej pięknej w swej niewinności doktrynie dorównują chyba tylko (mniej jednak niewinne) słowa samego Franca Fiszera, który twierdził w dyskusji, że on tylko jest obiektywny, bo on jeden danej książki nie czytał.

W *The Bridge* spotykamy również jedno polonicum: omawiając antysemityzm w Sowietach, O. William Keller zastanawia się dlaczego tak mało Żydów uratowało się w okupowanej przez Niemców części Związku Sowieckiego „w porównaniu z licznymi wypadkami uratowania w tradycyjnie antysemickiej Polsce". Jest wprawdzie pocieszające, że ktoś słyszał o tym, że w Polsce ratowano Żydów pod okupacją, ale etykietka „tradycyjnych antysemitów" jest za to mniej pocieszająca i o tyle niesprawiedliwa, że tradycja polska była nie tylko nie antysemicka, ale nawet filosemicka i że antysemityzm importowany z Rosji rozwinął się, zwłaszcza po r. 1918, dzięki różnym OWP i ONR (u tych ostatnich jako naśladowanie Hitlera). Im możemy więc podziękować za tę piękną opinię, choć trzeba by zapytać czy od czasu zniknięcia ONR i NSZ, to jest od r. 1945, uczyniliśmy wszystko co było w naszej mocy, aby zadać kłam tej opinii?

Jan TOROSIEWICZ

"Głosy w ciemności"

Nie bardzo wiem dlaczego czytając książkę Juliana Stryjkowskiego „Głosy w ciemności" (Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik", Warszawa 1956, str. 399) miałem ciągle wrażenie, że jest okrągła. Są książki długie i cienkie jak na przykład Romain Rollanda czy Jules Romaina, są książki krótkie i płaskie, jak Françoise Sagan, są wreszcie długie i prostopadłe, jak Kafki. A powieść Stryjkowskiego jest — okrągła.

Myślę, że stwierdzenie tej okrągłości jest dla Stryjkowskiego komplementem. Co więcej, podejrzewam, że zamiarem autora było nadanie takiego właśnie kształtu swemu utworowi. Pomarańcza, czy jabłko, nie pozbawione pewnych cech okrągłości, tworzą w rysunku linię zamkniętą. Tak samo „Głosy w ciemności".

Powieść ta jest zamknięta, gdyż prawdopodobnie celem jej było opisanie świata zamkniętego. Tym światem są Żydzi w małym miasteczku, którego nazwy nie dowiadujemy się, a które położone jest gdzieś między Kołomyją a Lwowem, Żydzi pogrążeni w piętrzących się i nie dających chwili wytchnienia szczegółach życia religijnego, które wiąże każdy ruch, każdy gest i każda myśl, Żydzi zatopieni w swojej wierze, w fanatycznym przywiązaniu do tradycji, w lęku przed jej naruszeniem, w przesądach, które odcinają możliwości zmian. Ten ściśnięty świat, wydawałoby się hermetyczny i nieprzekraczalny, świat rytualnych obrzędów i niemniej rytualnej szarpaniny o zdobycie paru groszy na utrzymanie rodzin, widziany jest jednocześnie oczami małego, pięcioletniego dziecka, Aronka i ojca jego — starego reb Tojwie. Aronek, wmieszany jest dzięki przypadkom w istotne elementy akcji, wie wszystko, lecz nie rozumie nic, ojciec, reb Tojwie, jest tym, który stanowi główną sprężynę akcji, który stara się ją prowadzić i nadać odpowiedni bieg lecz który, mimo, iż pozornie rozumie wszystko — przegrywa. Aronek i reb Tojwie — te dwa bieguny powieści — mimo przepaści, która ich dzieli, są identyczni. Tak samo mieszają fikcję wierzeń z rzeczywistością, tak samo rzeczywistość wymyka się im z rąk, tak samo boją się naruszenia fikcji.

Dla reb Tojwie bazą niezachwianej wiary jest mądrość i niezwruszalność zasad zawartych w świętych księgach i hermetyczność świata żydowskiego. Wiara w niewzruszalność ksiąg prowadzi go do konfliktu z Żydami, wiara w hermetyczność swego świata do tragedii osobistych. Reb Tojwie jest bezwzględny, twardy i nieustępliwy. Reb Tojwie — to doktryner. Czysty jak łza, niesplamiony grzechem. Lecz dlatego właśnie, że taki czysty i nieskazitelny, szerzy naokoło siebie nieszczęścia.

Nieskazitelność reb Tojwie obejmuje wszystko. I to, że nie potrafi przejmować się trudnościami materialnymi żony, która, sama i bez żadnej pomocy szamoce się by utrzymać przy życiu rodzinę, i to, że niebaczny na odmienne ambicje wymaga bezwzględnie od syna Modche studiowania Gemury, i to, że mimo nalegań rabina nie chce przejść do porządku dziennego nad oszustwami i nieuczciwością reb Scharie. W konsekwencji potężny i bogaty reb Scharie staje się jego wrogiem. Utrudnia mu wykonywanie czynności kapłańskich, grozi wyrzuceniem z domu, rozsiewa w miasteczku najgorsze o nim wiadomości, wykorzystuje tragedie rodzinne — by go zniszczyć. A reb Tojwie, niezachwiany, trwa na swym stanowisku i odmawia wyciągnięcia ręki na znak zgody. Potem opuszcza miasteczko. I nie wiadomo czy wyjazd ten jest zwycięstwem czy też klęską bezwzględnej i czystej jak łza nieskazitelności.

A wiara w hermetyczność świata żydowskiego okazuje się również fikcją. Przegrody i bariery, które oddzielać miały świat ten od gojów chwieją się, trzeszczą i pękają w najboleśniejszym dla reb Tojwie miejscu. Córka jego, Chamariem, zakochuje się w goju i ucieka z nim z miasteczka, syn jego, Modche, rzuca święte księgi i wymyka się z domu rodzinnego na Węgry. Tu reb Tojwie przegrywa na całej linii, klęska jego jest niezaprzeczalna. Może dlatego ucieka. Gdyby ścierać się miał tylko z reb Schiarie i innymi Żydami w konflikcie o uczciwość toczącym się na polu wewnętrznym i w zamkniętym kręgu Żydów, reb Tojwie pozostałby prawdopodobnie na miejscu. Gdy jednak do niezwruszalnych zasad jego wdziera się przemożny i obcy świat gojów — reb Tojwie kapituluje.

Podstawą książki Stryjkowskiego jest hermetyczność świata żydowskiego, która nadaje jej właśnie kształt okrągły, ale która — ponieważ jest fikcją — stanowi przyczynę i podstawę tragedii.

Przyznaję, że książka „Głosy w ciemności" jest doskonała. Jest doskonała, gdyż Stryjkowski potrafił z niezaprzeczalnym talentem odmalować życie Żydów w małym miasteczku galicyjskim na początku naszego stulecia, potrafił oddać plastycznie wszystkie szczegóły tego obrazu, zanurzyć nas w atmosferze gorących namiętności, stworzyć żywe i konkretne sylwetki i nigdzie nie zawieść w psychologicznym rysunku swych postaci. Jego opis najdrobniejszych szczegółów uroczystości religijnych jest równie przekonywujący jak wizja poetycka małego Aronka, gdy obserwuje poprzez dziurę w płocie zakazany ogród ruskiego popa. Jego umiejętność podkreślenia wszystkich elementów ówczesnego świata Żydów, łącznie z zarysowującym się nurtem sjonistycznym oraz dalekimi echami socjalizmu i emancypacji jest równie plastyczna, jak uderzająca i najprawdopodobniej świadomie wydobyta nieobecność wszystkiego tego co nie jest żydowskie. Polacy w książce istnieją o tyle tylko, że od czasu do czasu mówi się o polskiej szkole, chłopi ukraińscy występują po to jedynie by stworzyć groźne tło złodziejaszków wykradających żonie reb Tojwie, Elke, materiały z kramiku lub by zawisnąć jak niepokojąca burza nad miasteczkiem w chwili zapowiedzianych rozruchów anty-semickich. Austrię — symbolizuje zagubiony i pojedyńczy policjant w czerwono-zielonym mundurze oraz daleki i nieosiągalny Wiedeń. Goje — to mgławica, o której się mówi i która raz jeden tylko nabiera realnych kształtów w postaci starosty Kassarabe, kochanka córki reb Tojwie, Chamariem. Wprawdzie w miasteczku, cerkiew stoi obok bóżnicy, lecz w rzeczywistości odległość między nimi jest tak duża jak między ziemią a jakąś inną planetą.

Podkreślenie planetarnych cech elementów nie-żydowskich było niewątpliwym zamiarem Stryjkowskiego. Lecz równie niezaprzeczalnym zamiarem jego było ukazanie, iż wiara w tę planetarność jest fikcją. I tu zbliżamy się do istotnego problemu.

Jest rzeczą nudną i godną potępienia doszukiwanie się w książkach analogii, lub wysuwanie podejrzeń, iż zawierają one jakąś symbolistykę. Dlatego o sprawie tej chciałbym wspomnieć jedynie krótko. „Głosy w ciemności" przypominają mi tematyką „La peste" Camusa. W obu tych książkach znajdujemy tę samą atmosferę świata oblężonego, atmosferę, która rodzi doktrynerstwo, fanatyzm i niepokój, i która u jednych wyzwala bezwzględność, a u drugich odszczepienie. Lecz u Camusa, symbolistyka jest łatwa do odszyfrowania. Czy o tej samej symbolistyce myślał Stryjkowski ? Czy pisząc o fanatycznym doktrynerstwie reb Tojwie i o wierze Żydów w hermetyczność ich świata myślał on o doktrynerstwie stalinistów i o ich żelaznych kurtynach ? Na pytanie to nie potrafię odpowiedzieć.

Józef URSYN

Nadesłane nowości wydawnicze

WYDAWNICTWA EMIGRACYJNE I ZACHODNIE

SAMBOR (Michał). *Łabędź Sabaudii.* Wybór pism Św. Franciszka Salezego (1567-1622). Przekład i uwagi wprowadzające Michała Sambora. Str. 240. Tom. X Serii Niebieskiej ,,Biblioteki Polskiej'' (Nakł. Kat. Ośr. Wyd. ,,Veritas'', Londyn, 1958, cena 15 sh.)

MICHALSKI (Stanisław). *Wiersze wzgardzone.* Str. 82. (Nakładem Autora, Montreal, 1958).

HERLING (Gustavo). *Da Gorki a Pasternak.* Considerazioni sulla litteratura sovietica. Str. 96. (Wyd. Opere Nuove, Rzym, 1958).

FELSZTYN (Tadeusz). *Atom w służbie ludzkości.* Str. 334. Tom VI Serii Zielonej ,,Biblioteki Polskiej''. (Nakł. Kat. Ośr. Wyd. ,,Veritas'', Londyn, 1958, cena 15 sh.).

The absent countries of Europe. Str. 272. Lectures held at the Collège de l'Europe Libre. VIIth Summer-Session (6 August — 6 September 1957). Zeszyt 1. Osteuropa Bibliothek (Bern, 1958).

KOPECKY (R.). *Ceskoslovensky odboj v Polsku v r.* 1939. Str. 100. (Wyd. ,,Modra Revue, Rotterdam, 1958).

KONOPCZYŃSKI (Władysław). *Dzieje Polski Nowożytnej.* Tom pierwszy. 1506-1648. Str. XII plus 439 plus 1 nlb. Fotolitograficzna odbitka pierwszego wydania P.A.U. z r. 1936. Obecne (drugie) wydanie staraniem Polskiego Uniwersytetu na Obczyźnie, nakładem f-my B. Świderski, Londyn, 1958 r. Cena w broszurze 30 sh., w oprawie 35 sh.).

FIELD (Hermann) and MIERZENSKI (Stanisław). *Angry Harvest.* Str. 491. (Wyd. Thomas Y. Crowell Company, New-York, 1958, cena dol. 5).

Teki Historyczne. T. VIII, 1956-7. Str. 212. (Wyd. przez Polskie Two Historyczne na Obczyźnie, nakładem Instytutu Historycznego im. generała Sikorskiego, Londyn, 1958, cena 16 sh.).

MITLA. Kalendar al'manach na 1958 rik. Str. 128 (Wyd. Ju. Seredniaka, Buenos Aires, bez daty).

WYDAWNICTWA KRAJOWE

LAZARI-PAWŁOWSKA (Ija). *Idiograficzna koncepcja historii.*[e] Str. 14-41. Odbitka z czasopisma ,,Studia Filozoficzne'', Zeszyt 1 (1) 58.

KARPOWICZ (Tymoteusz). *Kamienna Muzyka.* Poezje. Str. 80. (Wyd. ,,Czytelnik'', Warszawa, 1958, cena 10 zł.).

KARPIŃSKI (Zygmunt). *Losy złota polskiego podczas drugiej wojny światowej.* Str. 59. (Wyd. Państwowe Wydawnictwo Naukowe, Warszawa, 1958, cena 13 zł.).

WOLSKI (Jan). *Spółdzielczy samorząd pracy.* Powielacz. Str. 210. (Wyd. Biuro Wydawnictw Centralnego Związku Spółdzielczości Pracy, Warszawa, 1957).

ROMANOWICZOWA (Zofia). *Baśka i Barbara.* Str. 248. (Wyd. P.I.W., Warszawa, 1958, cena zł. 10).

POGONOWSKA (Anna). *Kręgi.* Wiersze Str. 114. (Nakł ,,Czytelnika'', Warszawa 1958, c. 10 zł.).

VOGLER (Henryk). *Ocalony z otchłani.* Str. 144. (Wyd. Śląsk, Katowice, 1957, cena zł. 6,50).

Listy do Redakcji

Rochester, 5 maja 1958.

Szanowny Panie Redaktorze,

W numerze 4/126, w artykule Bolesława Taborskiego pt. ,,Pokolenie, czyli traktat o niszczeniu kwiatów'' zauważyłem następującą nieścisłość, którą pozwalam sobie sprostować :

Na stronie 134 p. Taborski pisze : ,,Inni harcerze otrzymywali szkolenie w jednostkach, które wezmą w powstaniu udział w batalionach harcerskich ,,Wigry'' i ,,Antoni'', oddziale ,,Żbik'', kompanii ,,Orląt'' i innych''.

Otóż batalion ,,Antoni'' nigdy nie był oddziałem harcerskim per se, ani też nie było w nim żadnej poważniejszej ilości harcerzy — piszę w taki ostrożny sposób, bo mogły być jednostki, jako że przed wojną roku 1939 wielu młodych należało do harcerstwa.

Batalion ,,Antoni'' (dowódca mjr. ,,Antoni'' Brockhusen, znany jako dowódca pociągu pancernego w roku 1920) był jednym z trzech batalionów Narodowej Organizacji Wojskowej (Stronnictwo Narodowe) sformowanych w czasie okupacji na terenie miasta stołecznego Warszawa, a jednym z dwuch — drugim był batalion ,,Gustaw'' — biorących udział w Powstaniu Warszawskim. Trzeci batalion, obejmujący prawobrzeżne dzielnice miasta, do Powstania nie wszedł wobec zgniecenia ruchu oporu na Pradze przez Niemców.

Batalion ,,Antoni'' zmobilizował się na Starym Mieście, w ramach Zgrupowania ,Paweł'', brał udział w walkach na cmentarzu ewangelickim (gdzie wobec braku broni rozpuszczono kompanię ,,Alicja''), wrócił potem na Stare Miasto w składzie dwuch kompanii : ,,Anna'' (dowódca śp. ppor. A. Sanecki, potem por. W.M. Sarnecki) i ,,Aniela'' (dowódca kpt., potem mjr., W. Stetkiewicz). Wobec tego że drugi batalion N.O.W., ,,Gustaw'', został przez losy walk rozdzielony : kompania ,,Grażyna'' (dow. śp. por. M. Krawczyk) ,,Genowefa'' (dow. śp. ppor. M. Ciopa), ,,O. S. Janusz'' (dow. ppor. J. Zapolya-Zapolski) działały w śródmieściu jako Zgrupowanie ,,Harnaś'' (pseudonim por. Krawczyka, który nim dowodził), a kompania ,,Gertruda'' (dow. por. Włodzimierz ...) i ,,Harcerka'' (dow. por. W. Pszczółkowski) na Starym Mieście, komp. ,,Anna'' i ,,Aniela'' zostały włączone do bat. ,,Gustaw'' (dow. kpt., potem mjr., L. Gawrych), a bat. ,,Antoni'' rozwiązano.

Będę Panu bardzo zobowiązany za zamieszczenie powyższego sprostowania, między innymi i dlatego, że ogłaszane źródła krajowe o Powstaniu przemilczają bardzo starannie istnienie i działalność oddziałów N.O.W.

Łączę wyrazy poważania.

Stefan C. MĄCZYŃSKI

Monachium, kwiecień 1958

Szanowny Panie Redaktorze,

W grudniu ub. r. zechciał Pan udzielić mi gościny na łamach ,,Kultury" i zamieścił mój list, w którym zaprzeczyłem istnieniu rzekomej instrukcji Radia Wolna Europa nakazującej naszej Rozgłośni ,,gloryfikowanie titoizmu". O ,,instrukcji" tej informował wielokrotnie swych czytelników ,,Dziennik Polski" w Londynie, powołując się na informacje amerykańskiego publicysty Fulton Lewis, Jr.

W numerze z dnia 20 lutego ,,Dziennik Polski" ponownie powrócił do tej sprawy zarzucając mi wprowadzenie w błąd opinii publicznej.

W związku z powyższym wystąpiłem przeciwko ,,Dziennikowi Polskiemu" na drogę sądową.

Proszę przyjąć, Panie Redaktorze, wyrazy prawdziwego szacunku i poważania.

Jan NOWAK
Kierownik Rozgłośni Polskiej Radia Wolna Europa



Beyrut, 7 maja 1958.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze,

Solidaryzuję się z deklaracją Redakcji ,,Kultury" w sprawie śp. Atamana Petlury, pomieszczoną w numerze 4 ,,Kultury". Wydaje mi się jednak, że ta sprawa, jak w ciągu ostatnich dwudziestu lat szereg innych, po prostu narzuca uczciwe, spokojne, ale też bezwzględne rozważenie zagadnienia roli jaką Żydzi, a także, i niestety, Izrael, odegrali w dziejach Europy Wschodniej od roku 1939. Drogą do porozumienia, wydaje mi się, jest prawda. Tej prawdy publicystyka polska lęka się, zakwalifikowawszy zagadnienie ,,Żydzi" i ,,Izrael" — jako tabu. Zła to droga i prowadząca do bardzo smutnych konsekwencji w przyszłości.

Wielkość ofiary Żydów i wspaniałość ich odrodzenia narodowego i państwowego, nie śmie w niczyich oczach przesłaniać faktu, że tak jak my chcemy się liczyć z Żydami i z Izraelem, Żydzi i Izrael *muszą* liczyć się z narodami Europy Wschodniej, a w szczególności z nami. Nie ma polityki bez wzajemności.

Łączę wyrazy głębokiego szacunku i poważania.

Dr. Z. ZAWADOWSKI

Londyński korespondent ,,Kultury": Juliusz MIEROSZEWSKI.
11 Gainsborough Road, London, W.4. — Telefon: CHIswick 1860.

Wydawca: Edition et Librairie ,,LIBELLA",
12, rue St-Louis-en-l'Ile, Paris (4e)

Directeur-gérant: Mme Christiane Karasiewicz.
Dépôt légal: 2e *Trimestre* 1958

KULTURA

REDAKTOR : **JERZY GIEDROYC**
Adres Redakcji : 91, Av. de Poissy, Maisons-Laffitte (S.-et-O.)
Telefon : Maisons-Laffitte (S.-et-O.) 19-04

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata 1/2-roczna	Prenumerata Roczna
AFRYKA POLUDNIOWA : Janusz Kruszynski, 54, 15th St., Parkhurst, Johannesburg	3 sh. 9 d.	21 sh.	42 sh.
ARGENTYNA : Tadeusz Dabrowski, « Libreria Polaca », Serrano 2076, Buenos Aires	22,50 peso	135 peso	270 peso
AUSTRALIA : « Vistula » (Australia) PTY Ltd., Daking House, Rawson Place, Sydney	5 sh. (a)	£.A.1.7.6.	£.A.2.12.
BELGIA I KONGO BELG. : Janina Korab Brzozowska-Csaky, 19, Square Sainctelette, app. 2, Bruxelles, Nr konta pocztowego 7315-20	30 frb.	145 frb.	260 frb.
BRAZYLIA : Prenumeraty przyjmuja : **Julia Barcinska,** r. Itaipava 101 (J. Botanico), Rio de Janeiro; **Zofia Kietlinska,** Av. Batel 1514, Curitiba Parana; **Hanna Lekszycka,** Av. Dr. Arnaldo 1513, Sao Paulo		4 dol. am.	6 dol. am.
BRYT. AFRYKA WSCHOD. (Kenya, Tanganyka, Uganda), Roman Krolikowski, POBOX 5979, Nairobi, Kenya	3 sh. 9 d.	21 sh.	42 sh.
FRANCJA : « Libella », 12, r. St-Louis-en-l'Ile, Paris-4	220 fr.	1.100 fr.	2.200 fr.
HOLANDIA : T. Szpilczynski, Stadhouderskade 60 A, Amsterdam-Z, Tel. : 716080. Nr Konta pocz. 13500 — t.b.v.S. 6538	2 fl. hol.	12 fl. hol.	24 fl. hol.
KANADA : M. Jaxa-Debicka, 220 Howard Park Av., Toronto 3, Ont. lub c/o **Polish Voice,** 1089 Queen St. W, Toronto Ont.; **K. Krakowska,** 3445 Marlowe Av., N.D. de G., Montreal/Queb., Tél. : HU 8-5224; **H.R. Radomski,** 107, Rose Park Drive, Toronto/Ont. Tél. : HY-0829; **Vatra Trade,** 277 Selkirk Av., Winnipeg 4, Man.; **« Zwiazkowiec »,** 1475 Queen St. W., Toronto 3, Ont., Tél. : LE 1-2491	75 cent.	4 dol.	6 dol.
MEKSYK : Victor Stanislawski, Av. Libertad 1350, dep. 1, Guadalajara, Jal.	75 cent.	4 dol.	6 dol.
NIEMCY : « Ostatnie Wiadomosci », Mannheim-Schoenau, Lilienthalstr. 301; **St. Mikiciuk,** (13b) München 45, Gablonzerstr. 7/1	2,50 DM	13,50 DM	25 DM
NORWEGIA : Br. Lubinski, Moss. Kongesgt. 2	3 sh. 9 d.	21 sh.	42 sh.
SZWAJCARIA : Maria Wasung, 6, rue des Lilas, Genève. Tél. : 33 34 20, Nr konta poczt. 1.14431	2,50 fr. s.	13,50 fr. s.	25 fr. s.
SZWECJA : Red. Norbert Zaba, Kallskärsgatan 3/IV Stockholm		18 kor.	33 kor.
U.S.A. : W. Bienkowski, « Gryf Publ. », 296 Sheridan Av., Albany, N.Y.; **S. Dobczynski, Alma Shipping Co,** 121 St. Marks Pl., New York 9, N.Y.; **L. Dudarew Ossetynski,** 127-97th Str., Brooklyn, N.Y.; **S. Dziarczykowski,** 4009 W., 23rd St., Los Angeles 18, California; **M.K. Dziewanowski,** 51 Reservoir St., Cambridge 38, Mass.; **T. Konopacki,** 1253 Hathaway Av., Cleveland 7, Ohio. Tel. LA-1.2305; **Ch. M. Kretowicz,** 2109 Robinwood Av., Toledo 2, Ohio; **V.B. Kwast,** 376 Wallingford Terrace, Union, N.J.; **A. Pleszczynski,** 2025 Monterey St. Santa Barbara, Calif.; **Polish Amer. Book Co,** 1136 Milwaukee Av., Chicago 22, Ill.; **The Polish Book Importing Co, Inc.,** 38 Union Sq., New York 3, N.Y.; **E. Posyniak,** 595 Fillmore Av., Buffalo 12, N.Y.; **Praca,** 2419 Memphis St., Philadelphia 25, Pa.; **K. Trojanowski** 17932 Van Dyke, Detroit 34 Mich.	75 cent.	4 dol.	6 dol.
W. BRYTANIA : « Gryf » Publication Ltd., 169-171, Battersea Church Road, London, S.W.11	3 sh. 9 d.	21 sh.	42 sh.
WLOCHY : Aleksander J. Mikucki, Viale Parioli 124, int 12, Roma. Tél. : 87-10-27	300 lires	1.750 lires	3.000 lir

W krajach niewymienionych prenumerata jak we Francji, plus koszty porta 180 frs półrocznie i 360 frs rocznie. Przesyłka pojedyńczego numeru: 30 frs.

Należności we Francji wpłacać można przekazem pocztowym na adres :

Jerzy GIEDROYC, 91, Avenue de Poissy, Maisons-Laffitte (S.-et-O.)
C.C.P. PARIS 7585-94

Imprimerie RICHARD,
24, rue Stéphenson, Paris (XVIIIe)

Cena 220 frs.